Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr Indeksu 36762

NUMER 49 (1393) ROK XXVII 8 GRUDNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

■ Piękno, bieda i reformy
■ Latawce–dmuchawce
■ Piąty as
■ Cukier krzepi złodzieja
■ Skarby Neriany

Foto: Grzegorz Gałasiński

Szosa wołokołamska

(październik – grudzień 1941)

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Bitwa o Moskwę w październiku i listopadzie 1941 r. stanowi jeden z najbardziej dramatycznych etapów w historii ZSRR, a zarazem przejaw zbiorowego bohaterstwa i zaciętości. Biorąc pod uwagę owczesne warunki niemożliwe jest przeprowadzenie bojowego wartościowania działań poszczególnych armii i dywizji. Jednakże najsilniejszy nacisk Niemców zaznaczał się na kierunkach możajskim i wołokołamskim, a w najbardziej trudnych warunkach znalazły się 5 i 16 armia.

Spośrod jednostek armijnych najszerszy rezonans wywołały działania 316 dywizji (8 gwardyjska DP), dowodzonej przez gen. Iwana Panfiłowa. Jej walki (w rejonie szosy wołokołamskiej) zostały współcześnie szeroko spopularyzowane w radiu i propagandzie na froncie i zapleczu. Po latach znalazły odbicie w pamiętnikach dowódców (marszałkowie: Żukow, Rokossowski, Koniew), w literaturze pięknej, a nawet w podręcznikach szkolnych.

Ludzi 316 dywizji przypominają nam dziś pomniki wzniesione na polu bitwy, w Moskwie i Alma-Acie, nazwy ulic w licznych miastach, zrekonstruowane na szlaku walk punkty oporu, stanowiące swoiste muzea chwały wojennej.

Warto więc, chociaż w dużym skrócie przypomnieć w rocznicę zmagań o Moskwę epizody zbiorowego bohaterstwa ludzi 316 dywizji.

★ ☆ ★

W połowie września 1941 r. sytuacja na froncie wschodnim stawała się dla wojsk radzieckich coraz bardziej naprężona. Leningrad został okrążony (w nocy z 8 na 9 września), a linie niemieckie od południa dochodziły do granic miasta.

Najeźdźcy okupowali republiki nadbałtyckie, Białoruś, większą część obszarów Ukrainy, walki trwały na ziemiach Rosyjskiej Republiki Federacyjnej, a po bitwie smoleńskiej szczególnie zagrożony stawał się kierunek na Moskwę.

Ponieważ hitlerowcy nie mogli złamać oporu wojsk broniących Leningradu, Hitler wydał dyrektywę, by wzmocnione związkami pancernymi siły grupy armii „Środek" przed nadejściem zimy zajęły Moskwę. Liczebność pośpiesznie zgromadzonych na kierunku moskiew-

4

Komu gra, komu koliduje...

Co ważniejsze, szkoła czy planetarium?

ANDRZEJ KAROLCZAK

Od września 1982 roku nie ma w Łodzi jednej z najstarszych i najbardziej znanych w mieście szkół średnich. Nie ma IV Liceum Ogólnokształcącego im. Emilii Sczanieckiej. Budynek szkolny, okazały, przypominający raczej gmach banku lub ważnego urzędu z przełomu wieku XIX i XX, straszy, elewacja zniszczona, powybijane okna pozatykane byle czym, odrapana brama zamknięta na kłódkę, klomby zachwaszczone... Ktoś pozbawiony wyobraźni i taktu zatknął w pierwszych dniach listopada 84 r. biało-czerwoną flagę nad wejściem. Flaga też taka jakaś podniszczona. Gotowa dekoracja do filmu o powstaniu narodowym. Którymkolwiek, od listopadowego do warszawskiego, będzie pasować!

Od roku 1982 budynek szkolny w remoncie. Podobno budowano go w początkach naszego wieku, dwa lata. A budowano gmach z marmurami, kryształowymi lustrami i wszystkimi innymi fidrygałkami, jako to w belle epoque. Technika budowlana była prymitywna, cegłę targali po drewnianych rusztowaniach kozłarze z drewnianymi nosiłkami na plecach, kozłami właśnie. Co innego teraz, windy, maszyny itp. itd...

Budynek w remoncie, a szkoła na komornym. W gościnnym budynku przy ulicy Drewnowskiej. Ewakuowano ją tam w trybie alarmowym. W auli bowiem spadł wielki kawał tynku z sufitu. Podobno — jak się dzisiaj mówi — należało tylko zamknąć aulę, można było robić remont sukcesywnie, po kawałku, minimalnie tylko zakłócając tok zajęć. Dziś łatwo powiedzieć, a wówczas była to jedynie słuszna decyzja. Nikt nie mógł wziąć na swoje sumienie tego, co mogłoby się zdarzyć gdyby okazało się, że jednak nie tylko au-

5

Vademecum turysty – zaopatrzeniowca

ROMAN KUBIAK

Wychodząc naprzeciw społecznemu zapotrzebowaniu „w temacie propagowania" niewątpliwych walorów regionów dopiero co dla turystyki odkrytych, publikacje tę orzygotowałem.

Niech będzie ona uzupełnieniem praktycznej wiedzy o białych dotąd plamach na turystycznej mapie Polski, które to białe plamy stały się ostatnimi czasy obszarami penetracji tak zorganizowanej, jak i indywidualnej turystyki.

TURYSTO:

Ty, który doświadczeń nabywałeś w zagranicznych wojażach, Ty który w małym palcu skupiasz wiedzę o skomplikowanych przepisach celno-dewizowych, Ty który wiesz jak zarobić na niemieckim pieprzu, rumuńskich oponach tureckich kożuchach, czeskich trampkach, węgierskich dezodorantach, radzieckich obrączkach — wybacz, że niewtajemniczonym ujawniam tych kilka, dla Ciebie przecież oczywistych informacji.

Województwo miejskie łódzkie

Obecnie najatrakcyjniejszy region turystyczny. Odkryty niespodziewanie przed dwoma laty. Żelazny punkt wycieczkowych ofert krajowych biur podróży, zakładowych służb socjalnych; teren penetracji turysty indywidualnego.

WARUNKI NATURALNE

Województwo położone w centrum kraju, nad piekielnie brudnymi rzeczkami, najmniejsze, przeludnione, zadymione.

BAZA TURYSTYCZNA

Uboga. Miejsc hotelowych brak. Kwatery prywatne drogie. Nie poleca się noclegów na osiedlu Retkinia, zwanym tu „Wybuchowo", albo „Perszingowo". Gastronomia w rozkładzie — 47 osób na jedno miejsce przy stoliku. Zaleca się przywożenie suchego prowiantu. Ostrzeżenie: pod żadnym pozorem nie spożywać napoju o nazwie „piwo łódzkie". Strefa wpływów pepsi-coli.

DOJAZDY

Koleją na dworzec centralny w Koluszkach. Samolotem — najbliższy port lotniczy Warszawa-Okęcie. Samochodem — międzynarodowe trasy E-12, E-16. Parking dla autokarów obok „Centralu". Cena benzyny na lewo — 150 zł za litr.

12

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
P.o. sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddziału w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3427. E-5.

Przegląd prasy

Niedawno pewien młody człowiek przypomniał na zebraniu o stosowanej swego czasu praktyce wobec ludzi niewygodnych z tego czy innego powodu. Mniejsza z tym, jakie to było zebranie i gdzie się odbywało. Było ono ze wszech miar legalne. Ważne jest natomiast, co ów młody człowiek powiedział. A przypomniał on, że po prostu o ludziach, którzy w taki czy inny sposób rozeszli się z oficjalną polityką przestawało się w ogóle mówić. Znikało ich nazwisko z łamów gazet, programów radiowych czy telewizyjnych, a często również z kart książek o historii. Dziś od tego odchodzimy, i bardzo dobrze, ale skutki tamtej polityki pozostały. Oto — kontynuował swój wywód ów młody człowiek — pojawiło się nagle nazwisko Kazimierza Mijala, a my, ludzie młodzi, zupełnie nie wiemy

KIM BYŁ KAZIMIERZ MIJAL

co robił i jakie ma poglądy. Dobrze się więc stało, że zarówno „TU i TERAZ" (nr 48 z 28 listopada 1984 roku), jak i „POLITYKA" (nr 48 z 1 grudnia 1984 roku) przypomniały nie tylko kim był Kazimierz Mijal w przeszłości, ale i jakie miał poglądy. Na szczególną uwagę zasługuje w „Polityce" artykuł Mariana Turskiego *„Ojciec chrzestny dogmatyzmu"*, daje w nim bowiem autor dość szeroki — jak na możliwości artykułu — przegląd poglądów politycznych „sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Polski".

Kazimierz Mijal urodził się w 1910 roku we wsi Wilków, koło Grójca. Ma dziś 74 lata. Przed wojną był urzędnikiem bankowym i działaczem związkowym. Podczas okupacji pracował w Komunalnej Kasie Oszczędności w Warszawie i należał do grupy komunistycznej „Proletariusz", do której należeli również dr Alfred Fiderkiewicz, mec. Teodor Duracz, Władysław Kowalski. Jako pracownik KKO umożliwił oddziałowi GL napad na bank KKO w listopadzie 1942 roku i zabranie przeszło miliona złotych na potrzeby podziemnej działalności. Był też wśród tych, którzy tworzyli KRN, wszedł w skład prezydium KRN jako sekretarz i skarbnik.

Po wyzwoleniu był pełnomocnikiem rządu w Łodzi, a później prezydentem m. Łodzi. Był szefem kancelarii prezydenta Bolesława Bieruta, z którym się przyjaźnił, następnie ministrem gospodarki komunalnej i szefem Urzędu Rady Ministrów. W okresie zmiany kursu w PPR w 1948 roku zajął bardzo ostre stanowisko wobec „prawicowego odchylenia" Władysława Gomułki i nawet na III Plenum KC PZPR w listopadzie 1949 roku oskarżył Władysława Gomułkę, że *„spowodował aresztowanie przez gestapo Pawła Findera i Małgorzaty Fornalskiej"*, Władysław Gomułka interweniował w tej sprawie u Bolesława Bieruta, który nakazał Kazimierzowi Mijalowi, aby te oskarżenia odwołał i Mijal odwołał.

Po roku 1956 Kazimierz Mijal ponownie został ministrem gospodarki komunalnej, następnie dyrektorem Banku Inwestycyjnego, a krótko przed opuszczeniem kraju dyrektorem do spraw ekonomiczno-finansowych „Zemaku". Polskę opuścił 15 lutego 1966 roku. Posłużył się paszportem albańskim na nazwisko Mehmetko Serveta. Przebywał w Tiranie, bywał w Pekinie. W sporze chińsko-radzieckim zajął stanowisko antyradzieckie, w sporze albańsko-chińskim — stanowisko prochińskie. W okresie październik 1956 należał do grupy natolińskiej. Nie przypadkiem więc Marian Turski określa go mianem *„ojca chrzestnego dogmatyzmu"*. Z pozycji dogmatyzmu i sekciarstwa nie zszedł nigdy. Przeciwnie, po październiku 1956 roku jeszcze bardziej się na tych pozycjach utwierdził. Ówczesną linię partii określał jako rewizjonistyczną zarzucał PZPR, że usiłuje odbudować kapitalizm na wsi, że odchodzi od dyktatury proletariatu i marksizmu-leninizmu. W 1963 roku zaczęły pojawiać się manifesty atakujące robotników, PZPR, państwo polskie. Pod koniec grudnia powstała grupa, która nazwała siebie Komunistyczną Partią Polski i zaczęła wydawać „Czerwony Sztandar", a Kazimierz Mijal został obwołany sekretarzem generalnym KPP i w tym charakterze był przyjmowany w Pekinie.

W maju 1964 roku Władysław Gomułka spotkał się z aktywem partyjnym Huty Warszawa, gdzie kolportowano ulotki KPP, i podczas tego spotkania wyjaśnił pogląd PZPR na zarzuty wysunięte w tych ulotkach. Wówczas też Władysław Gomułka odczytał tajną instrukcję, według której należało „napuszczać na siebie" ludzi w partii, wysuwać fałszywe oskarżenia, a także postulaty, o których z góry wiadomo, że nie mogą być spełnione.

„Dotychczas można się było uśmiechać — powiedział wówczas Władysław Gomułka — *ale obecnie sprawa już nabiera innego wyrazu, gdyż tu macie w tym wszystkim oblicze tak zwanego pokrzywdzonego dogmatyka."*

W okresie narastającego kryzysu w Polsce grupa Kazimierza Mijala na emigracji i jej — nieliczni co prawda — zwolennicy w kraju bardzo się ożywili. Uznano, że PZPR nie potrafi sobie poradzić z kryzysem i trudnościami tak w partii, jak i w kraju i... wezwie mijalowców na pomoc.

„Pisane na maszynie ulotki z lat osiemdziesiątych atakują, przede wszystkim, obecne kierownictwo partyjne i państwowe. Przymilają się zarazem do „Solidarności". A przy tym są pewne przesłanki i przejawy, mówiące o tym, iż w latach 1980—1982 Kazimierz Mijal spodziewał się, że — w trudnej sytuacji krajowej — może do PZPR wezwać do współpracy, pomocy, odsieczy. Przyjaciel Mijala, dawny — z lat pięćdziesiątych — członek kierownictwa partyjnego, miał ewentualnie pośredniczyć. Miała to być próba znalezienia miejsca dla autorów autonomicznej „rewolucyjnej KPP" wewnątrz PZPR".

Próba się nie udała, ale ten fragment z artykułu Mariana Turskiego w „Polityce" wywołał i wywoła sporo nieporozumień i zamieszania. Przede wszystkim jest on mało precyzyjny. Niedokładnie umieszcza w czasie owe nadzieje i owego „przyjaciela". Wywoła niepotrzebne domysły. Uważam, że jeśli już się coś takiego pisze, to bezwzględnie należy dbać o precyzję słowa i myśli.

Kazimierz Mijal został zatrzymany w Polsce, do której wrócił nielegalnie, aresztowany i teraz odpowiednie organa ścigania przestępstw piszą kolejny rozdział jego życia. Mam nadzieję, że już niedługo dowiemy się sporo ciekawych szczegółów o antypaństwowej działalności K. Mijala.

A teraz chciałbym napisać o innym powrocie. Otóż „PRZEGLĄD TYGODNIOWY" (nr 49 z 2 grudnia 1984 roku) doniósł piórem Włodzimierza Krzyżanowskiego i Andrzeja W. Małachowskiego, że

JAN BEDNARCZYK POWRÓCIŁ DO „LAURY"

ponownie na stanowisko prezesa, bo z Huty „Laura" w Tarnowie nigdy nie odszedł. Kiedy Centralna Komisja Postępowania Porządkowego — już taka nie istnieje — zdejmowała go ze stanowiska prezesa, to wybrano prezesem żonę Jana Bednarczyka — Ewę. Poprzednio była ona głównym technologiem. Po odwołaniu męża ona została prezesem, a on — głównym technologiem.

Powodem całej sprawy było przyznanie się publicznie Jana Bednarczyka, że zarabiał średnio w miesiącu roku 1982 po 55 455 zł, a jego żona Ewa — 42 293. Zresztą w Hucie „Laura" wszyscy dobrze zarabiali i nadal zarabiają. Płace robotników wynoszą tam i dziś po ponad 40 tysięcy zł. Ale wówczas wybuchły emocje. Rozpoczęła się kampania przeciwko Janowi Bednarczykowi. Posądzano go, że sam sobie ustanowił takie wysokie płace. Ludzie rozsądni bronili prezesa „Laury". Zygmunt Szeliga na przykład w „Polityce" wyznał — o czym relacjonowałem w „Odgłosach" — że na przyrost 1 proc. produkcji przypadało w „Laurze" 1,33 proc. funduszu płac i że był to najlepszy wynik w całej polskiej gospodarce, że J. Bednarczyk nie łamał żadnych przepisów. On je tylko umiejętnie dla „Laury" wykorzystywał. Robi to zresztą i dziś. Ma swoich przeciwników. Niektórzy w Tarnowie martwią się na przykład tym, że dyrektor wielkiej sąsiedniej fabryki zarabia o połowę mniej. No, to niech się ten dyrektor tym martwi, a załoga niech mu wypomina, że jest mało zaradny, że powinien tak fabryką kierować, aby i on i oni lepiej zarabiali i więcej produkowali. O to przecież chodzi.

„Sprawa Bednarczyka właściwie od dawna — piszą autorzy „PT" — *przestała być sprawą Bednarczyka. Jest czymś szerszym, ilustracją sposobów myślenia."*

Sądzę, że jest ona też pytaniem: czy nam potrzebni są ludzie rzutcy, którzy potrafią tak działać, aby kierowane przez nich przedsiębiorstwo rozwijało się? Każdy zapewne powie, że tak i jeszcze raz tak. Ale, czy rzeczywiście potrafimy tworzyć im warunki do działania, nie przeszkadzać? Czy nie pojawi się natychmiast bezinteresowna zawiść, która potrafi czepiać się każdego, komu coś się udało? Na odpowiedź w przypadku J. Bednarczyka przyjdzie nam poczekać.

Od dłuższego czasu w „GŁOSIE ROBOTNICZYM" toczy się dyskusja na temat:

„CZY ŁÓDŹ JEST ZŁYM MIASTEM DLA KULTURY?"

Celem tej dyskusji jest *„ocenić potencjał kulturalny Łodzi, wskazać w sposób rzetelny i krytyczny te wszystkie uwarunkowania i systemy zależności, które wiążą się ze swoistym „marnowaniem szans", zweryfikować obiegowe opinie dotyczące naszego stanu posiadania w tej sferze"* i na dodatek jeszcze *„określić możliwości rozwojowe"*. Jak na jedną dyskusję cel nie tylko szczytny, ale i niebywale trudny. Z pomocą „Głosowi Robotniczemu" przychodzi więc w „Magazynie Kulturalnym" Łódzki Ośrodek TP. A ostatnio wypowiedział się na ten temat redaktor naczelny Łódzkiej Rozgłośni PR — Wojciech Ekiert proponując: popierać „swoich". („GR" z 29 listopada 1984 roku).

Ciągle nie mogę się oprzeć wątpliwości, jaką rodzi we mnie sformułowanie *„złe miasto dla kultury"*. Nie bardzo wiem, gdzie to zło ma być ukryte. Czy chodzi o to, że władze miasta są kulturą nie zainteresowane, czy też, że tu nie ma takiego odbiorcy, o jakim marzą twórcy? Wojciech Ekiert powiada na przykład, że *„jednym z podstawowych niedostatków Łodzi kulturalnej jest brak liczących się w skali kraju liderów instytucji kulturalnych i środowisk twórczych"*. I wymienia: Kazimierza Dejmka, Bohdana Wodiczkę, Henryka Czyża i Wiesława Garbolińskiego. O ile dobrze wiem, Wiesław Garboliński nadal pracuje w Łodzi. Nie pełni natomiast żadnych funkcji. Inni natomiast byli w Łodzi i Łódź opuścili. Nie znaleźli tu dla siebie takich warunków pracy, jakie byłyby dla nich i ich twórczości najlepsze. Trudno się jednak z W. Ekiertem nie zgodzić, że nie ma liczących się liderów.

Wojciech Ekiert pisze o niemałych ambicjach zespołu Łódzkiej Rozgłośni PR — to pięknie — przyznaje jednak, że im się *„nie wszystko udaje"*, że centrala czasem przeszkadza i nie na wszystko się godzi. Ale też stwierdza, że *„jakość naszych programów artystycznych jest odbiciem poziomu środowisk twórczych"*. Nie dodać, nic ująć!

MONIKA WARNEŃSKA BYŁA W KARELII

i swoje wrażenia z tej podróży opisała w „PERSPEKTYWACH" (nr 48 z 30 listopada 1984 roku), tytułując swój reportaż *„Pejzaż w drewnie i granicie"*

„Jezior w Karelii jest ponad 60 tysięcy. Rzek i strumieni — z górą 11 tysięcy. Rzeki są na ogół niewielkie. Jeziora — duże i małe, wśród nich dwa największe w Europie: Ładoga i Onega."

Polecam lekturę tego reportażu. Jest tam o dziejach Petrozawodzka i współczesnej Karelii wiele interesujących informacji.

LUCJAN BOGUSZ

Od 6 do 11 listopada 1984 roku w Bogocie, stolicy Kolumbii, obradował 14 Kongres Komunistycznej Partii Kolumbii. PZPR na tym Kongresie reprezentował TADEUSZ CZECHOWICZ. Zwróciliśmy się z prośbą o podzielenie się wrażeniami z pobytu na 14 Kongresie KPK oraz w samej Kolumbii.

— Rzadko zdarza się, aby ktoś reprezentujący oficjalnie partię czy rząd podczas wizyty w innym kraju, dzielił się na łamach prasy swoimi spostrzeżeniami. Uważam jednak, że wśród wrażeń i obserwacji z takiej podróży można wyodrębnić te problemy, które mogą zainteresować szerszy krąg Czytelników. Nasza rozmowa może więc dotyczyć tylko niektórych problemów wynikających z tej wizyty.

— Każde spostrzeżenia i wrażenia z innego kraju są bardzo pożądane i pożyteczne. Poszerzają bowiem naszą wiedzę o świecie. Kolumbia leży przecież na drugiej półkuli. Jest to kraj mało u nas znany.

— W związku z tym parę informacji o charakterze encyklopedycznym. Powierzchnia Kolumbii wynosi 1 138 tysięcy kilometrów, jest więc przeszło 3,5 raza większa od Polski. Kolumbia ma 26 milionów obywateli. W stolicy, Bogocie, mieszka przeszło 4,5 miliona ludzi.

— Jest to w dużej części kraj górzysty.

— Bogota na przykład leży na wysokości 2 600 metrów i jest tam o jedną czwartą mniej tlenu niż na nizinach. Ludziom do tego nieprzywykłym bardzo trudno jest tam egzystować.

— Jakie stosunki z Kolumbią ma Polska?

— Nasze dyplomatyczne stosunki z Kolumbią są dobre. Prowadzone są rozmowy dyplomatyczne i gospodarcze na szczeblu rządowym. Istnieje bliska współpraca między parlamentami.

W związku z trudnościami gospodarczymi, jakie dotknęły także Kolumbię, kontakty gospodarcze nie są jeszcze na takim poziomie jakiego życzyłyby sobie obydwie strony. Dotychczas sprzedawaliśmy do Kolumbii statki, fiaty 125, które w Bogocie kursują jako taksówki oraz niektóre artykuły chemiczne i obrabiarki. Kupujemy między innymi bawełnę i kawę. Warto powiedzieć, że ponad 50 proc. wpływów dewizowych Kolumbii pochodzi ze sprzedaży kawy. Kolumbia posiada bogate złoża mineralne, między innymi największe na świecie złoża szmaragdów, ma także liczące się w świecie wydobycie złota. Ponadto kraj ten posiada wiele innych ważnych dla gospodarki surowców.

Istnieje więc możliwość dalszego rozwoju kontaktów gospodarczych i w tej sprawie prowadzone są dwustronne rozmowy. Mamy także podpisaną umowę o współpracy kulturalnej i naukowej.

Warto dodać, że Kolumbia odniosła się z realizmem do złożonych problemów naszej sytuacji wewnętrznej. Nie przyłączyła się do kampanii sankcji i restrykcji wobec Polski.

— Jak układają się stosunki między obu partiami?

— Bliższe kontakty między naszymi partiami rozpoczęły się w drugiej połowie lat 70. Podczas dwustronnych rozmów wymieniane są poglądy na temat aktualnej sytuacji w międzynarodowym ruchu robotniczym, a także dokonywana jest wymiana doświadczeń w pracy partyjnej. Godnym odnotowania faktem jest współpraca między organem prasowym Komunistycznej Partii Kolumbii, tygodnikiem „Voz i „Trybuną Ludu".

Komunistyczna Partia Kolumbii odniosła się z dużą troską i zrozumieniem do kryzysu, jaki przeżywaliśmy w latach 1980—1981 i nie przyłączyła się później do demagogicznej krytyki naszej polityki wynikającej przecież z określonych wewnętrznych powodów.

— Jaki jest punkt widzenia komunistów Kolumbii na złożoną sytuację na świecie?

— Widzą przede wszystkim duże zagrożenie dla pokoju. Ich zdaniem administracja Ronalda Reagana i związane z nią siły imperialistyczne dążą do powstrzymania rozwoju socjalizmu na świecie, prą do wojny i przeciwstawiają się ruchom narodowo-wyzwoleńczym. Ta polityka USA wywołuje oczywiście sprzeciw. Stanowisko USA w czasie wojny o Malwiny wywołało w krajach Ameryki Południowej duże niezadowolenie USA — jak wiadomo — poparły Wielką Brytanię. Teraz narasta sprzeciw wobec ingerencji USA w wewnętrzne sprawy krajów Ameryki Południowej.

Trzeba pamiętać, że kraje te mają wielkie zadłużenie wobec bogatych państw Zachodu. Wynosi ono obecnie przeszło 350 miliardów dolarów. USA prowadzą w tym rejonie intensywną politykę nie tylko ingerencji dyplomatycznej, wojskowej czy gospodarczej, ale również propagandowej. Jak mówiono na 14 Kongresie Komunistycznej Partii Kolumbii, USA poprzez organizacje międzynarodowe kontrolują w tym rejonie 75 proc. programów telewizyjnych, 65 proc. programów radiowych, połowę produkowanych filmów, 60 proc. produkcji fonograficznej i 35 proc. wydawanych książek. Taki stan rzeczy zagraża — jak podkreślano — tożsamości narodowej wielu krajów latynoamerykańskich. Wymaga to przeciwdziałania, zdecydowanej walki.

Walka z polityką USA toczy się na wielu płaszczyznach. Walczą nie tylko masy ludowe, lewica społeczna, ale polityce tej sprzeciwiają się niektóre rządy. W styczniu 1983 roku ministrowie spraw zagranicznych Kolumbii, Meksyku, Panamy i Wenezueli utworzyli grupę Contadora, przedstawili własną koncepcję zapewnienia pokoju w tej części świata oraz sprzeciwili się ingerencji w wewnętrzne sprawy poszczególnych krajów, a także — co jest bardzo istotne — stwierdzili, że źródłem niepokojów i problemów w tej części świata jest niesprawiedliwość społeczna i położenie gospodarcze tych krajów, a nie napięcia, jakie utworzyły się na linii Wschód — Zachód.

— Jak z tamtego punktu widzenia wygląda problem Nikaragui?

— Uczestnicy 14 Kongresu KPK przy każdej okazji demonstrowali swoje poparcie dla Nikaragui. Wystąpienia przedstawicieli Kuby, Nikaragui i komunistów Salwadoru wywołały eksplozję braw i stały się powodem wielkiej manifestacji poparcia dla tych krajów i dla ruchów wyzwoleńczych.

Ale obok zewnętrznych objawów sympatii, patrzono na procesy zachodzące w Ameryce Środkowej, a w tym na problem Nikaragui z wielką troską i rozwagą. Od tego, czy uda się uniknąć interwencji amerykańskiej w Nikaragui, czy obecnej ekipie Daniela Ortegi Saavedry uda się opanować dramatycznie trudną sytuację gospodarczą, zależy dalszy społeczny rozwój w Ameryce Środkowej.

Ciągłe straszenie inwazją, a także blokadą gospodarczą, w poważnym stopniu zdezorganizowało życie w Nikaragui i doprowadziło do znacznego utrudnienia warunków życia całego społeczeństwa w tym kraju. Wielu rozmówców wyrażało pogląd, że obecnie jest małe prawdopodobieństwo bezpośredniej ingerencji USA w Nikaragui. Do zniszczenia zdobyczy rewolucji w Nikaragui wykorzystywane będą różne formy nacisku, ciągłe groźby interwencji militarnej, a także działanie grup dywersyjnych szkolonych w Hondurasie i szeroko rozumiana blokada gospodarcza. Te działania mają doprowadzić do całkowitego załamania gospodarki, zmęczenia społeczeństwa, w końcowym efekcie do zmniejszenia jego ducha bojowego, co w późniejszym okresie może dać możliwość opanowania kraju przy znacznie niższym wysiłku militarnym.

— Jaka jest ocena sytuacji wewnętrznej dokonana przez komunistów kolumbijskich?

— Rządy prezydenta Turbaya Ayali, kiedy to Kolumbia poparła Wielką Brytanię w wojnie o Malwiny, wywołały ostry sprzeciw mas i wówczas, w wyniku wyborów, doszedł do władzy obecny prezydent Belisario Betancur. Podpisano rozejm z partyzantką. Ogłoszono amnestię, na wolność wyszło wielu więźniów politycznych. Powstała grupa Contadora, Kolumbia należy do Ruchu Krajów Niezaangażowanych, tworzy wspólny front krajów zadłużonych. Są to w ocenie komunistów kolumbijskich pozytywne przemiany. Rząd Belisario Betancura rozszerzył stosunki z opozycją i ruchem związkowym.

Komuniści kolumbijscy widzą jednak nie tylko pozytywne strony rządów Belisario Betancura, ale i sprzeczności, w jakie jest on uwikłany. W rządzie tym reprezentowane są sfery po-

siadające i wojskowe. Ich ustępstwa na rzecz mas ludowych i ruchu demokratycznego wynikają z trudnej sytuacji społecznej i gospodarczej Kolumbii, a nie z sympatii warstw posiadających do mas ludowych. Ustępstwa, jakie Belisario Betancur poczynił na rzecz burżuazji i latyfundystów podważyły sympatię ludu do niego, podważyły nadzieję, że rozwiązane zostaną najpilniejsze problemy gospodarcze i społeczne w interesie tych mas. Rząd Belisario Betancura w maju 1984 roku rozszerzył stan wyjątkowy na cały kraj. Początkowo był on wprowadzony tylko w czterech departamentach. Podaje się, iż powodem tego była walka z narkomanią i handlem narkotykami, ale komuniści kolumbijscy zwracają uwagę, że stan wyjątkowy służy interesom prawicy, prowadzi do ograniczenia swobód obywatelskich i praw demokratycznych.

— Jaki jest program lewicy w Kolumbii?

— Może najpierw powiem, jak komuniści kolumbijscy oceniają obecny etap ich walki. Uważają oni, że walki, jakie prowadzą, nie można określić mianem rewolucji. Uważają, że są na etapie zdobywania pozycji jako awangarda ruchu demokratycznego i organizator mas do dalszej walki. Chodzi więc o skupienie wszystkich postępowych sił wokół celów, jakie chce się osiągnąć.

Widziane z Kolumbii

Piękno, bieda i reformy

Rozmowa z członkiem Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarzem KŁ PZPR — TADEUSZEM CZECHOWICZEM

A teraz te cele. Komuniści — jak wiadomo — w dalszej perspektywie mają jeden cel: zbudowanie ustroju socjalistycznego. Do tego wiodą jednak różne drogi. I tak komuniści kolumbijscy uważają, że obecnie ich celem jest odnowa demokratyczna w Kolumbii. Koncentrują się zatem na walce o demokrację. Wspólnie, na przykład, z Nowym Liberalizmem zgłosili projekt reformy systemu wyborczego w Kolumbii, ale projekt ten — jak mówią — spoczął gdzieś na półkach w Senacie.

Występują z programem reform. Przede wszystkim reforma rolna, dzięki której wywłaszczono by wszystkie grunty źle uprawiane i rozparcelowano wielkie majątki ziemskie. Obecnie przeszło 80 proc. ziemi uprawnej znajduje się w posiadaniu wielkich właścicieli ziemskich — latyfundystów.

Postulują następnie nacjonalizacje kopalnictwa, banków, handlu zagranicznego, reformę cen, a także uprzemysłowienie budownictwa, przejęcie przez władze lokalne transportu publicznego, reformę podatków, reformę gospodarki komunalnej w miastach, ustanowienie statusu pracownika państwowego i administracji, aby zapewnić mu poczucie trwałości pracy.

Jak z tego widać program reform z jakim występują komuniści kolumbijscy jest szeroki i powinien zyskać im sojuszników w walce o jego realizację.

— Trudna sytuacja gospodarcza w tamtym rejonie świata, wielka bieda, analfabetyzm, choroby, a z drugiej strony ogromne bogactwo, przepych wręcz, spowodowały powstanie nowych koncepcji walki ze społeczną niesprawiedliwością. Powstała tam między innymi „teologia wyzwolenia". Jaki jest zatem stosunek komunistów kolumbijskich do tych spraw?

— Jest to problem niezmiernie złożony i chcę od razu powiedzieć, że nie stać mnie na głębszą analizę procesów związanych z „teologią wyzwolenia".

Kościół w Ameryce Łacińskiej, jeżeli chce być wyrazicielem społecznych dążeń ogromnej rzeszy katolików, musi uwzględnić w swoim działaniu sytuację społeczno-ekonomiczną i polityczną na kontynencie i odnieść się do panującej tam niesprawiedliwości społecznej. Kościół, jak każda instytucja, podlega prawom socjologicznym i historycznym. W Ameryce Łacińskiej na aktualnym etapie rozwoju procesów społecznych wiele haseł dotyczących polityki społecznej, warunków godziwego życia jest zbieżnych i znajduje się w programach wielu ruchów społecznych. Chociaż trzeba wyraźnie podkreślić, że przesłanki i motywacje do tych działań wyrastają najczęściej z innej gleby.

„Teologia wyzwolenia", nie akceptując sytuacji społeczno-politycznej w Ameryce Łacińskiej, przyjmuje w odniesieniu do niektórych problemów marksistowską metodę ich analizy, ale wskazuje także na te elementy, które są nie do pogodzenia z wiarą, na przykład: walka klas, marksistowska koncepcja historii.

Także wśród duchownych Ameryki Łacińskiej jest wiele obaw spowodowanych przenikaniem ideologii marksistowskiej do teologii katolickiej. Występuje obawa przed upolitycznieniem i ideologizowaniem wiary.

Trudno mi mówić o jednoznacznym stanowisku komunistów kolumbijskich do „teologii wyzwolenia", ale w niektórych wypowiedziach z trybuny 14 Kongresu KPK i w rozmowach dało się odczuć, że nie koncentrują się oni na rozważaniach, czy jest życie pozagrobowe, czy też nie, czy jest piekło i niebo, tylko chcą razem z postępowym duchowieństwem katolickim uczynić wszystko, aby piekła nie było na ziemi. Mamy wiele przykładów z Ameryki Łacińskiej, gdzie księża idą do partyzantki, walczą razem z działaczami świeckimi, często i komunistycznymi, przeciwko kapitalistyczno-burżuazyjnym ustrojom w swoich krajach. Wielu księży w tej walce ginie, często komuniści czczą ich pamięć. Aby pokazać jak wielki jest to problem, powołam się na wypowiedź Marii Bocheńskiej ze „Słowa Powszechnego" z 24.11.1984 r., która podaje, że od 1968 roku, czyli od konferencji w Medellinie, zginęło w Ameryce Łacińskiej (zamordowanych przez wojsko, policję oficjalną i nieoficjalną) ponad 2000 księży, zakonników i zakonnic.

— Chciałbym zapytać o ocenę 14 Kongresu Komunistycznej Partii Kolumbii?

— Powołam się na tygodnik KPK „Voz", który poświęcił cały numer Kongresowi. W komentarzach podkreślano, że stanowiska komunistów wypracowanego w czasie Kongresu odnoszącego się do wewnętrznych spraw Kolumbii nie da się już ignorować. Podkreślano, że siły lewicy działają na rzecz zjednoczenia się wokół wspólnego programu i że komuniści dużo mają do zrobienia w tej sprawie, ich program odpowiada bowiem dążeniom mas ludowych.

Warto zwrócić uwagę, że na 14 Kongres KPK przyjechało dużo zagranicznych delegatów, nadeszły telegramy i pozdrowienia z całego niemal świata. Niemiecką Socjalistyczną Partię Jedności z NRD reprezentował członek KC i I sekretarz tej partii w zaprzyjaźnionym z Łodzią Karl-Marx-Stadt — Siegfried Lorens. Taki zbieg okoliczności.

— Jaki jest stan wiedzy o Polsce?

— Dość zróżnicowany. I właśnie dlatego byłem jedynym z zagranicznych gości, którego poproszono o zorganizowanie konferencji prasowej. Konferencja trwała przeszło 3 godziny.

— O co pytano?

— Zestaw pytań był bardzo szeroki. Oczywiście pytano o sprawy aktualne, jak na przykład związane z zabójstwem księdza Jerzego Popiełuszki. Pytano w ogóle o stosunki między państwem a Kościołem, o opozycję, o powiązania Kościoła z opozycją i byłą „Solidarnością". Pytano o rolę państw zachodnich w naszym kryzysie lat 1980—1981, o sam kryzys, o rolę inteligencji w naszym państwie. Pytano też o rolę wojska w działalności państwowej.

— Jak z tego widać jest tam duża ciekawość naszych spraw.

— Ale wiedza o nich jest jednostronna. Sami dziennikarze podkreślali, że ich orientacja w sprawach polskich jest kształtowana przez prasę burżuazyjną Europy i Ameryki Północnej, a przez to jest niepełna. Chcieli właśnie wysłuchać i drugiej strony i wyrobić sobie samodzielny sąd o tym, co dzieje się w Polsce. Zadawano mi pytania bardzo ostre, ale zadający je dziennikarze zastrzegali się, że nie czynią tego z napastliwości, tylko dla poznania prawdy. Moje wyjaśnienia przyjęto ze zrozumieniem. A na zakończenie kilku dziennikarzy wzniosło okrzyk: „Viva Polonia!".

— Jakie wrażenie na przybyszu z innego kontynentu sprawia Kolumbia? Z tego, co wiemy, jest to kraj bardzo niespokojny.

— Owszem, Kolumbia należy do jednych z najbardziej niebezpiecznych krajów Ameryki Łacińskiej. Jak mnie informowano, w ciągu ostatnich 5 lat 49 proc. mieszkańców Kolumbii zostało albo napadniętych, albo okradzionych.

Mają tam też miejsce zbrodnie polityczne. Porwano na przykład brata prezydenta Belisario Betancura, były zamachy bombowe, podpalano autobusy. Już w czasie mego pobytu w Bogocie prasa doniosła o zamordowaniu księdza Alvaro Ulcue Chocue.

— Czy to było zabójstwo polityczne?

— Wszystko na to wskazuje. Stało się to w miejscowości Santander de Quilichao na północy departamentu Cauca. Ksiądz Alvaro Ulcue Chocue pochodził ze szczepu Indian Paez. Przez 12 lat był proboszczem w Toribio. Miał — jak o nim napisano — wiele serca i ducha dla spraw biednych. Bronił przede wszystkim przed niesprawiedliwością ludzi ze swego szczepu. Miał 40 lat. Był człowiekiem bardzo szanowanym. Komuś widać przeszkadzał. Był to już trzeci zamach na jego życie. Kiedy jechał do sierocińca, gdy był już w bramie, dwaj motocykliści oddali do niego strzały. Trafili go w szyję i szczękę. Rannego księdza przewieziono do szpitala, gdzie zmarł.

Jak był popularnym i znaczącym człowiekiem, niech zaświadczy fakt, że nie tylko pani burmistrz Toribio wypowiedziała się na jego temat, wyrażając żal po stracie księdza, ale arcybiskup Samuel Buitrago Trujillo przerwał swoje prace, aby zająć się sprawami, jakie wynikły po śmierci księdza Alvaro Ulcue Chocue.

— Jak przybysz z innego kontynentu czuje się w Bogocie?

— W Bogocie są piękne dzielnice willowe, na przykład Santa Barbara, gdzie przed willami stoją budki prywatnej policji, strzegącej domów i ich właścicieli. Są także piękne, bogato wyposażone centra handlowe. W takim „Unicentro" można kupić wszystko. Tylko mało jest kupujących. W Kolumbii jest bowiem duże, około 12-procentowe bezrobocie. Kryzys tam objawia się inaczej niż u nas. U nas towarów brakuje, tam jest ich nadmiar. Brak natomiast pracy i pieniędzy. Poza tym Kolumbia jest najdroższym krajem Ameryki Łacińskiej.

Bogota jest miastem kontrastów. Obok pięknych dzielnic są slumsy, dzielnice nędzy. Nie ma tam ani chodników, ani jezdni. W czasie deszczu błoto spływa po zboczach góry, na którym to zboczu stoją domki biedoty. Nie ma tam żadnych urządzeń sanitarnych. Zresztą wielu ludzi śpi po prostu na skwerach, w podcieniach.

— Tak jest zapewne i w innych miastach Ameryki Południowej.

— Nie wiem, jak jest w innych miastach, bo tam nie byłem. Byłem krótko w Meksyku i w Hawanie. Co mnie uderzyło w Hawanie? Po bogactwie i nędzy Bogoty, Hawana jest zupełnie inna. Nie ma tu ani bogatych sklepów, luksusowych samochodów, ani z przepychem ubranych ludzi. Ale nie ma też nędzy. Nikt nie śpi na ulicy. Hawana jest miastem spokojnym, bezpiecznym. Zupełnie inny świat.

Chciałbym opowiedzieć jeszcze, co mną najbardziej wstrząsnęło w Bogocie. Wybraliśmy się na spacer. Ulice są pełne przechodniów. Wśród nich też kręcą się dzieci ulicy, nazywane tu „gemines". Idąc ulicą zobaczyliśmy nagle leżącego na chodniku takiego chłopaka, z raną w głowie, który umierał. Ludzie przechodzili obojętnie, kupowali w pobliskim kiosku, jakby nic się nie stało.

— Co czyni rząd Belisario Betancura, aby przeciwdziałać biedzie?

— Stara się przeciwdziałać, choć jest to trudne i jest takich działań w sumie mało. Potrzeby są bowiem ogromne. Podjęto między innymi budowę tanich mieszkań. W Kolumbii jest około 30 proc. analfabetów. Prowadzi się więc walkę z analfabetyzmem. Organizuje się schronienia dla bezdomnych i biednych dzieci. Patronuje temu żona prezydenta. Organizuje się spotkania ze słynnymi ludźmi, a dochód z tych spotkań przeznacza się na cele dobroczynne. Niedawno odbyło się takie spotkanie ze słynnym piłkarzem Pele. Również żony ambasadorów, akredytowanych w Bogocie, robią wiele dla ludzi biednych. Wszystko to jednak kropla w morzu potrzeb.

— Jest to też kraj pięknych zabytków.

— Nie mogłem zobaczyć wszystkiego, co warto byłoby obejrzeć. Zwiedziłem między innymi Muzeum Złota. Powstało w 1939 roku. Są tam złote przedmioty z epoki prekolumbijskiej Wiele z nich pochodzi z grobów Indian. Jest 23 500 eksponatów. Jest to najbogatsza w świecie kolekcja złota.

Byliśmy też w oddalonej o 50 km od Bogoty katedrze wyrzeźbionej w soli. Jest to była kopalnia. Eksploatowano ją przez przeszło 400 lat. Są tam 4 poziomy, każdy ma wysokość 80 metrów. Katedra znajduje się na drugim poziomie. Ma 4 nawy. Każda nawa ma 100 metrów długości i 13 szerokości, wsparta jest na 12 kolumnach. Katedra ta jest czynna od 1954 roku.

— Czy Kolumbijki są ładne?

— Bardzo ładne. Jest to wynik mieszaniny ras, jaka się tam dokonała. Są zgrabne. Ale — jak to jest w zwyczaju w tej części świata — są na ogół na drugim miejscu, zawsze mężczyźni są ważniejsi.

— I nie buntują się przeciwko temu?

— Buntują się. To one poparły kandydaturę Belisario Betancura na prezydenta, bo ogłosił takie hasła, które im odpowiadały. Są w tej chwili w natarciu. Domagają się swoich praw. Kobiety brały udział w obradach 14 Kongresu KPK. Zabierały głos. Mówiły, że mężczyźni zajmujący się walką polityczną powinni pamiętać, że umożliwiają im to kobiety swoją pracą, wychowując dzieci, dbając o dom i rodzinę. Zresztą kobiety piastują ważne urzędy. Dwie z nich są ministrami. Jest wiele kobiet wśród dyrektorów departamentów, zajmują inne stanowiska w administracji. Wśród zastępców członków Biura Politycznego KC KPK jest jedna kobieta.

— Co Kolumbijczyków bawi, jakie mają rozrywki, upodobania?

— Przynajmniej w tym czasie, gdy tam byłem, najbardziej bawiły ich konkursy piękności. Gazety pełne były kolorowych fotografii kandydatek do konkursu.

Czasopismo „Carrusel" przypomniało dzieje konkursów piękności. Jak się okazuje, zaczęło się to w Cartagenie w 1934 roku. Inicjatorem był kapitan żeglugi wielkiej Pablo E. Nieto. Przez wiele lat — początkowo konkursy były organizowane co dwa lata — Kolumbijki nie chciały występować w kostiumach kąpielowych. Na przykład Stella Marguez Zawadsky w 1959 roku prosiła aż nuncjusza papieskiego, aby wpłynął na komisję organizacyjną, żeby nie musiała występować w kostiumie. Później to się zmieniło i dziś prasa publikuje zdjęcia dziewcząt niekiedy w bardzo śmiałych kostiumach.

Od 1966 roku zaostrzono kryteria. Od kandydatek do konkursu piękności wymaga się między innymi: dobrego zdrowia, pogodnego charakteru, dobrego prowadzenia się, osobowości, wdzięku, pięknej twarzy i figury. Kandydatki nie mogą mieć mniej niż 17 lat, a nie więcej niż 25. Zdarzały się przypadki odebrania tytułu.

Myślę, że warto wspomnieć, iż Stella Marguez Zawadsky — jak wskazuje nazwisko — jest pochodzenia polskiego i należy do niej niekwestionowany do tej pory rekord. Zdobyła 17 tytułów piękności, w tym „Miss Panamerica" i „Miss Latinoamerica" oraz w 1960 roku tytuł „Miss Uniwersum".

Nie muszę dodawać, że te konkursy są zabawą dla ludzi zamożnych, chociaż pewnie wiele kolumbijskich dziewcząt z różnych klas i warstw marzy, aby stanąć do takiego konkursu.

— Co jeszcze ciekawego dało się zauważyć w Kolumbii?

— Chciałbym się zastrzec, że nie pretenduję do znawstwa tej części świata i Kolumbii. Po prostu dzielę się wrażeniami i spostrzeżeniami. Zwykle tak się dzieje, że ludzie po powrocie z zagranicy dzielą się wrażeniami, a to wzbogaca naszą wiedzę o świecie.

A wracając do ciekawostek. Mam trzy spostrzeżnia, którymi chciałbym się podzielić. Pierwsze — to ruch samochodowy. Liczy się tam przede wszystkim dobry klakson. Mimo dużej szybkości w mieście jeździ się bezpiecznie. Gorzej jest na drogach. Widziałem krzyże w miejscu, gdzie była katastrofa i zginęli ludzie. Pełnią one rolę znaków ostrzegawczych. Pod tymi krzyżami składa się reflektory samochodowe, jako wyraz pamięci o tych, którzy zginęli.

Zaskoczyła mnie w Bogocie komunikacja miejska. Jest to komunikacja autobusowa. Ale nie ma przystanków. Ludzie wsiadają i wysiadają tam, gdzie autobus stanie. I jakoś na to nie narzekają. Przynajmniej mi o tym nie opowiadano.

Bardzo mile zaskoczył mnie sposób oddziaływania na ludzi. Walczy się na przykład z nieporządkiem. Walczy się nie tylko apelując do ludzi czy karząc ich. Zorganizowano wzorowy park. Umieszczono tam hasło: „Wszystkie parki mogą i powinny tak wyglądać". Jest to przykład, ideał, do którego wszyscy powinni dążyć. Tak postępuje się w każdej dziedzinie. Myślę, że metodę tworzenia takich wzorców można byłoby i u nas zastosować.

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Tadeusz Czechowicz wręcza upominek sekretarzowi generalnemu KPK — Gilberto Vieira

Dokończenie ze strony 1

skim sił i środków wroga szacowano w dowództwie radzieckim na 1.800.000 ludzi, ponad 14.000 dział i moździerzy, 1700 czołgów. Do wspierania operacji wydzielono 1390 samolotów.

Uderzeniu grupy armii „Środek" miały przeciwstawić się: Front Zachodni (d-ca gen. Iwan Koniew), Front Odwodowy (d-ca marsz. Siemion Budionny), Front Briański (d-ca gen. Andriej Jeremienko). Łącznie siły trzech frontów liczyły 1.250.000 ludzi, 7600 dział i moździerzy, 1000 czołgów, 670 samolotów. Już w trakcie trwania operacji obie strony otrzymały poważne uzupełnienia.

Radziecka Kwatera Główna nie rozporządzała rezerwami, a nowo formowane lub już utworzone jednostki znajdowały się jeszcze na Syberii i w Azji Środkowej. Za wszelką cenę należało więc nie dopuścić do okrążenia Moskwy i powstrzymać natarcie czołowe, zanim nadejdą posiłki z głębi ZSRR.

Przeprowadzono reorganizację systemu dowodzenia. Dowódcą Frontu Zachodniego został gen. Gieorgij Żukow, a Front Briański połączono z Frontem Południowo-Zachodnim. W tej sytuacji ciężar obrony Moskwy spadł na Front Zachodni połączony także z dotychczasowym Frontem Odwodowym. W obrębie Frontu Zachodniego uznano za szczególnie zagrożone kierunki: wołokołamski, możajski i kałuski.

W drugiej połowie lipca zapadło postanowienie o budowie możajskiej linii obronnej. Prace wykonywała miejscowa ludność cywilna zasilona ochotnikami z rejonu Moskwy. W październiku prace były wykonane w około 70 proc. a dalsze roboty prowadziły jednostki wojskowe użyte do obsadzania linii możajskiej.

Okrążone w rejonie Wiaźmy siły radzieckie bohaterskim oporem i poświęceniem ponad tydzień wiązały walką zgrupowanie armii „Środek", a na linię możajską nacierały tylko dwa korpusy. Pozwoliło to na wygranie 3—4 dni dla ściągnięcia i wprowadzenia do walki już ostatnich rezerw Frontu Zachodniego.

Właściwie od nowa formowano dowództwo i skład 5, 16, 43 i 49 armii. Ich zadaniem było za wszelką cenę nie dopuścić wroga do Moskwy. Obronę kierunku wołokołamskiego powierzono 16 armii gen. Rokossowskiego, 5 armia generała Leluszenki (później gen. Leonida Goworowa) osłaniała kierunek możajski, 43 armia gen. Gołubiewa zablokowała drogę na Małojarosławiec, a 49 armia gen. Zacharkina zamknęła drogę na Kaługę

Wymienione cztery, odbudowane w swym składzie armie powstrzymały impet czołowego uderzenia niemieckiego i kosztem olbrzymich strat wypełniły misję obrony stolicy.

★ ☆ ★

Obronę kierunku Wołokołamsk — Moskwa gen. Zukow powierzył 16 armii gen. Rokossowskiego. Był to obok możajskiego szczególnie ważny odcinek linii obronnej liczący około 100 km Pas obrony przecinały dwie ważne szosy — Wołokołamsk — Moskwa i Moskwa — Leningrad. Niemcy obie usiłowali wykorzystać do szybkiego posuwania się na Moskwę.

16 armia gen. Rokossowskiego dysponowała dwiema dywizjami kawalerii, dwiema dywizjami piechoty, brygadą pancerną, trzema pułkami artylerii przeciwpancernej, dwoma pułkami artylerii rakietowej oraz dwoma pułkami podchorążych. W trakcie walk te skromne siły uzupełniono batalionami marszowymi i kompaniami niszczycieli czołgów formowanymi w Moskwie i rejonie na wschód od stolicy. W końcu pazdziernika siły armii wzmocniły jeszcze dwie brygady pancerne. Obsadzanie linii możajskiej odbywało się w dużym pośpiechu.

Sztab armii uważa za najbardziej zagrożony odcinek styku z 5 armią generała Leluszenki w rejonie sowchozów Bołyczewo i Fiedosino. Tam rozlokowano 316 dywizję i przydzielony jej pułk artylerii przeciwpancernej. Do każdego batalionu przydzielono dodatkowo (ponad etat) 4—5 działek przeciwpancernych.

Formowanie 316 dywizji piechoty rozpoczęto w lipcu w Ałma-Acie stolicy Republiki Kazachskiej. Dowódcą jednostki został generał Iwan Panfiłow, dotychczasowy komisarz wojskowy Republiki Kirgiskiej. W wojsku pełnił on służbę od 1915 r. początkowo jako podoficer, w okresie wojny domowej jako dowódca kompanii, batalionu i pułku. Miał on opinię wymagającego i sprawiedliwego dowódcy, cenionego przez przełożonych i lubianego przez podkomendnych.

Charakterystycznym rysem dywizji był jej wielonarodowościowy skład, gdyż obok Rosjan znaczny odsetek stanowili przedstawiciele narodów Środkowej Azji, a 1077 pp nazwano potocznie pułkiem kirgiskim.

W sierpniu 1941 r. dywizję przewieziono na obszary Rosyjskiej Republiki Federacyjnej, gdzie kontynuowała szkolenie wojskowe. 5 października w trybie alarmowym przewieziono dywizję na linię możajską i tam zajęła ona stanowiska wzdłuż rzek: Chłupnia i Ruza na najbardziej zagrożonym kierunku wołokołamskim. Dywizja została wzmocniona pułkiem podchorążych, 2 dywizjami artylerii rakietowej i 3 pułkami artylerii przeciwpancernej.

Wykorzystując przygotowane umocnienia polowe, pododdziały dywizji zajęły węzły obronne, obsadzane najczęściej przez kompanię piechoty wzmocnioną plutonem niszczycieli czołgów i 2—4 działkami przeciwpancernymi.

14 października zawiązały się walki wzdłuż całego pasa obrony 16 i 5 armii. Niemcy przy dużym wsparciu lotnictwa rozpoznawali usytuowanie wojsk radzieckich, by następnie przełamać obronę wybranego odcinka i okrążyć znajdujące się tam załogi.

Przeciwko 316 dywizji działały: dywizja pancerna i dywizja piechoty. W trakcie bojów nieprzyjaciel ściągnął jeszcze dodatkowo dywizję piechoty i oddziały artylerii.

W ciągu 14 października Niemcom nie udało się nigdzie przełamać obrony, a na polu walki pozostało około 50 rozbitych czołgów. Podobna sytuacja powtarzała się w następnych dniach. Szczególnie zacięty charakter miały walki w rejonie sowchozu Bołyczewo.

Obrońcy dopuszczali hitlerowskie czołgi niemal do linii okopów i wówczas obrzucali je granatami i butelkami z płynem zapalającym. Niszczyciele czołgów wypełzli z okopów i zalegli na trasie czołgów, by w decydującym momencie obrzucić „potwora" granatami i butelkami. Tego typu działania wymagały szalonej odwagi, gdyż żołnierz działał sam, najwyżej w parze, według własnego planu taktycznego. Obrona całego pasa przekształcała się w długi szereg epizodów bohaterstwa.

Koło sowchozu Bołyczewo 6 kompania II batalionu 1073 pp odparła dwa kolejne natarcia lecz na stanowiskach pozostało zaledwie kilkunastu żołnierzy. W trakcie trzeciego natarcia st. lejtnant Kokuria (Gruzin) wyskoczył z okopu z wiązką granatów i wysadził czołg, ginąc pod gąsienicami. Naśladowało go 3 żołnierzy, którzy zniszczyli dwie dalsze maszyny. Pozostałe czołgi zawróciły. Sowchoz Bołyczewo pozostawał nadal radziecką rubieżą obronną.

18 i 19 października trwały walki wzdłuż linii zajmowanych przez 5 i 16 armię. Jednakże 18 października pod wieczór Niemcy klinem wdarli się do rejonu Bołyczewa, a nieliczni obrońcy musieli wycofać się. Na styku 5 i 16 armii wytworzyła się groźna sytuacja. Nieprzyjaciel przerywał się przez prawe skrzydło ugrupowania 5 armii. Zawiązały się walki uliczne w Możajsku, a 19 października Niemcy opanowali miasto i wyszli na autostradę Mińsk — Moskwa. Natomiast w rejonie Wołokołamska nadal nie mogli przełamać obrony, chociaż na kilku odcinkach posunęli się o 5—10 km i zaczęli obchodzić stanowiska 316 dywizji od południa.

Okrążone kompanie i doraźnie tworzone grupy walczyły w pierścieniu wroga, zaś nocą resztki obrońców podejmowały próby przebijania się.

W tej krytycznej sytuacji gen. Panfiłow nocami lustrował pododdziały, sprawdzał działania służb kwatermistrzowskich i sanitarnych, częściej chwalił żołnierzy i dowódców, ale czasem i ganił, instruował i analizował sytuację.

W dniach walk dosłownie o każdy metr terenu osobisty przykład dowódców działał mobilizująco, zarażliwie, a w atmosferze koleżeństwa i determinacji wola zadania wrogowi maksymalnych strat hartowała przekonanie o przyszłym zwycięstwie.

Dowódca 8 Dywizji Piechoty Gwardii, generał major Gwardii I. Panfiłow (pierwszy od lewej) na miejscu postoju sztabu dywizji we wsi Gusieniewo (Front Zachodni, 18 listopada 1941 r.)

Dla 316 dywizji po utracie rejonu Bołyczewa walki trwały wzdłuż rzeki Ruza. Niemcy przeprawili na drugi brzeg około 30—40 czołgów i nacierali na Ostaszewo. W okrążeniu znalazły się resztki batalionu kapitana Łysienki z 1075 pp. Walczyły one dosłownie do ostatniego żołnierza, a próby przyjścia z pomocą nie powiodły się. Wszyscy obrońcy Ostaszewa polegli śmiercią walecznych.

25 października gen. Panfiłow przekazał do dowódcy 16 armii meldunek, że przydzielona artyleria poniosła olbrzymie straty, zaś z resztek 1075 pp uformowano kompanię w stałowym składzie. W tej sytuacji dywizja cofnęła się na nowe stanowiska na wschód od Wołokołamska.

W czasie wycofywania się szef sztabu 1073 pp kpt. Manajenko z grupą żołnierzy zostali okrążeni. Manajenko wiązką granatów zniszczył czołg, a kilkunastu żołnierzy wycofało się do pobliskich zabudowań gospodarczych. Walczyli tam do wyczerpania amunicji. Zginęli wszyscy w płonących budynkach podejmując walkę wręcz.

W wyniku dwutygodniowej ofensywy niemiecka grupa armii „Środek" zepchnęła oddziały radzieckie z możajskiej linii obronnej. Sukcesy najeźdźców miały znaczenie lokalne i taktyczne, a obrońcy umocnili się na nowych stanowiskach. Niemcy musieli czekać na posiłki, ale nadal nie rezygnowali ze zdobycia Moskwy, a jedynie przesuwali „dzień triumfu" na koniec listopada.

Szosa wołokołamska

(październik – grudzień 1941)

W pierwszych dniach listopada mocno nadwątlone siły Frontów Kalinińskiego (utworzony w październiku) i Zachodniego przygotowywały się do nowych walk. Otrzymano uzupełnienia (2 dywizje syberyjskie, 3 brygady kawalerii, 10 batalionów marszowych) Nie bagatelizowano możliwości przedarcia się wroga nawet w obręb Moskwy, natomiast nie brano pod uwagę możliwości opanowania przez niego stolicy. Miasto pośpiesznie przygotowywano do obrony. Budowano barykady oraz stanowiska dla artylerii.

316 dywizja także otrzymała uzupełnienia. Nowo przybyli byli Rosjanami. Zmienił się więc skład narodowościowy, pozostały koleżeńskie, internacjonalistyczne stosunki. Było to zasługą dawnej kadry i dowódcy gen. Panfiłowa, który przejawiał niestrudzoną inicjatywę i pracowitość.

Atmosferę owych dni krótkiej przerwy w działaniach charakteryzuje list córki generała, Wali, do matki. Wala była sanitariuszką w batalionie sanitarnym. 10 listopada pisała:

„Ojciec schudł, chodzi jeszcze bardziej przygarbiony, ale czuje się rzeźko i na zdrowie nie narzeka. Byłam u niego i pogadaliśmy sobie, choć nie tak długo, jak chciałam. On nie ma czasu pisać do Ciebie, ale Ty możliwie często pisz do niego... Nasza dywizja rozbiła trzy dywizje wroga i cofnęła się tylko na rozkaz. Na ogół nasze sprawy nie przedstawiają się źle, a Niemcy boją się nadchodzących mrozów..."

Około 10 listopada Niemcy zakończyli przegrupowywanie i wzmacnianie swych sił. 14 listopada ponownie przystąpili do ofensywy. Stanowiska 316 dywizji (podobnie jak i innych) znalazły się od rana pod huraganowym ogniem, a około godziny 10 ruszyły czołgi i piechota.

Szczególnie silne uderzenia miały miejsce wzdłuż szosy Wołokołamsk — Moskwa oraz linii kolejowej. Walki, podobnie jak w październiku miały charakter niezwykle zacięty, a okopane kompanie i plutony niszczycieli czołgów broniły się do ostatniego żołnierza.

Na przednim skraju obrony stolicy (grudzień 1941 r.)

W rejonie wsi Strukowo natarcie 20 czołgów zatrzymała grupa 11 saperów na około 5 godzin. Wszyscy oni polegli i pośmiertnie zostali odznaczeni Orderami Lenina. Inną kolumnę koło Mykanino zmusił do cofnięcia się pluton niszczycieli lejtnanta Firsowa. Kiedy do okopu dotarła pomoc, było tam tylko 2 sierżantów i 1 żołnierz lekko ranny — reszta to zabici lub ciężko ranni, niezdolni do walki.

Gdy Niemcy okrążyli jeden z punktów oporu 1073 pp, 16 obrońców pod dowództwem Dołgajewa walczyło do ostatniego żołnierza.

W pobliżu mijanki kolejowej Dubosiekowo znajdowały się stanowiska 4 kompanii 1075 pp. Starszy politruk Wasilij Kłoczkow zauważył z punktu dowodzenia, że kolumna czołgów posuwa się w stronę okopanego plutonu niszczycieli. Szybko tam podążył linią rowów dobiegowych.

Załoga punktu oporu liczyła 28 ludzi. W rozwiniętym szyku nacierało 20 czołgów. Kłoczkow wg relacji ocalałych, miał krzyknąć parokrotnie: „Dwadzieścia czołgów, mniej niż jeden na żołnierza. Granatami i butelkami w dranie!" Zniszczono 14 czołgów, a pozostałe zawróciły.

Po krótkiej przerwie znowu artyleryjska nawała i znowu na okopany pluton pełzł pancerny zagon — 30 wozów bojowych.

Kłoczkow stwierdził, że zdolnych do walki pozostało 15 obrońców. Zwracając się do żołnierzy miał krzyknąć: „Przyjaciele! Zapewne wszyscy musimy umrzeć. Wielki kraj Rosja, a cofać się nie ma gdzie. Za nami Moskwa". Te słowa zostały zrozumiane jako rozkaz, a zarazem i apel.

Ranny Kłoczkow chwycił przygotowaną wiązkę granatów i wyskoczył z okopu kierując się w stronę nadjeżdżającego czołgu. Wybuch poderwał maszynę, lecz równocześnie zginął Kłoczkow. Podobnie postąpiło kilku żołnierzy plutonu. Natarcie załamało się, gdyż w tym krytycznym momencie reszta czołgów zawróciła.

Zapadające ciemności przerwały bój. W nocy sanitariusze ewakuowali pięciu rannych obrońców Dubosiekowa. Im zawdzięczamy relację z tego bohaterskiego epizodu oraz upamiętnienie ostatnich chwil starszego politruka Wasilija Kłoczkowa, którego słowa „cofać się nie ma gdzie, za nami Moskwa" spopularyzowało radio, prasa i masowe wydawnictwa frontowe (ulotki i tzw. „Biuletyny Sławy").

W ciągu 16 listopada Niemcom udało się obejść kilka stanowisk 1073 pp., a także okrążyć kilka schronów w pasie obrony 1077 pp. 316 dywizja musiała wycofać się na nowe pozycje.

17 i 18 listopada Niemcom udało się posunąć o kilka kilometrów wzdłuż stanowisk 16 armii, a w pasie Frontu Kalinińskiego wyjść na północ od wołżańskiego zbiornika wodnego. 316 dywizja uporczywie broniła się w rejonie wsi Gusieniewo i Rybaki.

W toku zaciętych walk nadeszła do sztabu dywizji wiadomość o nadaniu jednostce zaszczytnej nazwy „8 Dywizji Gwardii", a oficerom i żołnierzom licznych odznaczeń. Niestety dzień radości zamienił się w dzień żalu i żałoby, gdyż zginął ukochany dowódca.

Relację o śmierci gen. Panfiłowa znajdujemy w liście jego córki Wali do matki:

„...znajdowałam się na wysuniętym punkcie sanitarnym. Napływał strumień rannych. Od nich dowiedziałam się, że ojciec został ciężko ranny. Dopiero po pewnym czasie udałam się do naszego szpitala. Niestety, ojca nie było wśród żyjących. Odłamki pocisku przeszyły jego pierś i uratować jego życia nie udało się".

W toku walk 18 listopada gen Panfiłow starał się być na najbardziej zagrożonych stanowiskach. Przejściowo obejmował dowództwo nad pododdziałami. Gdy w rejonie Gusieniewa Niemcy przerwali obronę i usiłowali okrążyć stanowiska radzieckie, Panfiłow na miejscu wydawał rozkazy w celu zabezpieczenia wyrwania się z okrążenia. Działanie powiodło się i kiedy oficerowie sztabu i dowódca już byli pewni, że utrzymają nową rubież, rejon znalazł się pod silnym ostrzałem moździerzy. Kilka odłamków pocisku ugodziło w gen. Panfiłowa.

Chociaż pozbawiona ukochanego dowódcy 316 dywizja, obecnie już jako 8 Dywizja Gwardii prowadziła nadal uporczywe walki. Podczas bojowych przerw w pododdziałach przeprowadzano zebrania poświęcone pamięci poległego dowódcy. Wystąpiono także z prośbą o nadanie dywizji imienia gen. Panfiłowa (pełna nazwa: 8 Dywizja Gwardii im. gen. Iwana Panfiłowa).

Ostatni tydzień listopada dla wojsk Frontu Zachodniego był okresem szczególnie ciężkich walk. Wiedziano już, że do rejonu Moskwy przybywają nowe, wielkie jednostki, ale do czasu ich wejścia do walki trzeba było utrzymać pozycje.

22 i 23 listopada Niemcy oskrzydlili od północy miasto Klin i przerwali się w kierunku Sołniecznogorska. Do obrony tego miasta przerzucono 2 bataliony 8 Dywizji Gwardii. Jednak miasta nie zdołano utrzymać.

Najbardziej niebezpieczne sytuacje powstały na północno-zachodnich odcinkach moskiewskiej strefy obronnej wzdłuż kanału Moskwa — Wołga i w rejonie Kuncewa. Natomiast na południu natężenie walk nieco osłabło, ale tylko do 26 listopada, kiedy to nieprzyjaciel wprowadził do działań nowe jednostki i usiłował okrążyć Tułę.

23 listopada 8 Dywizja Gwardii (dawna 316) pod dowództwem gen. Riewiakina (następca Panfiłowa) nie mogła powstrzymać wroga w rejonie istrińskiego zbiornika wodnego i wycofała się na nowe stanowiska. Sytuacja była nader złożona i uległa zmianom, gdyż Niemcy wdzierali się klinami w ugrupowania radzieckie. Za cenę ogromnych strat jednakże zdobywali poszczególne punkty oporu. Lecz właśnie w ostatnich dniach listopada poszczególne dywizje 16 armii otrzymywały uzupełnienia.

8 Dywizja Gwardii po wcieleniu około 5000 ludzi z uzupełnienia zorganizowała obronę Kriukowa, jednakże nie mogła utrzymać tej miejscowości i musiała zająć nowe stanowiska na południowy wschód od miasteczka.

Do 30 listopada walki w pasie 16 i 5 armii nie uległy osłabieniu. Gdzieniegdzie nieprzyjaciel posunął się o kilka kilometrów naprzód i osiągnął bliskie przedpola Moskwy (Kuncewo, Szeremietiewo), ale nie wdarł się w granice miasta. Na początku grudnia tempo walk osłabło. Jak stwierdzał w meldunku gen. Rokossowski: „Niemcy chyba już postanowili zimować pod Moskwą i nie spodziewają się naszej kontrofensywy".

Radziecka Kwatera Główna realnie oceniła swoje możliwości po zgromadzeniu znacznych rezerw. Planowano odrzucenie przeciwnika w pasie 3 Frontów (Kalinińskiego, Zachodniego, Południowo-Zachodniego). Miała to być pierwsza od czerwca 1941 wielka operacja zaczepna na froncie długości około 1000 km. Dla dowództwa grupy Armii „Środek" była pełnym zaskoczeniem, gdyż dowódca grupy feldmarszałek von Bock uważał, że Armia Radziecka znajduje się na progu wyczerpania swych ostatnich rezerw. Tymczasem 6 grudnia armie lewego skrzydła Frontu Zachodniego rozpoczęły zdecydowane kontruderzenie, a następnego dnia włączyły się Front Kaliniński i Południowo-Zachodni. Dla Grupy Armii „Środek" rozpoczął się etap odwrotu.

Działania ofensywne 16 armii zainaugurowała 8 Dywizja Gwardii uznana za najbardziej wyróżniającą się jednostkę armijną. Z jej składu osobowego udało się utworzyć tylko 3 bataliony piechoty, które nosiły nazwy bohaterskich pułków 1073, 1075, 1077.

Zadaniem dywizji było opanowanie Kriukowa i posuwanie się na zachód. Do tej osobliwej trzybatalionowej „dywizji" włączono brygadę pancerną i pułk artylerii.

Walki o Kriukowo miały charakter zacięty. 9 grudnia Niemcy opuścili Kriukowo i cofali się stawiając opór. Po zajęciu Istry dywizja otrzymała rozkaz przejścia do rezerwy frontowej w celu odpoczynku, przeorganizowania się i wchłonięcia uzupełnień.

Od października do grudnia 1941 316 dywizja (później 8 Dywizja Gwardii) w walce cofała się broniąc szosy wołokołamskiej; od 6 grudnia zmieniła kierunek ze wschodniego na zachodni. Wyrzuciła Niemców z Kriukowa, zajęła Istrę. Wycofano ją przejściowo do rezerwy.

Do końca wojny będzie pozostawała na różnych frontach 8 Dywizja Gwardii im gen. Iwana Panfiłowa. Będą zmieniali się dowódcy, skład osobowy, pozostaną wciąż żywe tradycje szosy wołokołamskiej, Dubosiekowa, walk o Kriukowo. Oficerowie i żołnierze dywizji zawsze z dumą nazywali i nazywają siebie „panfiłowcami".

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Dokończenie ze strony 1

la wymaga natychmiastowego remontu.

Tak więc młodzież pod przewodem swych pedagogów przeniosła się na Drewnowską. W sporym, również dość starym gmachu mieścił się tam Zespół Szkół Zawodowych nr 2, składający się z Technikum Włókienniczego, Zasadniczej Szkoły Zawodowej i Średniego Studium Zawodowego. IV LO okazało się czwarte w tym zespole i od razu też przestało być „czwarte". Weszło w skład zespołu jako Liceum Ogólnokształcące bez numeru i nazwy. Zespół też stracił numer i przymiotnik w nazwie. Jest teraz Zespół Szkół. Krócej i prościej.

Przeprowadzka biura czy warsztatu to rzecz prosta: ładuje się graty na wozy, ustawia w nowym miejscu i szlus. Przeprowadzka szkoły, uczelni, teatru czy choćby kawiarni to co innego. Takie instytucje, od uniwersytetu do kafejki, jeśli tylko dość długo porastają mchem i kurzem w jednym miejscu, zrastają się z murami. A jak się już, przez całe lata, zrosną, to mówi się, że jest tam genius loci. Taki duch, co w niego nawet najwięksi i najzatwardzialsi materialiści wierzą. Czy genius loci starej budy, czwórki, przeprowadził się posłusznie na Drewnowską? Na to pytanie pani Edwarda Szeflińska, dyrektorka Zespołu Szkół nie potrafi odpowiedzieć. Wie natomiast na pewno, że czwórka jest w zespole sublokatorem i czuje się jak sublokator. Ciasno jej, współmieszkańcy zaglądają do garnków, czeka na własny kąt. Nie czeka z założonymi rękami: dzięki energii zespołu pedagogicznego i zapałowi młodzieży nie tylko procesy dydaktyczne przebiegają względnie sprawnie. Szkoła ma ambicję nie uronić nic ze swego dorobku. W trudniejszych warunkach działają nadal zespoły i koła pracy pozalekcyjnej, trwa z powodzeniem „akcja teatr", olimpijczycy z roku na rok coraz liczniej rozsławiają imię (imię?) szkoły w ogólnopolskich igrzyskach. W roku bieżącym nie istniejąca czwórka wystawia w olimpiadzie języka angielskiego czterdziestu reprezentantów!

A co w starej budzie? Ano nic szczególnego. Robi się. Langsam, bez nerwów. Piłkarz gra jak mu przeciwnik pozwala, budowlaniec robi jak ma z czego. A przeważnie nie ma. Nie ma materiałów wykończeniowych i instalacyjnych, nie ma tego, nie ma owego. Głównie ludzi nie ma. Jeden z wykonawców remontu, PBK Wschód zatrudnia 200 ludzi. A potrzebuje 1000!

A ilu z tych dwustu pracuje w czwórce? Pięciu? Dziesięciu? Różnie. Raczej mało, bo inne budowy też czekają.

— *Inwestor sam utrudnia robotę* — mówi zastępca dyrektora PBK Wschód inżynier Janusz Franke — *wprowadza zmiany w projekcie w trakcie prac, rozszerza zakres robót. Kiedy wchodziliśmy na plac budowy latem 1983 roku zlecenie opiewało na prace wartości 28 milionów 222 tys. zł. Ustalono wówczas termin zakończenia remontu na 31 sierpnia 1985 roku*

Potem zaczęły się przeprojektowania. A to drzwi w innym miejscu, a to okna nie takie... A ja nie mam ludzi i materiałów. Kiedy na jednej budowie czegoś brakuje, ludzi przerzuca się na inną, żeby nie stali bezczynnie. Na dodatek remonty szkół i placówek służby zdrowia są traktowane szczególnie. Nie gwarantuje się materiałów. Na mieszkaniówkę jest przydział z ministerstwa, a na szpitale i szkoły nie ma. Krótka kołdra.

Dochodzi do takich sytuacji, że przyjmujemy zlecenie na remont pod warunkiem, że inwestor dostarczy materiał. Niedawno naczelnik dzielnicy Śródmieście dzięki osobistym kontaktom załatwił glazurę z Opoczna. Na zasadzie uszczelki.

Aż wreszcie okazało się, że inwestor życzy sobie jeszcze planetarium i dostrzegalnię nieba. (Dostrzegalnia nieba to po ludzku obserwatorium astronomiczne. Kolejne osiągnięcie urzędników — purystów językowych. Kopernik, proszę państwa, nie przeprowadzał żadnych obserwacji astronomicznych, on po prostu „dostrzegał niebo" i już! (przyp. AK). Zakres robót rozszerzył się o 6 milionów 601 tys. zł. Termin uzgodniono na 31 grudnia 1985, tylko o cztery miesiące dłużej niż pierwotny. A roboty są trudne, nietypowe...

— To jest termin realny? — pytam — dotrzymacie go?

— *Dotrzymamy* — mówi inż. Franke. Nie mówi tego z przekonaniem.

Komu gra, komu koliduje...

Co ważniejsze, szkoła czy planetarium?

Kiedy powstał Zespół Szkół postawiono na jego czele pięcioosobową dyrekcję. Czwartemu wicedyrektorowi, Mieczysławowi Borkowskiemu, oprócz normalnej porcji obowiązków administracyjnych i dydaktycznych przyszło jeszcze nadzorować remont „czwórki". Od tego czasu zaczęła się sprawa.

Sprawa planetarium i obserwatorium. Mieczysław Borkowski zaangażował się całym sercem właśnie w planetarium. Wydeptał u wszelkich możliwych władz poparcie i ołówek spod ziemi wydobył wyposażenie. Kiedy w początkach listopada odwiedziłem planetarium z fotoreporterem, kopuła planetarium była prawie gotowa. Gotowa była również stacja komputerowa i sala wykładowa. Sala wyposażona w monitory i magnetowidy, w teleskopy sprzężone z ekranami telewizyjnymi. We wszystko, co z tej dziedziny można zdobyć w Polsce.

W podręcznym warsztaciku pracował Roman Bogacki, nauczyciel fizyki z zawodu a miłośnik astronomii i „złota rączka" z zamiłowania. Przygotowywał właśnie — własnoręcznie wykonywany — osprzęt do projektorów.

Obydwaj, Borkowski i Bogacki, wychwalali zaprzyjaźnione przedsiębiorstwa, dzięki którym udało się zgromadzić te wszystkie cuda: łódzki „Prexer" i jego dyrektora, firmę „Unitra-Service", KPWB — podwykonawcę remontu. Dzięki ich życzliwości, dzięki poparciu władz, dzięki współpracy z Polskim Towarzystwem Miłośników Astronomii, dzięki wreszcie ich własnemu zaangażowaniu i pracowitości placówka już faktycznie powstała: Mieczysław Borkowski nie jest już wicedyrektorem Zespołu Szkół, ma w kieszeni nominację na dyrektora ośrodka pracy pozaszkolnej, na który składają się właśnie planetarium i obserwatorium. Ma już dziewięcioosobowy personel ośrodka i obiecuje sobie i miastu, że prezydent przetnie wstęgę w rocznicę wyzwolenia Łodzi — w nadchodzącym styczniu.

Jednocześnie dyrektor Mieczysław Borkowski jest nadal odpowiedzialny za remont IV Liceum...

Nie mam najmniejszych powodów, żeby Borkowskiego posądzać o złą wolę, ale... Ale pokażcie mi człowieka, który na jego miejscu dzieliłby równo czas i serce między remont i planetarium? Który tyle samo troskliwości poświęci starej ciotce co młodej narzeczonej?

Sam dyrektor Borkowski się do tego nie przyznaje, oczywiście. Mówi np., że remont szkoły tylko korzysta z planetarium. No bo robi się obserwatorium na dachu. Trzeba ten dach naprawić, trzeba doprowadzić do porządku klatkę schodową, choćby po to, żeby dostać się do „dostrzegalni".

Otwarcie będzie w styczniu. Przyjdą oficjele. Trzeba będzie teren uporządkować, żeby po gruzach nie chodzili. A jak się jakieś materiały załatwia dla planetarium, to i dla szkoły przy okazji!

Foto: Grzegorz Galasiński

No właśnie, przy okazji...

— *Ja robiłem i robię co mogę dla dobra szkoły i dla ośrodka. A dyrektorka Szeflińska tylko mi kłody pod nogi rzucała i rzuca* — mówi dyrektor Borkowski — *pisma różne wysyłała do władz, kwestionując mój wysiłek. Krzywdzi mnie, nie wiem za co...*

Dyrektor Szeflińska jest zdania, że ten cały ośrodek wcale a wcale nie jest potrzebny. Zaspokaja tylko prywatne ambicje M. Borkowskiego. Planetaria już w Łodzi były, choćby w liceum na rogu Kościuszki i Zamenhofa. I co? Pies z kulawą nogą tam nie zajrzał. A czwórka to szkoła o orofilu humanistycznym, astronomii w programie tyle co kot napłakał, jakaś godzinka tygodniowo w maturalnej klasie. Po co planetarium, po co obserwatorium? Budynek szkolny potrzebny!

— *A jeśli już ma być planetarium, to niech sobie będzie, tylko nie kosztem potrzeb najpilniejszych, kosztem remontu. Niech wyremontują szkołę jak najprędzej, niech się młodzież wprowadzi i zacznie w przyzwoitych warunkach pracować. Wtedy proszę bardzo, róbcie sobie nie tylko planetarium, zróbcie sobie choćby ogród zoologiczny, choćby cyrk* — mówi dyrektor Szeflińska.

Póki co, to panią dyrektorkę krew zalewa, że w tym ośrodku to już nawet zatrudniają nauczyciela wychowania muzycznego i jakąś kosmiczną muzykę nagrywają! Dyskotekę tam robią czy co? A wszystko przez Mieczysława Borkowskiego. Problemy z nim były od początku, do pracy w szkole się nie przykładał, tylko wciąż na budowie. Aż i wystarał się o tę dyrekturę ośrodka. Tylko po co nadal zajmuje się remontem? Przecież to już nie jego działka? Pisze więc do władz pani dyrektor Szeflińska, pisze komitet rodzicielski, a władze akceptują stan obecny.

Dzielnicowym Zespołem Administracji Szkół Dzielnicy Śródmieście kieruje dyrektor Wiesław Brzozowski.

— Jak sprawa remontu i planetarium wygląda ze szczebla dzielnicowej władzy? — pytam dyrektora Brzozowskiego — czy rację ma dyrektor Szeflińska, że budowa planetarium opóźnia remont szkoły, czy rację ma dyrektor Borkowski, że jest akurat przeciwnie, tj. budowa planetarium przyśpiesza remont?

— *Między panią Szeflińską a panem Borkowskim zaistniał konflikt, który dziś ma już historyczny charakter i nie pora go rozstrzygać, pewnie obie strony zapomniały już o co poszło. — mówi dyrektor Wiesław Brzozowski. — Prawda leży pośrodku: Robimy planetarium i obserwatorium w ramach remontu. Potrzeba istnienia takiego ośrodka przez nikogo nie jest kwestionowana. Robimy to w ramach remontu czwórki, niejako przy okazji. Jak pamiętam, to już przed remontem wstępna umowa w Dyrekcji Inwestycji Miejskich przewidywała budowę planetarium — nawet nie budowę, tylko adaptację jednego z budynków szkoły — jednocześnie z remontem. Planetarium remontowi nie przeszkadza. Dla nas jest to jedna sprawa, jeden obiekt.*

Dyrektor Janusz Franke z PBK Wschód powiedział mi prywatnie, że przedsiębiorstwo lada dzień wejdzie w remont Szpitala im. dr Hanny Wolf. Ogromna robota, która zaangażuje wszystkie siły i środki, wszystkich ludzi. Na innych obiektach PBK będzie zastój. Jakieś drobne prace.

Planetarium będzie wtedy już gotowe. Remont czwórki — dokładnie rozgrzebany...

Jaka jest prawda obiektywna? Czy to jest skandal, jak twierdzi Szeflińska? Młodzież się męczy, nauczyciele się męczą, rodzice się męczą, a tu zamiast remontu planetarium i kosmiczna dyskoteka?

Może jest tak, jak mówi Mieczysław Borkowski? Robota idzie, planetarium prawie gotowe, a i remont się podgoni?

Może ma rację dyrektor Wiesław Brzozowski? Nic się nie stało, konflikt jest pozorny, właściwie to tylko osobiste niesnaski między Szeflińską a Borkowskim. Robota idzie, zrobimy i remont, i planetarium?

„*Wszystko gra i koliduje*" Jak mawia jeden z bohaterów „Nocy saksofonów" Andrzeja Makowieckiego. Ano, gra, na budowie planetarium. Ale i koliduje ...najwyraźniej koliduje z interesami szkoły.

Póki co, od września 1982 roku nie ma w Łodzi jednej z najstarszych i najbardziej znanych w mieście szkół średnich. Nie ma IV Liceum Ogólnokształcącego im. Emilii Sczanieckiej. Budynek szkolny, okazały, przypominający raczej gmach banku lub ważnego urzędu z przełomu wieku XIX i XX straszy: elewacja zniszczona, powybijane okna pozalykane byle czym, odrapana brama zamknięta na kłódkę, kłomby zachwaszczone. Ktoś pozbawiony wyobraźni i taktu zatknął w pierwszych dniach listopada 84 biało-czerwoną flagę nad wejściem...

Aha, jest jeszcze coś. W styczniu uroczyste otwarcie planetarium!

ANDRZEJ KAROLCZAK

Latawce — dmuchawce

Tomasz Zarzycki

RYSZARD BINKOWSKI

(1)

Piąty as

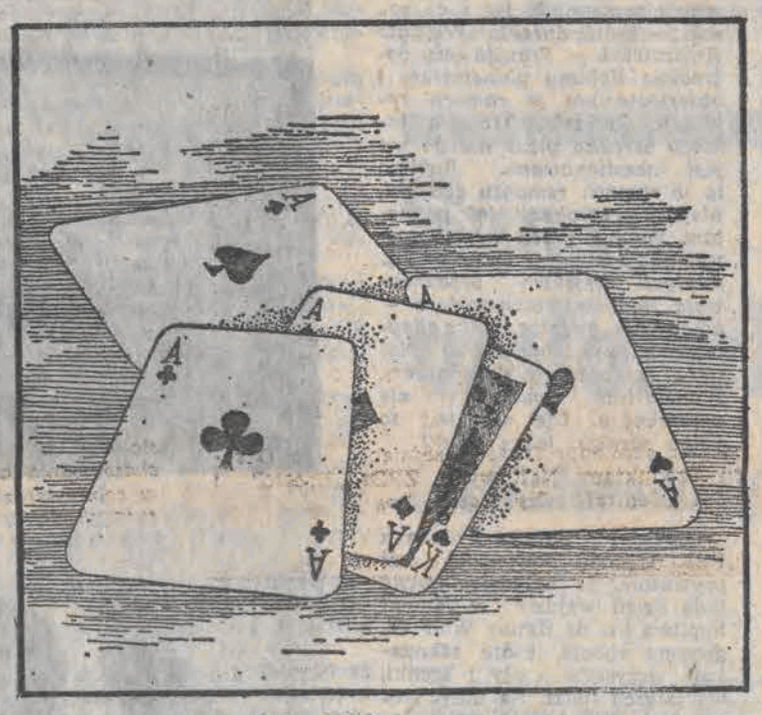

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Były takie piękne czasy, kiedy prominenci schodzili na psy, zaś różne marginesowe płotki i niedorozwinięte hieny ze strefy prywatnej odnawiały się na własną rękę.

Obywatel Bogusz Nawał na przykład zamiast propagować życie po japońsku i rajzę po saksach, pojechał się odnawiać do socjalistycznej Bułgarii. Ciężko mu to szło, albowiem przez pięć lat tyrał za parobka u polskiego prywaciarza, naprawiając państwowe suwnice, i miał przykre nawyki. Wrócił przeto do ojczyzny, gdzie akurat ogłoszono stan wojenny. Ponieważ była to dziwna wojna bez strzelaniny, Bogusz Nawał nie krzyczał, że chce na roboty do Niemiec, gdyż roboty było do wiwatu na miejscu, albowiem Polska stała się krajem nieletnich emerytów.

A Bogusz miał zaledwie czterdzieści lat. Był bezdzietnym kawalerem pochodzenia robotniczego, ale niepracującym. Ot, bezrobotny mechanik suwnicowy bez majątku, za to z amicjami i z żyłką do racjonalizacji. Żeby nie zmarnować talentu, postanowił otworzyć w ramach butikowego socjalizmu mały warsztat produkujący wyroby z tworzyw sztucznych. W tym celu wynajął lokal z czynszem w wysokości 5 tys. miesięcznie. Komornego jednak nie płacił, albowiem musiał wpierw załatwić masę ważnych formalności, jak wydębienie zgody od strażaków i sanepidu oraz kuponu zezwolenia w wydziale przemysłu i handlu. No i w końcu miał ten swój warsztat, a w nim stare, nie używane krosna żakardowe, na których były właściciel wyrabiał kiedyś sztandary przechodnie dla ochotniczych straży pożarnych. Poza tym straszył tam duch reformy, kurz, pajęczyny i kłódka na drzwiach.

Nie zrażony tym Bogusz ruszył w Polskę szukać rynku zbytu na swoje wyroby. Aby zdobyć fundusze na uruchomienie swego zakładu, wdał się w konkurencję z krakowskimi zakładami produkującymi masowo obrazy historyczne, w tym poczet królów, dam dworu i zwykłych dupków żołędnych. Kraków jest miastem królewskim, ale z Nawałem przegrywał, ponieważ Kraków jest staroświecki i konserwatywny, A Bogusz nowoczesny, idący z duchem odnowy.. Udoskonalał ten poczet królów, jak tylko potrafił, i badał uważnie jak się jego wynalazki sprawdzają w praktyce. Różnie z tym bywało, tu święcił triumfy, tam doznawał porażek i goryczy społecznego niezrozumienia, ale zawsze do przodu.

Udoskonalił w ten sposób dwadzieścia pocztów pracując ze szczególną troskliwością nad tuzami dworskimi. Jednakże wynalazku nie opatentował, miała to bowiem być niespodzianka dla nękanego kryzysem społeczeństwa. Bogusz Nawał pragnąc stać się odkupicielem narodu, zamierzał zadać druzgocący i ostateczny cios polityce licencyjnej z lat siedemdziesiątych i profesorowi B. osobiście.

Eksperymentując na peryferiach jako skromny, niedoceniony przez reżim racjonalizator dotarł wreszcie na Ziemie Odzyskane. Szukał tutaj gorączkowo zrozumienia u władz oraz rynku zbytu na swoje przyszłe — niedoszłe najacyki z plastyku. Jego baza wypadowa znajdowała się w mieście N., a ściślej w powiatowym apartamencie hotelu „Kołodziej" kat. „W". Oznaczało to, że znalazł wsparcie u wojewody i byłego starosty.

Ale nie było to chyba silne wsparcie, ponieważ Nawał zdążył przerobić dwie sorzataczki, jedną pomoc kuchenną, i poczuł płótno w kieszeni. Uratowała go pewna turystka z RFN. Miała sześćdziesiąt trzy lata, utracone włości nad Odrą i nienaruszoną cnotę, a w banku trochę nietknietych marek. Bogusz naruszył to i to turystka spłakała się ze szczęścia, że może jeszcze spełnić na ziemi ojców święta misję admirała Hupki, po czym uciekła z „Kołodzieja", by nie ulec w chwilach słabości akcji całkowitego spolszczenia, i jej trzydniowy kochanek znowu został bez grosza, nie licząc nędznych stu marek.

Wyszedł Bogusz na odzyskany rynek, by podłapać jakiegoś jelenia na te swoje plastyki a tu lecz przez skwerek taka znajoma wygolona pała z tatuażem na uchem. Był to „Herman", z którym Nawał rozbijał kiedyś bank na rygorze obostrzonym w Kaliszu.

— Cześć, stary! — wrzeszczy radośnie Herman. — Jak twoje zdrowie? Widzę, że trzymasz talię! Bez łupieżu w paznokciach, co?

— Gangrena — odpowiada ponuro Nawał. — Nie mam siły przebicia...

— Cha, cha! Jak widzisz Hermana ciało, spuszczaj talię i rżnij śmiało! Nie chciałbyś się gdzieś rozerwać, hę?

— O ile jest jakiś obiekt do rozerwania, to ja bynajmniej nie odmówię.

— Obiekty są, bracie! Takie z rzemieślniczym rodowodem i z kieszenią Cygana na szlaku do Jugosławii.

— To dobrze, Herman. Mam właśnie chęć trochę poeksperymentować.

Obiekty miały twarze magistrów z sektora ściganego, a w oczach chcicę do hazardu. Poszedł taki poker, jak w saloonie w stanie Nevada Bank pękał z trzaskiem, moc truchlała, noc konała w brzasku, pula rosła jak baba na drożdżach, a wściekłym obiektom rzedły miny i chudły kieszenie. Poprzez pule przewinęły się marki, złotówki, dinary, dolary oraz czternaście złotych obrączek.

— To ja dziękuję — oświadczył Bogusz, gdy jutrzenka objęła blaskiem jego skupioną twarz.

— Cooo? My się chcemy odegrać! — wrzasnęły obiekty.

— A co postawicie, hę?

— Pożyczymy!

— Aha, pewnie na milicji. Przepraszam — rzekł z godnością Nawał — ale o dziewiątej mam ważną konferencję z wojewodą.

To, co się przewinęło przez pulę miało łączną wartość 400 tys. zł. i trafiło prosto do apartamentu Bogusza Nawała. Przegrane obiekty, rozerwane na strzępki nerwów, poskarżyły się prokuratorowi, że Bogusz szachruje, nie licząc się z tym że im fiskus doliczył przegrana karcianą do przegranej stopy podatkowej. Milicja dopadła Nawała w chwili, gdy opuszczał recepcję i na rozkaz prokuratora osadziła go była w areszcie.

Rozpoczął się zawiły poker dochodzeniowo-śledczy. Przeciągały się żmudne badania nad pokerowymi kartami z Krakowskich Zakładów Wyrobów Papierowych. Lakierowane karty do gry były znakomicie nowoczesne, ale żaden ekspert nie mógł się w nich dopatrzyć tych innowacji. Uznano, że choćby karty komisyjnie zniszczono, to facet z takim zmysłem jak Bogusz może je zdublikować i ponownie stać się osobnikiem niebezpiecznym dla otoczenia w kryzysie. Nie wiedziano co z tym fantem zrobić, toteż Nawał przez sześć miesięcy siedział w areszcie.

Potem stanął przed sądem jako oszust. Strasznie bolało go takie oskarżenie, kiedy więc na koniec zapytano go, co on myśli o sobie i o prokuratorze, wygłosił wspaniałą, płomienną mowę obrończą. Było to najdłuższe ostatnie słowo, jakie złożył oskarżony na Ziemiach Odzyskanych, od kiedy wróciły do macierzy.

Zakończenie wywodu brzmiało mniej więcej tak:

— Wysoki Sądzie! Moja tragedia aresztanta zaczęła się w sierpniu 1982 r. Wtedy owe 400 tys. to nie była jeszcze taka ogromna suma, a dziś? Mamy już rok 1983 i tamte pieniądze osiągnęły zapewne wartość miliona, ale tylko pozornie. Dzisiaj za milion nie kupię tego, co wczoraj za 400 tys. Jak więc widać, skala mojego czynu poważnie zmalała. A poza tym, proszę Sądu, jeżeli ministrowie Krasiński i Nieckarz, sobie nie radzą to musi być jakiś zbawca w narodzie, co by zwalczał ten nawis inflacyjny. Ja jako jedyny żywiciel rodziny i początkujący rzemieślnik, któremu podcinają skrzydła, ściągałem nawis jedynie z tych szakali, co się dorabiają żerując na klasach niższych!...

Ostatnie słowo zdecydowanie należało do Bogusza. Sąd skazał go na rok i sześć miesięcy w zawieszeniu.

Wrócił Bogusz Nawał na betonowy łódzki grunt, popatrzył smętnie na kłódkę u drzwi swego warsztatu i poszedł do kawiarni. Przesiadywał tam cierpliwie co dnia pogrążony w głębokich myślach, albowiem pragnął coś nowego wynaleźć. Co tu jednak można wykombinować, kiedy po ustawie o trzeźwości kawiarnie stały się pustynią dla emigracji wewnętrznej ajentów? W kawiarni ajent ciągnie oranżadę barwioną przez słomkę, a wokół rekiny podziemia grasują na żerowiskach urzędowej naiwności jak wściekłe.

I zapewne Bogusz Nawał wysiedziałby w kawiarni emeryturę bez wyszynku, gdyby nie kolega pseudo „Słoneczko", trzydziestoletni elektryk zatrudniony jako malarz u prywaciarza. Otóż ów „Słoneczko" spragniony był wielce kontaktu intelektualnego, w związku z czym zachodził często na stadion zasłużonego robotniczego klubu, gdzie pracował za majsterka młody mularz Marian B. Jak mu dłonie zesztywniały przy kielni, to nacierał nimi lędźwie oraz uda kontuzjowanych trampkarzy. Na tym samym stadionie występował obywatel Rajmund Flisak, czterdziestoletni ojciec dwojga brzdąców i mąż młodszej żony na trzyletnim urlopie dla rodzących matek Polek. Obciążenie taka rodzina ma niezmiernie istotne znaczenie, ponieważ uwydatnia zaradność i ofiarność Flisaka oraz na jego stan majątkowy, graniczący ze skrajnym ubóstwem. Flisak był bowiem magistrem od koziołków, który po specjalizacji uzyskał rangę profesora. Zamiast z takim tytułem jechać na emigrację wewnętrzną, działał na niwie oświaty jako nauczyciel kopania piłki przez dzieci. Szkolił je w czynie społecznym — za siedem tysięcy miesięcznie. Nie miał tantiem od transferów, ponieważ małolatów jeszcze nie kaperują.

W przerwach pomiędzy jakimś wślizgiem lub napływem masy dziecięcej do przerobu w stylu „WM" bez kontrataku panowie pogrywali sobie w pokera. Łamiąc banki rozmawiali o polityce, o wyporności ciała zanurzonego w spirytusie i o różnych starociach, albowiem profesor był miłośnikiem i posiadał bogatą kolekcję białej broni.

Pewnego razu malarz Słoneczko przegrał do profesora osiem tysięcy złotych przeznaczonych na zakup farby emulsyjnej. Rozżalony i wystraszony, że pryncypał da mu za karę malowanie kominów fabrycznych, udał się był do kawiarni i naskarżył Boguszowi, że profesor wrednie go orżnął.

Aha, tu mała dygresja. Otóż gdyby autora, pseudo „R.B." dosięgło nowe prawo prasowe, to niech ono sobie wbije do indeksu, że ten karciany Bogusz, który też wkrótce będzie przycinać, nie ma absolutnie nic wspólnego z Boguszem, co grasuje z nożycami po łamach „Odgłosów". Ten nasz Bogusz jest profesorem historii, habilitowanym na problemie obyczajów plemion wschodnich, i robi przeglądy prasy dla pewnego literata, iżby ten poznał życie i nie tumanił w książkach dla enklawy aktywistów z Bałut. Jasne? No to możemy jechać dalej.

Bogusz Nawał zasięgnął języka w sprawie życia osobistego profesora Flisaka.

— Hm — hm. Więc mówisz, że ma białą broń? — spytał w zadumie.

— Ja nic mówię — odparł Słoneczko. — To on mówi, że ma.

— Wiesz co? Pomyślałem sobie, że mógłbym nabyć część kolekcji dla mojego brata.

— Aha — uśmiechnął się promiennie Słoneczko.

— Ale póki co, trzeba pomyśleć o jakiejś pożyczce.

— Zrobi się — zapewnił przegrany malarz.

Za godzinę pojechali na stadion i rzucili Flisakowi propozycję ponętnej transakcji. Profesor wyraził zgodę, bo akurat interesowały go szable, które mógł nabyć wyzbywając się korzystnie zbędnych rapierów i zardzewiałej halabardy. Umówili się na następny dzień.

Nawał ze Słoneczkiem przybyli na stadion zaraz po południu. Ponieważ brat Nawała miał wyjść z pracy dopiero o piętnastej trzydzieści, padła propozycja, aby czas oczekiwania wypełnić partyjką pokera. Trener Flisak nie odmówił. I ani się obejrzeli, jak wygrał od nich trzydzieści tysięcy.

Słoneczko już nie promieniował. Wyglądał jak zaćmienie słońca. Bogusz Nawał natomiast najpierw zsiniał, a potem zapromieniował wściekłością.

— W porządku! — wrzasnął. — Ja to, kurwa, przetrolę. Ale jak jutro przyjdę z bratem kupować te piki i halabardy, to ja się, kurwa, odegram!

— Możemy spróbować — odparł cynicznie Flisak. — Ja mam co stawiać.

Ale co z tego wyniknie, za tydzień

Obraz klęski

Grzegorz Gałasiński

EUGENIUSZ IWANICKI

Cukier krzepi złodzieja

JAK ZOSTAĆ KANCIARZEM

Recepta jest bardzo prosta, bowiem od zarania dziejów ludzkości wiadomo, że naiwnych i głupich jest mniej więcej tyle samo co przebiegłych i bez skrupułów. Tak więc trzeba dość śmiało i zdecydowanie zjawić się w jakimkolwiek przedsiębiorstwie czy zakładzie pracy, trafić do właściwego działu — najlepiej socjalnego — i zaproponować dostarczenie dla załogi któregoś z artykułów reglamentowanych. Zapewniam, że nie znajdzie się nikt kto zainteresuje się kim jest przybysz, jakie posiada pełnomocnictwa i czy ma przy sobie bodaj legitymację Polskiego Związku Wędkarskiego lub choćby migawkę tramwajową. Nic z tych rzeczy. Wystarczy, że ma dobre chęci i z pobudek czysto charytatywnych pragnie ulżyć doli rodaków. Do tego nie stawia żadnych wymagań, nie żąda zadośćuczynienia, nie chce nawet łapówki. Wystarczy mu właściwie tylko zlecenie na zakup artykułu i upoważnienie do jego odbioru. Czasami jeszcze środek lokomocji, choć niekoniecznie, bo sam posiada starą warszawę.

W przedsiębiorstwie czy zakładzie pracy urzędników ogarnia euforia: rozpoczyna się bieganina, wydzwanianie, pisanie odpowiednich pism, przystawianie pieczątek, podpisy dyrektorów. A wszystko to w atmosferze podniecenia, bezbrzeżnego szczęścia i euforii. A bohater stoi sobie skromnie, uśmiecha się niewinnie przyjmując oznaki uwielbienia i szacunku. Potem zgarnia do teczki lub chowa za pazuchę otrzymane papiery i mówi, że jutro, pojutrze albo za tydzień pojedzie po towar.

I tak się kończy zazwyczaj część optymistyczna długiej sztuki, w czasie trwania której na scenie — jak w każdym klasycznym dramacie — pojawia się stróż porządku publicznego, prokurator i sędzia, by zagmatwaną akcję rozwikłać i wyjaśnić widzom kto jest kto.

ZDZISŁAW K. WCHODZI NA SCENĘ

Jest człowiekiem zdecydowanym, co to nie z jednego pieca jadł chleb. Oprócz wypieków ze spółdzielczych piekarń, poczynając od 1964 r. przez cztery kolejne lata pożywiał się wypiekami z piekarni więziennej, potem krótko powrócił do białego pieczywa spółdzielczego, by w 1969 ponownie trafić na państwowy wikt i to aż na 7 lat. Tak więc nie jest nowicjuszem, a oprócz szkoły podstawowej przez te jedenaście lat odosobnienia słuchał wykładów speców nad spece, fachowców najwyższej klasy, specjalistów renomowanych i owianych legendą.

Był zatrudniony w MPK na stanowisku kopacza, ale dzięki swoim zdolnościom pracował w dziale socjalnym zajmując się zaopatrzeniem załogi. Wtedy to wpadł na genialny pomysł: skoro cukier jest na kartki i nie każdej gospodyni wystarcza jego miesięczny przydział, trzeba zrobić tak, by dostarczyć tego produktu ludziom złaknionym słodyczy. Odwiedzał cukrownie z Leśmierzu i Dobrzelinie. Przywoził nawet po kilka ton naraz. Raz, kiedy magazynier nie wydał mu 6 worków cukru, wziął od niego równowartość w gotówce, bo magazynier też człowiek i też musi swego interesu pilnować. Tam poznał zaopatrzeniowca z grodziskiej „Polfy" Zbigniew K. tak to relacjonuje: *„Powiedział mi wówczas, że ma do odbioru dla swoich zakładów 10 ton cukru konsumpcyjnego, ale nie może odebrać, a z kolei pozostawić bez odbioru również nie może, gdyż zakład jego skreślony zostałby z preliminarza w kwartale następnym. W tej sytuacji zaproponowałem mu, że mój zakład chętnie odkupi od „Polfy" wspomniane 10 ton cukru. Sprawa została załatwiona w ten sposób, że pojechałem do Grodziska i odebrałem upoważnienie na odbiór wspomnianego cukru z nie wpisanym nazwiskiem upoważnionego, następnie z MPK zostały skierowane dwa samochody po ten cukier. Jak później dowiedziałem się od jednego z pracowników działu zaopatrzenia załogi to jeden samochód z cukrem z tej dostawy przywiózł go na Nowe Sady, a drugi swoją część dostawy zawiózł do Wytwórni Wód Gazowanych J. i P. Z tego co się również dowiedziałem G. (kier. działu socjalnego w MPK) sprzedał cukier po 120 zł, ale do kasy przedsiębiorstwa trafiła tylko oficjalna cena 1 kg, a różnicę wziął dla siebie i dyrektora, który wyraził zgodę na tę transakcję. Nadmienić pragnę, że zastanawił mnie kiedyś taki fakt, że widziałem na biurku G. rachunki za dostawę wód gazowanych dla MPK przez J. i P. Z rachunku tego wynikało, że przywieziono została prawie taka sama ilość napojów słodzonych co i wody sodowej. Faktycznie natomiast jak pamiętam przywieziono więcej wody sodowej — prawie cały samochód — a wody słodzonej było tylko kilka skrzynek. Poza tym jak sobie przypominam na rachunku była wpisana znacznie większa dostawa niż faktycznie trafiła ona do MPK".*

KOLEJNE POSUNIĘCIE

Zbigniew K. zjawia się w różnych zakładach pracy i proponuje dostarczenie pozakartkowego cukru dla załogi. Wszędzie jest przyjmowany entuzjastycznie. I nikt go o nic nie pyta. Oto opis „załatwiania" cukru dla PTHW Zakład nr 2 w Łodzi. *„W marcu 1983 r. Ob. Barbara K. — przewodnicząca Komisji Socjalnej PTHW Zakład nr 2 na terenie zakładu poznała za pośrednictwem Ob. Teresy P. zatrudnionej w bufecie zakładowym nieznanego jej wcześniej mężczyznę, który przedstawił się jako Zbigniew K. — pracownik WSS „Społem". Ob. Zbigniew K. oświadczył, iż z uwagi za zatrudnienie w WSS „Społem" jest w stanie załatwić dla pracowników PTHW poza reglamentacją 12 ton cukru, pod warunkiem, że przedsiębiorstwo wystawi formalne zamówienie do Zjednoczonych Cukrowni Mazowieckich z siedzibą w Płocku, a następnie po uzyskaniu cukru odstąpi część dla WSS.*

Zamówienie zostało wystawione, na jego podstawie PTHW otrzymało z cukrowni w Dobrzelinie 12 ton cukru, z czego 5 ton odstąpiło WSS „Społem". Wszelkie formalności związane z odbiorem cukru dla WSS „Społem" i zapłatą należności załatwiał osobiście Ob. K.

W trakcie rozprowadzania 7 ton cukru pomiędzy pracowników PTHW — Ob. K. zaproponował odstąpienie 1,1 tony cukru dla Centrali Rybnej obiecując przy tym w zamian zaopatrzenie bufetu zakładowego w świeże ryby i konserwy.

Tak jak w przypadku cukru dla WSS — 1,1 tony cukru dla Centrali Rybnej odebrał Ob. K osobiście i sam uregulował należność. Pomimo kilkakrotnych monitów ustnych i telefonicznych do chwili obecnej nie przedłożył pisemnych zamówień WSS „Społem" i Centrali Rybnej na cukier, a także nie dostarczył pokwitowań odbioru cukru przez WSS „Społem" i Centralę Rybną.

Po telefonicznym sprawdzeniu w komórkach socjalnych Centrali Rybnej i Oddziałów WSS „Społem" ustaliliśmy, że zarówno WSS, jak i Centrala Rybna cukru nie otrzymała i go nie zamawiała. Ustalono również, że Ob. K. nie jest pracownikiem WSS „Społem". Wprawdzie PTHW nie poniosło z tytułu działalności Ob. K. żadnych strat finansowych, tym niemniej biorąc pod uwagę różnicę między ceną hurtową a ceną detaliczną cukru (pomijając już cenę rynkową) zysk wyżej wymienionego oraz jego ewentualnych wspólników wynosi co najmniej 43.310 zł".

Tyle dokument sporządzony przez PTHW 27.09.1983 r. i przesłany do Urzędu Spraw Wewnętrznych dla dzielnicy Łódź-Górna. Należy sądzić, że ktoś doszedł w końcu do tego, że transakcja mimo pozorów rzetelności, po prostu śmierdzi. Przecież ogólna wartość owych 12 ton cukru wyniosła 466.800 zł! A tu Zbigniew K. część zabiera dla WSS, część dla Centrali Rybnej i nie przedkłada żadnych na to dokumentów.

TEMIDA ZJAWIA SIE NATYCHMIAST

Wkrótce milicja i prokuratura zakładają teczki oznaczone kryptonimem: Sprawa Zbigniewa K. Rozpoczyna się żmudna, czasłochłonna praca śledczo-dochodzeniowa. Nad całością czuwa Prokurator Rejonowy dla dzielnicy Łódź—Górna. Pomału obraz zaczyna się klarować. Przybywa dokumentów, choć główny podejrzany Zdzisław K., kiedy go zatrzymano, oświadczył: *„W sprawie tej odmawiam złożenia jednak jakichkolwiek wyjaśnień. Po prostu — nic nie będę mówił, ani odpowiadał na zdawane mi pytania. To wszystko, co mam do powiedzenia. Nie będę również składał żadnych wyjaśnień przed prokuratorem. Czuję się niewinny i swoją niewinność będę dopiero udowadniał przed sądem."*

Wkrótce jednak — kiedy dowody przeciwko niemu rosły i rosły — zmiękł. Powiedział: *„Ponieważ wiedziałem, że magazynier z Dobrzelina W. ma możliwość pozytywnego zatwierdzenia składanych zamówień na cukier surowy wszedłem z nim w porozumienie, że zorganizuję zamówienie, a on z kolei postara się o jego zatwierdzenie z realizacją w Dobrzelinie. W zamian za to miałem mu z takiego zamówienia pozostawić trzy tony, sobie wziąłbym dla swoich potrzeb 2 tony, a pozostała część zamówienia byłaby dla przedsiębiorstwa wystawiającego zamówienie. Ponieważ z poprzedniego swojego miejsca zatrudnienia znałem bufetową z PTHW z ul. Strzelczyka powiedziałem jej, aby spytała pracownika komórki socjalnej czy nie chciałby sprowadzić dla PTHW cukru surowego. Ponieważ ta pracownica działu socjalnego wyraziła zainteresowanie tą sprawą bufetowa skontaktowała mnie z nią."*

Niestety, nie jest to cała prawda o działalności charytatywnej Zdzisława K. Kiedy podliczono te ilości cukru, jakie pobrał z cukrowni oraz te, które dostarczył zakładom i przedsiębiorstwom, okazało się, że po drodze wsiąkło gdzieś całe 19 ton za niebagatelną sumę, bo za 2.290.000 zł.

Przesłuchiwani świadkowie, w większości ludzie biorący bezpośredni udział w tej aferze, „idą w zaparte" wyjaśniając, że ich rola ograniczała się jedynie do wypisywania zamówień, rozprowadzania cukru wśród załogi albo pomocy przy jego ważeniu. Natomiast jakoś nikt nie zastanawiał się dlaczego np. WSS „Społem" nie chce złożyć zapotrzebowania na cukier, dlaczego nie czyni tego Centrala Rybna, albo dlaczego Zbigniew K. nie dostarcza nigdy całości zamówionego cukru. Nie interesowano się tym ani w PTHW, ani w ZPDz. „Iwona", ani w Zrzeszeniu Przewoźników Drogowych itp. I to także wymaga wyjaśnienia.

DŁUGA NITKA DO KŁĘBKA

Wyjaśnienia: WSS „Społem" — *„...wyjaśniamy, że nigdy nie prowadziliśmy sprzedaży cukru poza reglamentacją dla naszych pracowników"*, Centrala Rybna — *„... nie prowadziliśmy akcji socjalnej, która obejmowała zaopatrzenie pracowników w cukier i nie byliśmy zainteresowani, że taka możliwość istnieje".*

Zeznanie Teresy P. bufetowej z PTHW, wersja I: *„...nie chciałam mieć nic wspólnego z tą sprawą, powiedziałam mu, że może rozmawiać na ten temat z osobą zajmującą się sprawami socjalnymi tego przedsiębiorstwa... po moim telefonie przyszła pani K. i skontaktowałam ją z panem K. Przy rozmowie ich nie byłam".* Wersja II: *„Otóż w zakładzie PTHW cukier przywieziony przez K. sprzedawano pracownikom. Ale 38 worków Barbara K. (z działu socjalnego — przypis mój) kazała schować w kiosku. Był to cukier dla Zbigniewa K. Miał go zabrać. „Przerzut" tego cukru do kiosku miał miejsce już po godzinach pracy, gdy większość załogi zakładu poszła do domu. Wtedy też wypiliśmy w kiosku, na zapleczu, około litra lub półtora litra wódki... W sumie więc K. pozostawił mi do dyspozycji 5 worków cukru, tj. 250 kg z tym jednak, że mu normalnie za ten cukier musiałam zapłacić... Pieniądze te wzięłam z kasy kiosku...".*

A więc fakty są przeciwko Zbigniewowi K Gdzie wobec tego „upłynniał" cukier?

Zeznają kierowcy, którzy jeździli ze Zbigniewem K. Jeden z nich, jeżdżący taksówką bagażową tak mówi: *„Odebrany z PTHW cukier zawieźliśmy — zgodnie ze wskazaniem K. — na ul. Aleja Politechniki w Łodzi, w pobliżu skrzyżowania z ul. Wróblewskiego, do jakiegoś bloku mieszkalnego... Po upływie 8—10 dni K. znów przyszedł do mnie do domu i prosił abym jechał z nim znowu do Dobrzelina... Odebraliśmy kolejną, czwartą już, tonę cukru, który okrężną drogą... zawieźliśmy do Sieradza. W Sieradzu podjechaliśmy pod domek jednorodzinny na jakiejś bocznej ulicy... Cukier załadowano w garażu, w piwnicy, po czym wróciłem wraz z K. do Łodzi. Pieniędzy mi nie dał".*

Zbigniew K. wynajmował nie tylko taksówkarzy. Usługi przewozowe świadczyli mu kierowcy z CPN w Łodzi, którzy nie tylko jeździli do Dobrzelina, ale i do Sieradza. Czy robili to ze względu na urok osobisty K. lub jego piękne oczy? Nie sądzę.

Cukier, jak już wspomniałem, ginął i zamawiający go zakład nie otrzymywał całości. Nie dotarł on także do ZPDz „Iwona", bo kierowcy z CPN zawieźli go wpierw do magazynu technicznego CPN przy ul. Naftowej, potem do Sieradza. Były tego całe 2 tony, o które na próżno „Iwona" się upominała. Także Zrzeszenie Przewoźników Drogowych nie doliczyło się 4.974 kg cukru o wartości 201.646 zł i nikt do dziś chyba nie wie co się z nim stało. Być może dostarczył go Zbigniew K. do prywatnej Wytwórni Wód Gazowanych prowadzonej przez D. i L. w Gadce Starej k. Rzgowa... Gdzie jeszcze woził i komu dostarczał? Dochodzenie wyjaśni, o tym jestem przekonany, ale ile trzeba poświęcić na to czasu! Bowiem Zbigniew K. ma na sumieniu także Przedsiębiorstwo Obrotu Produktami Naftowymi, ZPDz „Dresso" i SDH „Central". Czy jeszcze kogoś?

NIEZBĘDNE WYJAŚNIENIE

Czytającego niniejszy artykuł może zmylić słowo „cukier", gdyż będzie się kojarzyć z cukrem jaki otrzymujemy na nasze kartki w sklepach spożywczych. Otóż sprawa dotyczy tzw. cukru niepełnowartościowego.

Zjednoczenie Przemysłu Cukrowniczego w Warszawie pismem Nr E-ZB/TS/82 z dnia 23.03. 1982 r. skierowanym do podległych sobie jednostek informuje: *„Zjednoczenie zawiadamia, iż zmiotki cukru (cukier niepełnowartościowy) mogą być, obok kierowania do ponownego przerobu, zagospodarowane i sprzedane przez Przedsiębiorstwa we własnym zakresie, jednostkom i organizacjom uspołecznionym. Przy sprzedaży obowiązywać będzie cena umowna, którą należy ustalić bezpośrednio z odbiorcą, a wysokość jej różnicować w zależności od stopnia zanieczyszczenia".*

Wyjaśnia Kazimierz W. kierownik magazynu wyrobów gotowych w cukrowni Dobrzelin: *„...w magazynie, który prowadzę, składowane są trzy rodzaje cukru, tzn. cukier pełnowartościowy biały czyli taki, jaki zwykle kupuje się w sklepach, cukier surowy będący jakby półproduktem, gorszej jakości, powstający w końcowym etapie kampanii cukrowniczej, który następnie trafia — już po zakończeniu tej kampanii — do ponownego przerobu, oraz cukier stanowiący „zmiotki". Ten ostatni rodzaj cukru powstaje w ten sposób, że gdy np. pęknie jakiś worek, cukier ten zbiera się w magazynie czy na rampie w czasie załadunku. Jest on składany w wydzielonym miejscu w magazynie i po zakończeniu kampanii cukrowniczej również trafia on do ponownego przerobu. Jest to więc właściwie cukier pełnowartościowy z tym, że poważnie zanieczyszczony... W latach 1982—83 cukier niepełnowartościowy, czyli surowy oraz zmiotki był sprzedawany dla różnych instytucji uspołecznionych i przedsiębiorstw państwowych w ramach prowadzonych przez te jednostki akcji socjalnych dla pracowników... Jeśli chodzi o Łódź, to pamiętam, że w tego rodzaju cukier zaopatrywały się w Dobrzelinie takie przedsiębiorstwa jak MPK (przedsiębiorstwo to pobrało najwięcej cukru niepełnowartościowego), PTHDetalicznego — Zakład Nr 2, Zrzeszenie Przewoźników Drogowych oraz ZPDz „Iwona"... Faktem jest, że dla wszystkich tych czterech wymienionych przeze mnie przedsiębiorstw cukier niepełnowartościowy pobierał zawsze jeden i ten sam osobnik tj. Zbigniew K. Sam się bowiem nieraz dziwiłem, dlaczego on, tj. jeden człowiek — Zbigniew K. — reprezentuje tyle przedsiębiorstw państwowych z terenu Łodzi".*

To zdziwienie udzieliło się także prokuratorowi i nie tylko. Ja także chciałbym wiedzieć jak to się stało, że Zbigniew K. cieszył się tak nieograniczonym zaufaniem ludzi zajmujących się sprawami socjalnymi i nie wzbudzał podejrzeń u dyrektorów tych przedsiębiorstw, którzy przecież sygnowali własnym nazwiskiem zamówienia kierowane do cukrowni.

STREFY ZATAJONE

Nie jestem wszakże przekonany co do pełnego wyjaśnienia powiązań i zależności istniejących pomiędzy „bohaterami" omawianej tu sprawy. Odbiorca cukru w Sieradzu nosi to samo nazwisko co główny podejrzany i obaj twierdzą, iż nie łączą ich więzy pokrewieństwa. Czy na pewno? Jak potraktować układ rodzinny jeśli Zbigniew K. jest ożeniony z byłą żoną brata K. z Sieradza? Rodzina to czy nie? Fakt, że K. z Sieradza chętnie cukier przyjmował i to spore jego ilości.

Co łączyło kierowców jeżdżących z K. do cukrowni w Dobrzelinie, a potem wiozących cukier do Sieradza lub na meliny w różnych częściach Łodzi? Czy tylko koleżeństwo? A może tylko pieniądze? A może zupełnie co innego? Przecież przerzucając akta natrafiłem na sprawę wręcz mafijną. Oto przebywający w areszcie Zbigniew K. kieruje akcją dokonującą się poza więziennymi murami. Mianowicie usiłuje odebrać od jednego z kierowców wożących cukier 40 tys. złotych, które mu się ponoc należą. W tym celu przysyła list. List ten przynoszą dwaj faceci, pewnie dla wywołania większego wrażenia. Kierowca oświadcza więc, że forsę dostarczy nazajutrz. A nazajutrz przed domem jest już trzech mężczyzn, z czego dwaj wchodzą do mieszkania, a trzeci zostaje jako ubezpieczenie na ulicy. Tylko że w mieszkaniu zamiast pieniędzy są milicjanci. A oto treść listu: *„Stasiek. A jednak doszedłeś do wniosku że nie warto oddawać. O tym jak źle zrobiłeś przekonasz się po czasie jak Ci prokurator położy rękę na samochodzie a Twojej mamie na jej posiadłość gdyż służyła ona do ukrywania i przechowywania artykułu nielegalnego pochodzenia w celu odsprzedania go dalej w celu spekulacyjnym. Ja będę mówił, że ty wziołeś odemnie 6 ton i sprzedałeś go już bez mojego udziału w celach spekulacyjnych wśród swoich znajomych, piekarzy i cukierników. Sąd da mi wiarę gdyż ja wyjaśnienia swoje złoże w związku z artykułem 57 kk, żal mi tylko Twoich dzieci, ale nie ich wina że mają głupiego ojca. Rozumie że może nie masz od razu całej sumy dla mnie więc gdy byś chciał jeszcze swojemu nieszczęściu zaradzić to daj temu koledze który Ci tą kartke poda 20 tys. z tym że w przeciągu miesiąca będzie spłacona pozostała suma. Jeżeli ten kolega powi mi że nic nie dałeś to nie gniewaj się ale ja nie moge inaczej postąpić tylko tak jak napisałem Ci na wstępie.*

Broń boże byś jakieś pieniądze dawał mojej żonie.

Zbyszek."

Czy to jedyna tajemnicza strona tej, przecież nieskomplikowanej i przeprowadzonej bez nadmiernej fantazji, sprawy?

PRZED OSTATNIĄ ODSŁONĄ

Przez parę lat zajmując się sprawami przestępstw gospodarczych i kryminalnych byłem pewny, że natrafię i teraz na prośbę głównego podejrzanego o zwolnienie go z aresztu ze względu na stan zdrowia. Nie pomyliłem się. Prokuratura wykazała wielkie zrozumienie dla dolegliwości zatrzymanego i... poleciła umieścić go w szpitalu więziennym, by lekarze mogli stwierdzić czy to, co Zbigniew K. pisze o swoim zdrowiu jest prawdą. Wobec tego nadchodzi kolejne pismo, w którym Zbigniew K. czyni zarzut, iż zastosowano doń niewłaściwą kwalifikację prawną czynów mu zarzucanych i dlatego należy niezwłocznie wypuścić go na wolność.

Prokuratura Wojewódzka w Łodzi kierując w dniu 22.10.1984 r. akta do Sądu pisze w uzasadnieniu, że Ob. Zbigniew K. *„... w okresie od 1982 r. do lipca 1983 w Łodzi wbrew obowiązującym przepisom określającym zasady sprzedaży cukru, po uprzednim nabyciu w cukrowniach podlegających PP „Cukrownie Mazowieckie" w Płocku około 99.560 kg cukru surowego i kryształu wartości 3.930.238 zł przekazał do MPK, PTHW, ZPDz „Iwona" i innych instytucji, a około 19 ton cukru wartości 2.280.000 zł rozprowadził we własnym zakresie sprzedając je prywatnym wytwórcom i odbiorcom, osiągając z tego zysk w kwocie 1.520.000 zł."* I dalej Prokuratura dodaje: *„Mając na uwadze wysoki stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu zarzucanego podejrzanemu oraz bardzo znaczną wartość mienia będącego przedmiotem działania przestępczego — zastosowanie i utrzymanie środka zapobiegawczego w postaci aresztu tymczasowego jest zasadne."*

Teraz pozostaje czekać tylko na proces.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wirydarz poetycki

Janusz Koryl
(Rzeszów)

Pieczenie ziemniaków

Pieczenie ziemniaków
jest chwilą
kiedy cichną
wszystkie spory
kiedy ziemia pachnie
korzeniami traw
a dom
wstrzymuje oddech

Siedzimy przy ognisku
rozwijając długimi kijami
mapę popiołu
Równoleżniki i południki
schodzą się
w jednym miejscu
Matka cierpliwie łuska
grube strąki modlitw
Ojcice od czasu do czasu
sprawdza popręg ognia

a potem
gdy już wygrzebiemy
wszystkie ziemniaki
i podzielimy się
masłem i solą
zaczynamy ucztę
nasze wielkie święto

i choć zawsze
ziemniaki są z tej samej ziemi
ich smak
z roku
na rok
coraz bardziej gorzki

Psalm o grzechach

I w puszczy krwi zbłądziły ścieżki
Opustoszały źródeł sztolnie
Jawa owocu jest snem pestki
pielgrzymującej coraz wolniej

I w moich dłoniach nóż pordzewiał
Spokorniał dom i zmalał nagle
Słońcu przestały ufać drzewa
Wiatrom przestały ufać żagle

I w puszczy krwi jest coraz ciemniej
Jakby pogasły już ogniska
podtrzymywane potajemnie

a moja pamięć jest jak misa
w której ucieram własne grzechy:
Drogi Rozdroża Łzy i Śmiechy

Mapa powrotu

Myślałem
że nie będę już wracał
a teraz nie mogę nadążyć
za brzegami rzeki
która nauczyła mnie
mówić i czytać
której zawdzięczam
nawet swoje imię

Myślałem
że mi wystarczy naczynie milczenia
że potrafię je udomowić
tak jak stół albo
chude zwierzęta ścian
że oswoję noże pytań
a teraz odpowiedzi
są przeciwko mnie

Moi wrogowie umarli
nie znaczy to jednak że zwyciężyłem
Moi przyjaciele skreślili
w swych notesach mój adres
nie znaczy to jednak że nie istnieję

Myślałem
że wyrzucając klucz
będę czuł się bezpieczniej
a teraz każda ścieżka
prowadzi ku rozdrożom
i każde ziarno piasku
powierza mi
swój ciężar

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Komu nagrodę „Odgłosów”?

MAREK SAMBORSKI

Wydawać by się mogło, że propozycja Odgłosów przyznania nagrody za upowszechnianie kultury wywoła lawinę listów z propozycjami kryteriów i kandydatur. Tymczasem, jak podejrzewam, redakcja zdana jest na własne rozeznanie, a lawina i tym razem ominęła ją szczęśliwie. Trudno się i dziwić. Wszak nic tu z pikanterii, powygrażać nie na komu, a do dziękowania za dobre i wartościowe inicjatywy nie przywykliśmy. Ukazało się kilka zaledwie wypowiedzi i to osób, które o nie poproszono. Wypowiadający się artyści i dyrektorzy instytucji upowszechniających kulturę w imię reprezentowania głosów swych środowisk dość wyraźnie powściągali możność prywatnych wynurzeń na rzecz wypowiedzi oficjalnych i okazjonalnych.

Biorąc pod uwagę brak określenia przez „Odgłosy” kryteriów, jakim winni podlegać kandydaci do nagrody nie można im mieć za złe charakterystycznej powściągliwości. Chwała za skruszenie lodów. Przed najtrudniejszym zadaniem stanął dyrektor Łódzkiego Domu Kultury — J. Jakubiszyn. Zabierając głos jako pierwszy szef instytucji powołanej do upowszechniania kultury zwrócił uwagę na całą sferę oddziaływań kulturowych, na uwarunkowania zachodzące pomiędzy twórcą, dziełem i odbiorcą oraz na wynikającą z tych uwarunkowań funkcję propagatora kultury — działacza.

Godny podkreślenia w wypowiedzi J. Jakubiszyna jest fakt niemożności wyartykułowania jednej, zwięzłej definicji działacza upowszechniającego kulturę. Autor wypowiedzi wymienia szereg cech, które winny działacza charakteryzować. Można je, o ile dobrze odczytałem intencję autora, sprowadzić do następującego omówienia: działacz kultury winien posiadać wszelkie cechy spolegliwego społecznika, w tym jedną w nadmiarze — upór. Cechy te występując łącznie pozwalają na: „działanie polegające na umożliwianiu społeczeństwu kontaktów z dziełem artystycznym”. Inni autorzy wypowiedzi również podkreślali niemożność ujęcia w lapidarną definicję pojęcia działacza kultury i również akcentowali potrzebę społecznikostwa i aktywności.

Wyrażone przez bądź co bądź fachowców opinie zgodne są co do tego, że nagrodę „Odgłosów” za upowszechnianie kultury powinien otrzymać działacz prezentujący wysokie wartości moralne, wykonujący swój zawód w stopniu znacznie wykraczającym poza ramy obowiązków służbowych, niezrażony barierami biurokratycznymi, kierujący się autentyczną pasją społecznej powinności.

Nie zabierałbym głosu w sprawie nagrody, gdybym, po pierwsze — nie pracował na stanowisku instruktora upowszechniania kultury, po drugie — nie był w stanie uzasadnić własnych kandydatur, po trzecie — nie był przekonany, że trofeum przynależne jest osobom związanym z upowszechnianiem kultury w domach kultury, klubach, świetlicach i szkołach.

Dlatego nie zgadzam się z propozycją A. Hundziaka preferującego do nagrody twórców. Twórcy mają możliwość przyznawania własnych nagród i chyba nie na wyręczaniu środowisk artystycznych polega rola tygodnika, który mieni się pismem społeczno-kulturalnym. Inny także ciężar gatunkowy dla nagrodzonego będzie miała nagroda np. kompozytorów niż „Odgłosów”. Poza tym nagroda ma preferować upowszechnianie samo w sobie a nie z domieszką reklamy. Z tych samych powodów, chyląc czoło wobec osiągnięć dyrektora Teatru Wielkiego — S. Pietrasa, nie widzę go na liście kandydatów, choć ma on do realizacji swych zamierzeń instytucję taką jak gmach opery, fachowców (artystów, techników, rzemieślników) i priorytet pierwszej łódzkiej sceny, że nie wspomnę o funduszach. Może zmienię zdanie po doczekaniu się zapowiadanego od blisko roku cyklu imprez pod nazwą „Niedziele z Tatą w TW”. Nie widziałbym także w kolejce do nagrody przedstawicieli agencji artystycznych, którym właściwe upowszechnianie przynosi zamierzony dochód. (Trudno jednak nie pochwalić tu dyrektora jednej z agencji wyznającego z rozbrajającą szczerością, że dopiero teraz i na błędach uczy się właściwego menażerstwa...).

Uważam, że na nagrodę zasługują przede wszystkim ci, którzy w realizacji haseł upowszechniania kultury mając najwięcej barier do przełamania wykazują zarazem ogromną pasję i poświęcenie, ponadto ci, którzy nie tylko nie otrzymują odpowiednich do ich wysiłku wynagrodzeń i splendorów. Na pewno także nie budują karier. Są najczęściej całkowicie lub w większej części po prostu anonimowi. Ich wkład pracy i pasja zauważalne są najczęściej dopiero po zaprzestaniu przez nich działalności. A że ich nie znamy na co dzień lub znamy w wąskim gronie? Orędownikiem powyższego wywodu jest także dyrektor S. Czarnecki, który już wypowiedział się na temat nagrody „Odgłosów”.

Posiadając jakie takie rozeznanie w specyfice codziennego upowszechniania kultury ośmieliłam się podać kilka kandydatur do nagrody „Odgłosów”. Świadomy jestem zarazem faktu, że mimo kilkunastoletniego doświadczenia propozycje moje będą wysoce subiektywne z jednej strony i zawężone do kilku osób z grona zaledwie kilkudziesięciu znanych mi bezpośrednio. I tak zabraknie wśród proponowanych przeze mnie kandydatów osób (choćby jednej) pracujących w tak zwanym terenie, które codziennie propagują kulturę po wsiach i osadach przyłódzkich, zabraknie bibliotekarzy i pracowników świetlic. Zabraknie wielu tych, którzy zasługują na nagrodę równie dobrze, a może i bardziej od wymienionych niżej. Liczę na poparcie w moich propozycjach lub na święte oburzenie połączone z wysunięciem kontrkandydatur. Liczę na Łódzki Dom Kultury i Wydział Kultury i Sztuki m. Łodzi, które dysponują lepszym i pełniejszym rozeznaniem niż moje własne.

Kandydatury pozwolę sobie zaprezentować w porządku alfabetycznym, co także mnie pozwoli uniknąć dokonania jakiejkolwiek gradacji osiągnięć.

Marian Glinkowski — z zawodu nauczyciel, od ponad dwudziestu lat reżyser i kierownik artystyczny amatorskich zespołów teatralnych, studenckich, nauczycielskich, współtwórca wielu nagród zespołowych i indywidualnych członków zespołów, propagator poezji, prozy i dramatu pisarzy polskich, założyciel jedynego teatru w Zgierzu, juror konkursów i przeglądów form teatralnych, chętnie współpracuje z domami kultury, klubami i szkołami przy wszelkich działaniach kulturalnych, z zamiłowania plastyk, fotograf i wędrownik. Lubiany.

Halina Kwiatek — instruktor upowszechniania kultury, dyrektor Dzielnicowego Domu Kultury Śródmieście, metodyk, najbardziej wyrazista postać wśród instruktorów, zarażająca aktywnością, uporem i osobistym zaangażowaniem w każdą z form pracy upowszechnieniowej, douczająca innych i siebie, ceniona za niespożytą witalność, propagatorka integracji koleżeńskiej instruktorów, nie posiada czasu prywatnego, znajduje go dla pomocy i udzielenia porady innym, inicjatorka wielu akcji kulturalnych i pomocy koleżeńskiej, bezkompromisowa w zwalczaniu marazmu, biurokracji i zniechęcenia. Lubiana.

Barbara Reimschüssel — nauczyciel, polonista, prawdziwy wychowawca i przyjaciel młodzieży, inspirator i realizator teatru szkolnego, propagator wszelkich form sztuki, a zwłaszcza teatru, znajdujący czas na pójście z młodzieżą na każde przedstawienie teatralne w Łodzi, na rozmowy i dyskusje w szkole i u siebie w domu, pilotujący start w życie wielu swoich uczniów, pełen szacunku dla młodocianych pasji i talentów, wpajający zasady dobrego wychowania i potrzebę codziennego obcowania z książką. Lubiana.

Krystyna Weitritt — nauczycielka, opiekunka nauczycielskiego amatorskiego ruchu artystycznego, od kilku lat kierownik najreprezentatywniejszej placówki kulturalnej Łodzi — Klubu Nauczyciela, inspirator interesujących, pomysłowych biesiad literacko-muzycznych, umie wytworzyć właściwą i niepowtarzalną atmosferę każdej imprezy, propagator plastyki amatorskiej, organizator letnich plenerów artystycznych, zawsze uśmiechnięta i mile zaskoczona każdą wizytą, uwielbia taniec i ballady B. Okudżawy. Lubiana.

Brak ścisłych kryteriów określających wzorzec działacza kultury oraz osobista znajomość kandydatów pozwoliły mi (bez zasięgnięcia ich pozwolenia) na osobisty ton w uzasadnieniach, ale jednocześnie — i tu proszę o wyrozumiałość zarówno kandydatów jak i Czytelników — krępowały mnie i uniemożliwiały zarazem wypisywanie list osiągnięć, imprez i poświadczonych pochwał. Spodziewam się, że przy innych kandydaturach oraz przy powyższych „Odgłosy” poproszą o wyrażenie opinii czy to Wydział Kultury i Sztuki czy kuratoria, czy inne instytucje.

Uważając inicjatywę „Odgłosów” za niezwykle ważną i pożyteczną społecznie ośmieliłem się wyrazić swoje prywatne zdanie. Redakcji życzę bogactwa wyboru wśród nadsyłanych kandydatur a Czytelnikom zapoznania się z ludźmi, którzy upowszechnianie kultury traktują jako swój społeczny obowiązek.

P. S.: Jako czytelnik „Odgłosów” czekam niecierpliwie na podanie ilości zgłoszonych kandydatur, na określenie kryteriów wyboru i podanie składu komisji oceniającej nadsyłane propozycje osobowe.

Z półki recenzenta

IRWIN SHAW

To miniopowiadanie — jak niemal wszystko u tego autora — jest zarazem poważne i banalne, pełne uroku i przepełnione ironią. A jest to historia człowieka cierpiącego na kompleks niskiego wzrostu, choć jest to także dość wnikliwy, świetnie zarysowany portret współczesnej młodzieży amerykańskiej. I wbrew obiegowym przekonaniom, życie tej młodzieży wcale nie jest różowe, bezkonfliktowe i mające dokładnie określony cel. Dziewczyna, która niesie bombę mającą zburzyć jakiś gmach w centrum Nowego Jorku jest symbolem aż nadto wymownym.

Przekład Anny Esden-Tempskiej.

Irwin Shaw: Taka sobie sobota. Wyd. Lit. 1984. Str. 96 Cena 60 zł.

KAMASUTRA

Pełny tytuł tej książki brzmi: „Kamasutra i inne Reguły Miłości zebrane przez P. C. Lamairessa, byłego naczelnego inżyniera w Kolonjach Francuskich w Indiach”. Jej walor — a powstała przecież przed naszą erą — podnoszą liczne, obszerne wtręty wspomnianego Francuza, który w ten sposób zderza ze sobą dwie kultury: hinduską i europejską, dwie odrębne filozofie i dwa rodzaje spojrzenia na moralność.

„Kamasutra” od razu zdobyła rynek czytelniczy i stała się książką poszukiwaną tak dla jej treści, jak i dla otaczającej ją legendy.

Przekład Bohdana H. Jezierskiego.

Kamasutra. KAW 1984. Str. 286. Cena 250 zł.

KOCHANKA DIABŁA

„Czytelnik” zaczął wydawać serię będącą prezentacją literatury narodów Związku Radzieckiego. „Kochanka diabła” stanowi obszerny wybór młodej prozy estońskiej, która dla polskiego odbiorcy będzie stanowić nie lada odkrycie: zawarte w prezentowanym tomie opowiadania nawiązują do tradycji estońskich opowiadań ludowych, do świata baśni, wierzeń i symboli. Jednocześnie wnoszą do naszej wiedzy o literaturze estońskiej nowe elementy, umożliwiają zrozumieć — jakże często niełatwe drogi wiodące do poznania prawdy o człowieku, o jego ułomności i o jego sile.

Wybór i przekład Aarne Puu.

Kochanka diabła. Opowiadania estońskie. Czyt. 1984. Str. 354. Cena 150 zł.

O MAJAKOWSKIM

W serii „Klasycy literatury XX wieku” ukazał się kolejny tom pt. „Włodzimierz Majakowski”. Ten trybun rewolucji, gorący i nienasycony poeta wzbudzał i wzbudza nadal zainteresowanie krytyki i badaczy literatury. I choć na jego temat napisano wiele tomów, to przecież każdy następny przyciąga uwagę. Czy autor obecnej monografii o „pierwszym rosyjskim futuryście” powiedział coś nowego czy nie, znajdą sami Czytelnicy w prezentowanej tu książce.

Sporo miejsca poświęcono ocenie Majakowskiego przez najwybitniejszych pisarzy świata, a także zamieszczono obszerne kalendarium życia autora „Łaźni”.

Edward Balcerzan: Włodzimierz Majakowski. Czyt. 1984. Str. 178. Cena 100 zł.

OPOWIADANIA ŁOTEWSKIE

„Zielone żagle złudzeń” to zbiór opowiadań łotewskich wydanych w nowej serii „Czytelnika” będącej prezentacją literatur narodów ZSRR. Łotwa, jej kultura i obyczaje ciągle są dla nas egzotyką, mimo bliskości geograficznej i mimo przecież licznych kontaktów zarówno w przeszłości, jak i tych współczesnych. Jedno jest pewne: opowiadania zebrane w omawianym tu tomie będą miłą niespodzianką dla Czytelników ze względu na swoją dojrzałość i na świetne portrety i typy ludzkie.

Wybór i przekład Jerzego Pachlowskiego.

Zielone żagle złudzeń. Opowiadania łotewskie. Czyt. 1984. Str. 304. Cena 130 zł.

CHIŃSKA FANTASTYKA

Prezentujemy dwadzieścia kilka rozdziałów sturozdziałowej najstarszej chińskiej powieści o tematyce fantastyczno-mitologicznej pt. „Wędrówka na zachód”. Czym jest ta opowieść-bajka? Jest dziejami pielgrzymki pewnego mnicha do Indij po święte księgi kanonu buddyjskiego na początku VII wieku. Ale ten wątek obrosł w inne opowieści, inne zdarzenia, często bardzo niezwykłe, nawet nieprawdopodobne. Tak więc rzeczywistość coraz to przeplata się z fantastyką, realność bywa zastępowana fikcją.

Książka została starannie wydana i uzupełniona ilustracjami wziętymi z chińskiego oryginału. A przekładu z języka chińskiego dokonał Tadeusz Zbikowski.

Wu Cz'eng-en: Wędrówka na zachód. Czyt. 1984. Str. 224. Cena 250 zł.

Prapremiera w Teatrze im. Jaracza

Opowieść o chłopskim losie

Niewiele powieści z ostatnich lat wzbudziło tak wielkie zainteresowanie i tyle sprzecznych sądów (z przewagą zdecydowanie pozytywnych), jak **Wiesława Myśliwskiego** „Kamień na kamieniu". I nie minęło od jej ukazania się więcej niż pół roku, a już doczekała się scenicznej adaptacji i nawet wystawienia. Bezprzykładne tempo!

Książka to o oryginalnej (choć nie całkiem nowatorskiej) kompozycji, nie „wydumanej," zresztą, lecz przyporządkowanej potrzebom akcji, która wije się meandrami we wspomnieniach narratora powieści. Główny bohater podejmuje jakby próbę bilansu swojego niezwykle burzliwego życia — od wczesnej, przedwojennej młodości, po dzień współczesny, dopełnia przy tym uświęconych zwyczajem obowiązków wobec zniszczonej przez wojnę gospodarki, wobec pamięci swoich zmarłych i wobec pozostającego pod jego opieką chorego brata.

I jeśli Szymon Pietruszka dochodzi do jakiejś życiowej konkluzji, to chyba do wniosku, że każdy musi żyć i działać w zgodzie z tym, co mu wyznaczyła jego własna natura i okoliczności. Bo, jak powiada w rozmowie z księdzem: „Żyłem, to wszystko, źle czy dobrze, ale nie ode mnie to już zależało. Bo nie zawsze się żyje, jak by człowiek chciał, tylko jak się musi. Człowiek życia sobie nie wybiera, życie samo wybiera człowieka wedle swojej woli, kto mu do czego potrzebny (...) Człowiek, jak musi, to wszystkim będzie. Nawet bandytą czy złodziejem."

Wbrew temu postawę Szymona Pietruszki trudno byłoby nazwać całkiem niemoralną. Poznał dużo ludzkich losów. A to czego się podjął z dobrej woli, wykonuje jednak wedle możliwości. A poza tym, jak mawia nieraz — cóż my wiemy o świecie i o ludziach, o Bogu i o piekle...

Taka jest sceptyczno-deterministyczna filozofia życiowa bohatera powieści, którego spostrzegawczymi oczami poznajemy otaczający go świat polskiej zapadłej wsi. Przewalają się przez nią dramatyczne wydarzenia ostatniego półwiecza, stanowiące już historię, przetacza się także dość bezlitośnie walec cywilizacji, jako siły jeśli nie wrogiej ludziom, to przynajmniej dla wielu niezrozumiałej. Szymon czynnie w tych procesach uczestniczy, podlega też przemianom wewnętrznym, zachowuje jednak własną tożsamość.

No tak, ale to o książce, i to pokaźnych rozmiarów, pełnej przeróżnych wątków fabularnych, poprzecinanych jakby poziomo przez kilka płaszczyzn czasowych w ten sposób, że do przerwanego wątku powraca się znów i znów, nadając mu coraz inny bieg, w zależności od tego, co się Szymonowi akurat przypomni. Materia powieści — zdawałoby się — raczej na film, z jego możliwości naprzemiennego prowadzenia i przenikania się planów, niż na dramat sceniczny, chyba że — jak wyobrażałem sobie — na luźno powiązane sceny dramatyczne. Z jednym chyba wyjątkiem, że mianowicie w tej powieści ogromnie dużo rozgrywa się w warstwie słownej. Jest to przy tym język bogaty w znaczenia, bardzo obrazowy, spowinowacony osobliwie i dowolnie z gwarą wiejską, nie tyle leksykalnie, ile raczej przez, właściwe dla niej, upodobanie narratora i bohaterów do aforyzmów, w których wyraża się lapidarnie ludowa mądrość.

Pomysł adaptacji scenicznej (na który pierwsza wpadła Małgorzata Szpakowska, kierownik literacki teatru), wydawać się mógł jednak ryzykowny, nawet jeśli przyjmiemy, że utwór sceniczny nie ma żadnych powinności wobec literackiego pierwowzoru (widzowie zresztą nie muszą go znać), lecz stanowi wartość autonomiczną, rządzącą się swoimi prawami. Skoro się jednak książkę przeczytało, trudno nie odwoływać się do niej w myśli i nie sposób wtedy poddać się sztuce z całą ufnością, jaką przystoi widzowi.

Nie dzieląc włosa na czworo i nie zgłaszając żalu o te fragmenty powieści, które jeszcze przed przedstawieniem chętnie bym pragnął zobaczyć, muszę wyznać, że po opadnięciu kurtyny doznałem odczucia, że wszystko czego nie należało uronić, zostało przekazane. Logika i spójność dramatyczna, a także klimat spektaklu najlepiej świadczą o trafności przeprowadzonej selekcji powieściowego tekstu. Dobrze się też stało, że zachowano narratora, która to funkcja przypadła aktorowi wcielającemu się w postać **Szymona Pietruszki Starego**. Jego dawniejszym wcieleniem był **Szymon Pietruszka Młody**, którego pojawianiu się na scenie towarzyszyło schodzenie Starego na dalszy plan, skąd jakby przypatrywał się swoim wspomnieniom, co chyba dość szybko zostało odczytane przez widzów, zwłaszcza że tekst Młodego podejmował w odpowiednim miejscu kwestię „podrzuconą" przez narratora. To rozdwojenie postaci dramatu miało swoje dodatkowe uzasadnienie w fakcie, iż Stary musi się poruszać posługując kulami, gdy za młodu był uosobieniem fizycznej sprawności.

Szczęśliwie, moim zdaniem, dobrano wykonawców obu wcieleń Szymona (jeśli bez przesady potraktujemy wymóg zewnętrznego podobieństwa). Sciszonego skupionego w sobie, skłonnego do zadumy i refleksji **Starego** zagrał z konsekwencją i umiarem, i szczyptą ironii WIRGILIUSZ GRYŃ. Szeroką skalę przeżyć i dużą rozpiętość przeobrażeń zademonstrował STANISŁAW JASKUŁA w roli **Młodego** którego poznaliśmy jako nierozgarniętego i głupawo lubieżnego parobczaka, a potem obserwujemy stopniowe nabieranie przez niego pewności siebie i zaufania. W swoistą pryncypialność zasad, ale i przebiegłość chłopską wyposażył postać **Ojca** STANISŁAW JAROSZYŃSKI, a wieczne zatroskanie **Matki** o najbliższych przekazała nam WANDA WIESZCZYCKA. Sporo wiejskiej rodzajowości odnaleźć można było w interpretacji roli **Dziadka** przez JANA HENCZA. Bardzo ujmującą, wiarygodną sylwetkę ufnej i subtelnej dziewczyny, zakochanej w Szymonie pierwszą miłością stworzyła w roli **Małgorzaty** MAŁGORZATA ROGACKA-WIŚNIEWSKA. Kontrastowała z nią postać swobodnej w obyczajach, rozbrajająco spontanicznej w objawianiu erotycznych zapotrzebowań **Kaśki Sklepowej**, której wulgarne słownictwo przełykało się dość gładko, dzięki naturalności, z jaką podawała je w swoich brawurowych tyradach ZOFIA TOMASZEWSKA. Zróżnicowane postacie trzech braci Szymona zarysowali: RYSZARD MRÓZ — (schizofrenik) **Michał**, LEON CHAREWICZ — **Antek** i ZBIGNIEW BIELSKI — **Stasiek**. Rolę szczwanego pozera **Przewodniczącego Maślanki** wykonał z wielkim powodzeniem HENRYK STASZEWSKI. Ciepłą dobrotliwą postać **Księdza**, wyrozumiałego wobec ludzkich słabości zarysował WŁADYSŁAW DEWOYNO.

Z mniejszych ról wymieńmy przynajmniej Starego i Młodego **Kuśmierków** (MAREK SOBCZYK i JAROSŁAW BIELSKI), bo nie starczy już miejsca na całą listę wykonawców. Było to wyjątkowo dobre, jak na liczebność obsady, przedstawienie aktorskie.

Inscenizator i reżyser, znany nam w Łodzi od najlepszej strony, JERZY HUTEK, swobodnie sobie poczynał z powieściową chronologią i tak już w książce poprzestawianą, a jedną z tych dowolności było przeniesienie do aktu III i skomasowanie pod koniec przedstawienia czterech scen pomiędzy Szymonem a Małgorzatą, Sklepową, Przewodniczącym i Księdzem. Był to zabieg uzasadniony, w tych bowiem scenach i dialogach zogniskowały się najważniejsze motywy działań Szymka, jego przeżyć i przemyśleń.

Trochę co prawda zaskakująca, choć przecież dopuszczalna w adaptacji, była dla mnie sama pointa, kiedy to Szymon po rozmowie z Księdzem, idąc w stronę wsi zatrzymuje się ni to w chwilowej zadumie, ni to w pokłonie przed kapliczką. Nic wszakże w powieści czy w sztuce nie wskazywało na to, by ten zagorzały sceptyk miał spędzić resztę życia na pobożnej kontemplacji, a tak by przecież można to odczytać.

Scenografia oszczędna, prawie surowa, harmonizowała z umownością rozwiązań scenicznych, dużą ekspresją odznaczała się zwłaszcza dekoracja końcowa, przedstawiająca długi szereg drewnianych słupów przydrożnych, biegnących ku dalekiemu światu. Muzyka nastrojowa, nienatrętna, osadzona w ogólnym klimacie przedstawienia.

Z pewnością jest to jedno z najlepszych łódzkich przedstawień ostatniego czasu. Zakończę zdaniem Małgorzaty Szpakowskiej zapożyczonym z teatralnego programu: „I to dla nas, tak odmiennych, snuje się ta opowieść o chłopskim losie, by pozostawić nas na koniec z gorzkim poczuciem zadłużenia".

JERZY KWIECIŃSKI

WIESŁAW MYŚLIWSKI „Kamień na kamieniu". Adaptacja i reżyseria — JERZY HUTEK, scenografia — TADEUSZ PAUL, muzyka — PIOTR HERTEL. Prapremiera w Teatrze im. Jaracza, 24 listopada 84 r.

Na zdjęciu: Stanisław Jaroszyński i Jan Hencz

Foto: Witold Górka

Wozem Tespisa przez epoki

W gmachu VIII Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Asnyka w Łodzi odbyła się niecodzienna prapremiera teatralna. Zainaugurował mianowicie działalność swojej „Sceny wędrującej" Teatr Powszechny, który przygotowuje cykl przedstawień szkolnych, pod hasłem „Młodzież poznaje teatr". Zamiarem inicjatorów jest zarówno uteatralnienie młodzieży szkół ponadpodstawowych, jak i — przede wszystkim — wprowadzenie jej w szeroko pojętą problematykę kultury różnych epok. Nie tyle bowiem chodzi, jak wynikałoby z ich wypowiedzi, o spektakle teatralne w ścisłym słowa znaczeniu, ile o taki dobór tekstów dramatycznych i w ogóle literackich oraz ich fragmentów, który przybliżałby świat myśli i przeżyć człowieka w jego historycznym, kulturalnym rozwoju.

Cykl pomyślano w ten sposób, aby w każdej z wybranych szkół zaprezentować w ciągu trzech lat, i to tej samej grupie młodzieży, po sześć różnych spektakli rocznie, co złożyć się powinno na osiemnaście przedstawień. Na pierwszy ogień poszedł „Teatr antyczny". Nie czas jeszcze ani sposobność po temu, żeby omówieniu tego wydarzenia nadać postać recenzji, stwierdźmy więc tylko, że reżysersko i aktorsko, scenograficznie i muzycznie widowisko przygotowano rzetelnie, traktując młodego widza z należną powagą, co nie zawsze się zdarza w tzw. popularyzatorskich działaniach profesjonalistów, które nieraz stają się płaszczykiem dla chałtury.

Scenariusz i reżyseria były dziełem **Ryszarda Nakoniecznego**, opracowanie muzyczne przygotował **Franciszek Wesołowski**, a stronę plastyczną **Andrzej Cieślik**. Wymieńmy też aktorów: **Grażynę Dzięcielewską, Jana Kasprzykowskiego, Jerzego Korsztyna, Macieja Korwina, Bronisława Wrocławskiego i Józefa Zbiroga.**

Nie ulega wątpliwości że Teatr Powszechny podjął się arcytrudnego i arcypożytecznego przedsięwzięcia, o wielkiej przy tym wychowawczej odpowiedzialności. Nie jest bowiem obojętne, jakie wartości, jakie treści poznawcze i postawy obywatelskie (oprócz oczywiście artystycznych) nieść będzie z sobą tak oryginalnie pomyślana lekcja wychowania kulturalnego, co zależeć będzie od takiego doboru utworów i takich zabiegów inscenizatorsko-reżyserskich, które dostarczałyby młodym widzom materiału do dyskusji w szkolnym środowisku i do samodzielnych przemyśleń.

Toteż nie jestem pewny, czy dobrze sprzyjać będzie dyskusji tak jednoznaczne, jak to widzieliśmy wyinterpretowanie moralnych racji Antygony, która wbrew prawu chce pogrzebać brata, i to właśnie tego, który działał wbrew interesom państwa. Bo i cóż z tego, że „Nie Zeus obwieścił to prawo". Co innego, gdyby prezentowało się pełny tekst Sofoklesa, dający większe możliwości słuchaczom zapoznania się z całkowitą argumentacją obu stron sporu, a tu jeszcze przychodzi jednej z nich w sukurs nie występujący w utworze Polinik.

Wydaje mi się, że formuła sceny otwartej na sprzeczne racje najlepiej pobudzałaby młodzież do samodzielnego wyprowadzania wniosków.

Oczywiście na podstawie tej pierwszej pozycji trudno przesądzać, jaka się okaże przewodnia ideowo-artystyczna myśl całości cyklu. Tak więc z najlepszymi nadziejami i życzeniami witamy to, nie pierwsze przecież w działalności Teatru Powszechnego, edukacyjne zamierzenie. Budzi to otuchę, że w dzisiejszym trudnym czasie kierownictwo i zespół tej placówki znajduje w sobie dość zapału i energii, by wyjść poza krąg swoich rutynowych obowiązków.

J. K.

Dawna Łódź

Zasłużone w propagowaniu wiedzy o Łodzi „Wydawnictwo Łódzkie" niedawno rzuciło do księgarń dwie publikacje znanych dziennikarzy o zacięciu literackim: Jerzego Urbankiewicza i Wacława Pawlaka. Książki noszą nieco pretensjonalne tytuły: „Passe-partout w ciepłym kolorze" i „W rytmie fabrycznych syren", które nie pozwalają zorientować się w treści. Lecz nawet pobieżne przekartkowanie pokazuje, że są to urocze gawędy i o Łodzi przeszłości, i o Łodzi naszych czasów.

W cyklu krótkich gawęd Urbankiewicz przypomina sylwetki ludzi, którzy tworzyli, rozwijali i propagowali oświatę, kulturę i naukę w naszym mieście. Część z nich związała się z Łodzią na stałe, część wypłynęła na szersze, ogólnopolskie czy nawet ogólnoświatowe fale, których nie mogli znaleźć w nurcie Łódki. Do grona emigrantów zalicza Autor: Artura Rubinsteina, Juliana Tuwima, Zygmunta Bartkiewicza, który nazwał Łódź „złym miastem" dla ludzi talentów i ulokował się w Warszawie.

Pionierami kultury byli w Łodzi nauczyciele i oni zapoczątkowali plejadę ludzi zakładających fundamenty pod kulturę „złego miasta".

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XIX w. działał w Łodzi nauczyciel Realnej Niemiecko-Ruskiej Szkoły Powiatowej Wiktor Dłużniewski. Trudnił się on także układaniem wierszy okolicznościowych, był autorem rymowanki o Pawle Kubowiczu — wojaku i dobrodzieju kościoła. Jest więc pierwszym autorem utworu literackiego miernej wartości, ale dotyczącego łódzkich realiów.

W tymże czasie inny nauczyciel Franciszek Rybka był redaktorem pierwszej dwujęzycznej gazety pt. „Łódzkie Ogłoszenia — Lodzer Anzeigen". Gazeta ta rozpowszechniała rozporządzenia policmajstra i zawierała różnorodne informacje handlowo-usługowe.

Nauczyciele prowadzili w ramach swoich możliwości propagandę patriotyczną, rozbudzali zamiłowanie do czytelnictwa i samokształcenia. Choć w formie migawek jednakże utrwala Urbankiewicz postacie dalszych zasłużonych pedagogów — pionierów kultury, jak małżeństwa Marii i Konstantego Piotrowiczów, którzy zginęli w czasie powstania styczniowego, Zofii Zbijewskiej założycielki szkoły, Korneliusza Malca, organisty, a równocześnie i nauczyciela w szkole rzemieślniczej.

W Łodzi ścierały się trzy nurty oświatowo-kulturalne: polski, niemiecki i żydowski. Autor w formie esejów-felietonów kreśli sylwetki pionierów nurtu polskiego, który już przed pierwszą wojną światową nadał miastu zdecydowanie polski charakter. Pod koniec XIX wieku koloryt kulturalny miasta wyznaczają polskie gazety, drukarnie, księgarnie, słabe jeszcze, ale prężniejące życie teatralne.

Od gawęd-felietonów poświęconych pionierom oświaty, kultury, literatury i nauki łódzkiej przechodzi Urbankiewicz do przedstawiania sylwetek ludzi nie tak znowu dawno popularnych i charakterystycznych dla środowiska. Niektórzy z jego bohaterów żyją jako zasłużeni seniorzy (Konstanty Mackiewicz, Mieczysław Jagoszewski, Stefania Skwarczyńska), innych dawno bądź niedawno pożegnano zachowując pamięć o wkładzie, jaki wnieśli w łódzką kulturę.

Poznajmy więc działalność np. Zygmunta Lorentza, propagatora wiedzy historycznej i zasłużonego pedagoga, prof. Aleksandra Kamińskiego, który związał swe losy z Łodzią po wojnie, Ignacego Rolińskiego również pedagoga, matematyka szkół łódzkich, a od 1946 roku profesora Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Łodzi.

W galerii zasłużonych nie zabrakło także Eugeniusza Ajnenkiela, Horacego Safrina, Jana Augustyniaka. Galeria jest bogata, choć można w niej znaleźć luki, ale przecież książka Urbankiewicza nie jest słownikiem biograficznym, lecz zbiorem gawęd-felietonów kreślonym „w ciepłym kolorze" z akcentowaniem materiału anegdotycznego. Postacie książki nie są odlewane ze spiżu. Dźwigają ludzkie ułomności i przywary, a równocześnie odznaczają się pasją i umiłowaniem swego zawodu i miasta, w którym żyją.

Z niektórymi stwierdzeniami Autora trzeba polemizować. Ograniczę się do jednego przykładu. Dwukrotnie ubolewa on nad tym (s. 6 i 156), że „las tysiąca kominów fabrycznych czynił z Łodzi zabytek klasy zerowej", ale „głupcy mający władzę kazali je nie tak dawno zburzyć". Skromne uzupełnienie: kominy stały się bezużyteczne, stanowiły wątpliwą ozdobę i dlatego zostały rozebrane. Tak postąpiłby każdy urbanista, każdy rozsądny gospodarz miasta.

Inny charakter ma publikacja Wacława Pawlaka. Podobnie jak i książka Urbankiewicza tytuł nie orientuje czytelnika co do treści. To prawda, że miasto rozwijało się „w rytmie fabrycznych syren", ale rozwój bynajmniej nie był harmonijny. Miasto klasy robotniczej i napięć społecznych raczej znaczyło czas istnienia skokami niż jednostajnym rytmem maszyn.

We wstępie Pawlak stwierdza, że „brak jest opracowań przedstawiających życie codzienne robotniczego grodu w latach międzywojennych". Pomijam stosunkowo bogatą literaturę o Łodzi, ale w 33 tomach „Rocznika Łódzkiego" mamy wiele studiów, szkiców i rozpraw dotyczących właśnie codziennego życia Łodzi. Nie znaczy to, że książka Pawlaka jest zbędna.

Autor w ciągu chronologicznym od 1919 roku do 1939 roku podaje zapisy ważniejszych wydarzeń łódzkich. Nie jest istotne, czy pewne sprawy zostały pominięte, a inne zbyt rozbudowane. Wiedza czytelnika została wzbogacona o łódzkie realia i to jest ważne. Pawlak prowadzi zapis żywo, interesująco i dlatego tekst daje się czytać.

Do pozytywów książki należy zaliczyć także bardzo ciekawy zestaw ilustracji. Nie wszystkie są dostatecznie wyraźne, ale na usprawiedliwienie oficyny drukarskiej trzeba zanotować, że reprodukowane zdjęcia mają pięćdziesiąt i więcej lat, a czas niestety robi swoje.

Obie omawiane książki zasługują na jak najszersze rozpropagowanie. Nie stanowią odkrycia czy sensacji w zakresie znajomości dawnej Łodzi, ale obie są ciekawą, pożyteczną, lekką lekturą dla wszystkich, których interesuje dawna Łódź.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

*) Jerzy Urbankiewicz Passe-partout w ciepłym kolorze, Wydawnictwo Łódzkie 1984, s. 306, cena 160 zł.

Wacław Pawlak, W rytmie fabrycznych syren, Wydawnictwo Łódzkie 1984, s. 304 + ilustracje, cena 160 zł.

Jarmark sztuk prześlicznych

JOLANTA WROŃSKA

Czy handel sztuką — to sztuka? To więcej niż sztuka! To dar niepojęty i niekonsekwenty, wymagający uduchowionej iskry bożej i lodowatej kalkulacji, wrażliwości na piękno... i na pieniądze. Wszelki kunsthandel jak świat światem, musiał zawsze rozwiązywać dylemat: szacunek dla wielkiej sztuki — czy dla pełnej kasy. Dochodowa komercja czy ryzykowna promocja rewolucji artystycznej. Tylko bardzo nielicznym udało się pieniążki zarobić i wianuszka nie stracić.

Ten sam dylemat musieli także rozwinąć pomysłodawcy i organizatorzy I Międzynarodowych Targów Sztuki Krajów Socjalistycznych „INTERART '84", imprezy odbywającej się w Poznaniu, w dniach od 18 do 25 listopada.

W wielkim pawilonie nr 5, na terenach targowych otwarto galerie wszelkich kunsztów. Tam, gdzie zwykle oglądało się obrabiarki lub inną maszynerię, na podestach stały rzeźby Chromego, Bułgarow Małaktczijewa i Czapnykowa. W gablotach wykwitały niezwykłe formy szklane Tasiosa Kiriazopoulosa, olśniewające kielichy Artura Ossowicza i smukłe szkło Narcyzy Kurczewskiej-Angyal. W labiryncie ścianek, nisz, zakamarków kryły się grafiki i oleje, tkaniny i zwiewne, amorficzne szaty Zofii Borkowskiej. I wszystko można kupić. Grafiki Stannego, Siary i Szmatlocha, płótna Dudy-Gracza, Brzozowskiego i Fogtta. Nadto ozdobić można posiadaną narzeczoną srebrną biżuterią z „Desy" Spółdzielni „Plastyka", od pp Kulmów lub z „Cepelii". Niełatwo — to prawda ale czyż sztuka może być porównywana z bułkami?

Na powierzchni paru tysięcy metrów kwadratowych zaromadzono prace 1195 artystów dużych i małych, 3171 dzieł o łącznej wartości 2 milionów 132 tysięcy 800 rubli (wszelkie rozliczenia w czasie „INTERARTU '84" prowadzono w rublu transferowym, liczonym wg. kursu 72 zł. za 1 rubel transf.).

Wielka impreza handlowa, zorganizowana została przez Międzynarodowe Targi w Poznaniu (strona techniczna) oraz Przedsiębiorstwo Państwowe „SZTUKA POLSKA". Patronat nad targami sztuki objęła Narodowa Rada Kultury i osobiście minister kultury i sztuki prof. Kazimierz Żygulski. Finansowego wsparcia udzielił Państwowy Fundusz Zamówień Plastycznych

IDEA

przyświecająca targom wychodziła z dwóch starożytnych omal w swoim rodowodzie założeń: — że kultura narodu bogaci się także przez poznanie i wymianę z innymi narodami i ich twórczością oraz — że sztuka, to także towar i to nie starzejący się ekonomicznie, a więc można na tym zarabiać pieniądze. Główny cel — wprowadzenie dzieł artystów z krajów socjalistycznych do szerokiego obiegu międzynarodowego, włączenie się w światową wymianę dzieł sztuki. Wzbogacanie kolekcji muzealnych, galerii publicznych i zbiorów prywatnych.

W tle daje się zauważyć korne przyznanie, że dotychczas sztuka artystów naszego obozu w zbyt nikłym stopniu uczestniczy w światowym handlu, że, jakkolwiek dorobek artystyczny krajów socjalistycznych stanowi istotny element współczesnej plastyki świata, to jednak znajomość tych dzieł jest w świecie niewielka. Jest to zarazem pytanie o kształt i funkcje mecenatu państwa socjalistycznego nad twórczością artystyczną.

Drugi element, to zbożny zamiar zarabiania pieniędzy, uwikłany w sprzeczności racji. Z jednej strony — w sztuce nie ma demokracji, liczą się najwybitniejsi... i kosztują najwięcej, bo za talent płacić należy złotem. Z drugiej — biznes jest biznesem i towar musi być konkurencyjny wobec innych, ale i cenę musi mieć konkurencyjną. Najbogatsze muzea czy prywatni kolekcjonerzy mogą sobie pozwolić na aukcyjne zakupy idące w miliony dolarów. U nas — żadne muzeum nie wytrzyma licytacji. Czy zatem ma to oznaczać gorszy, pokutny poziom artystyczny? Pewnie nie, choć oczywiście pokusa istnieje. Rzecz osobna to odpowiedź na pytanie — kto ma być nabywcą, adresatem oferty handlowej. Jasne, że prawo pierwokupu miały muzea i galerie państw uczestniczących w targach, ale... któreż muzeum poza absolutnymi arcydziełami rangi światowej, dostępnymi tylko na aukcjach, czyni zakupy na targach, gdzie istnieje przecież marża handlowa. Któreż z naszych zbiorów państwowych stać byłoby na szeroki gest w Poznaniu, jeżeli roczny fundusz zakupów w takim Muzeum Sztuki Współczesnej w Łodzi ledwo przekracza 2 mln zł rocznie?

Powstaje więc instytucja nieco osobliwa i jakby przekorna wobec żelaznych praw ekonomii — Państwowy Fundusz Zamówień Plastycznych.

Te pieniądze (ok. 30 mln zł wyasygnowanych na poczet targów) nie wzięły się znikąd i na postały ekstra dodrukowane. Ich źródłem są zyski wypracowane ze sprzedaży dzieł sztuki i przedmiotów rzemiosła artystycznego w galeriach „Desy", „Sztuki Polskiej", „Plastyki". Zatem — codzienny obieg i zysk z dzieł sztuki wrócił w ten sam system instytucji „uprawiających" kunszta. Kasa jedna tyle, że kieszeń się zmieniła. Ale pozostawmy na boku uroki naszej ekonomii, powróćmy do pytania o adresata. Jeśli muzea i galerie państwowe, to pięknie. W statystyce bogate zbiory, rosnące kolekcje, z których niewielki tylko procent przeznaczy się na wymianę i handel. Nie wyobrażam sobie bowiem, by dyr. Stanisławski z łódzkiego Muzeum Sztuki uszczuplił swe zbiory w imię handlu. Jeśli tak — to nabyte dzieła trafią do sal wystawowych... albo do magazynów, skąd mogą się nie wydostać z uwagi na kiepskie zwykle warunki ekspozycyjne muzeów. A skoro do muzeów — to pojawia się następne pytanie. Czy dane będzie żyć dziełom w pustych salach, czy też piękno potrzebne ludziom przywabi ich licznie do sal wystawowych. Sztuka żyje, istnieje tylko wówczas, gdy jest potrzebna ludziom. Ożywa dzięki ich wrażeniom i doznaniom, umiera gdy — jak w Łodzi — społeczeństwo proletariackiego miasta nie wali tłumami na Wólczańską, bo... następne pytanie — o kształt, poziom i rozeznanie potrzeb kulturalnych społeczeństwa, o jego edukację ogólnohumanistyczną.

Swego rodzaju komentarzem do sprawy była refleksja przedwojennego jeszcze kupca branży mięsnej z Krotoszyna, zaopatrującego w quasi-koncesjonalny „utwór artysty." Jak się chce ludziom dostarczyć towaru, to on musi być najlepszy i oni, ci ludzie, muszą mieć na kupno. Ze sztuką tak samo. Ludzie kupują, jeśli rozumieją i potrzebują mieć w domu dobry obraz czy kilim zamiast dwudziestego kryształu. Ale muszą na to mieć. A jak nie mają, to się obejdą, a jak się obejdą, to i nie potrzebują. Rynek usycha, klientów nie ma".

ENTOURAGE

Minister Żygulski podpisał zezwolenie na organizację „INTERARTU" w maju tego roku. Do listopada upłynęło zaledwie pół roku. To zbyt mało, jak na tak szeroko zakrojony pomysł. Najpierw ruszyć z miejsca kunsthandel międzynarodowy, później — nawiązać ściślejszą współpracę kulturalną wśród krajów socjalistycznych, wreszcie — zmieścić się w trzeszczącym kalendarzu imprez targowych w Poznaniu, przygotować reklamę, katalogi, plakaty, nie mówiąc o detalu — przygotowaniu samej ekspozycji i dokonaniu selekcji dzieł. A reklama międzynarodowa, skuszenie wielkich marszandów z Zachodu itd? Jak się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy. W potężnym spiętrzeniu spraw do dogrania na wczoraj, sporo musiało zazgrzytać. Zgrzytała reklama. Od samego początku brakowało wielkiego uderzenia, publikacji, plakatów, książek wydawanych równolegle. Znowu oszczędziliśmy parę groszy na dźwigni handlu. Serwis informacyjny w trakcie trwania imprezy przypominał głuchy telefon. Hostessy obsługujące poszczególne stoiska były śliczne, świetnie odziane i kompletnie niekompetentne. Ani nazwiska autorów prac, ani cen, nie mówiąc o umożliwieniu chętnym kontaktów z dysponentami kluczy od gablot. Nierzadko chęć nabycia dzieła sztuki wymagała polowania na zaginionego klucznika. Bogaty w papier katalog bynajmniej nie ułatwiał poruszania się po labiryncie ekspozycyjnym, brakuje klucza do układu wystawy, lista nazwisk artystów nie wyszczególnia ich specjalności twórczej, nie ma cen, brakuje tego, nie stało owego, a w ogóle druk katalogu ukończono niemalże ostatniej nocy przed otwarciem. Niedostatki reklamy i informacji z pewnością nie wpłynęły zachęcająco na zachodnich kontrahentów, których stawiło się sztuk trzy z oficjalnych galerii, plus ze dwóch, trzech przybyłych na prywatny rekonesans.

Nie sposób było się dowiedzieć ile na przykład kosztowała organizacja targów — która to informację można potem zestawić z wynikami handlowymi uzyskując obraz kosztów własnych wchodzenia na nowy obszar wymiany handlowej.

Osobliwością był także klimat, rzekłabym, ambiwalentny, otaczający kwestię doboru dzieł i nazwisk. Jak się zdaje, niskość działań promocyjnych zaowocowała nieobecnością najwybitniejszych postaci, dzieł i kierunków artystycznych. Znawcy przedmiotu tłumaczyli to z jednej strony faktem, iż największe nazwiska w polskiej plastyce nie potrzebują państwowej pomocy w zainstalowaniu na światowym rynku, na „Abakany" bowiem, przykładowo mówiąc, nikogo w świecie nie trzeba namawiać, sami się pchają. Także goście zagraniczni zdawali się być cokolwiek ostrożni w swym pierwszym podejściu albowiem — znów opinia fachowców — nie przywieźli swych najlepszych artystów. Zabrakło, ku żalowi smakoszy, znakomitego współczesnego malarstwa i grafiki narodów radzieckich. Czesi nie pokazali swych głównych atutów. Niewiadomym sposobem zabrakło dzieł z pozaeuropejskich krajów socjalistycznych. Być może znów brak czasu i frycowe nowicjuszy.

Jeśli chodzi o ekspozycję polską, największą i obejmującą najszerszy zasięg kunsztów prześlicznych, także dała się zauważyć nieobecność naprawdę znaczących w polskiej plastyce nazwisk i kierunków.

Złośliwi utrzymywali, jakoby zestaw nazwisk był wynikiem układów towarzysko-klikowych..., ale nie wierzmy złośliwcom. Nie brakło prac znakomitych, twórców znaczących i wielu młodych, świetnie startujących artystów. Choć i tu dałoby się wrzucić kamyczek. Oto bowiem, obok prac świetnych, zdarzały się też całkowite nieporozumienia, omalże kompromitujące. Znaczy to, że drogi selekcji prac na Targi pozostawiały wiele do życzenia, żeby było śmieszniej, najgorszy poziom prezentowała ekspozycja stypendystów MKiS. To także stanowi refleks głębszej sprawy, a mianowicie całego systemu pomocy i subsydiowania działalności artystycznej oraz weryfikacji jakościowej.

Jeden z recenzentów fachowej literatury przywołał przykład Holandii także posiadającej państwowy system subsydiowania artystów plastyków. Zasada jest prosta. Przez pięć lat od ukończenia studiów młody zdolny otrzymuje spore stypendium na rozruch. Potem — wartość jego pracy weryfikuje... pieniądz. Jeśli w ciągu roku nie sprzeda swych prac za łączną sumę — powiedzmy 10 tys. guldenów (nie jest to Everest dochodów) — traci prawo do korzystania z pomocy państwa.

Na brakoroba nikt łożyć nie ma zamiaru. U nas — równo i sprawiedliwie. Jak już ktoś ukończył Akademię Sztuk Pięknych, a jeszcze w dodatku został członkiem stowarzyszenia artystów branży takiej a takiej — to umarł w butach. Jest artystą i część pieśni, więc socjalistyczny mecenas państwowy musi dokładać do artysty, nawet jeśli jego dzieła powodują odruch wymiotny.

Tak i na „INTERARCIE" zdarzały się kramy „sztuki silnie naiwnej", jak u p. Stevena Ponovskiego (prywatna galeria INTRACO w Warszawie), który katalogi i biuletyny trzymał dla określonych gości (..."nie ruszajcie tego! Kto wam, ludzie, pozwolił dotykać katalogów? Jak przyjdą ministry, nie będę im miał co dać...").

Znów, zamiast twardej selekcji ekonomicznej, zadziałało dobre serduszko państwa opiekuńczego i łagodzący amortyzator „kosztów administracyjnych", w których wstydliwie utonie każda szmira, znajdą się pieniądze na materiały i surowce do „produkcji artystycznej" dla każdego, a rynek i tak tego nie przetrzebi, bo...

NABYŁ PAC STYLOWĄ KOMÓDKĘ

Żyjemy w terrorze szpetoty. Mieszkamy w ohydnych, betonowych szufladach, w betonowych pustyniach, nasze rodzime samochody są obrzydliwe i przestarzałe, posługujemy się szpetnymi naczyniami, meblami, odzieżą. I taki jest przeciętny polski klient wpadający przypadkiem i z rzadka do muzeów czy galerii. Codzienny byt kształtuje nie tylko codzienna świadomość, ale i wyobraźnię, smak wrażliwość i potrzebę obcowania z pięknem. Teoretycznie — i zważywszy codzienne realia — tym mocniej powinien się garnąć Polak z kolejki do sztuki, na złość dookolnej brzydocie kupić sobie stylową komódkę. A jak już ją sobie kupi, zaczyna się czuć jak Pac, który poczuł się w obowiązku dorobić komódce entourage. Najpierw komplet mebelków, później salon i resztę, wreszcie pałac, co wart był Paca.

Albo więc zaczyna się paskudnieńki mieszczański snobizm na posiadanie „artysty" na ścianie w stołowym", albo — snobizm staje się zaczątkiem potrzeby serca, potem poszukiwania, potem nawet znawstwa, a przynajmniej wyrobionego smaku. Można by rzecz całą skwitować, że de gustoribus non est disputandum... ale nie można by. Przestaje bowiem być to wymiarem prywatnych gustów i upodobań, lecz ma wymiar społecznej, najszerszej edukacji plastycznej, muzycznej, ogólnohumanistycznej. Tymczasem w „sferach artystycznych" dało się to dostrzec także w czasie trwania „INTERARTU" panuje z lekka jeleczejące przekonanie o wyższości sztuki „czystej" nad użytkową. Pośród licznych prac malarzy, grafików i rzeźbiarzy, stosunkowo nieliczne były prace plastyków zajmujących się sztuką użytkową. No, może poza biżuterią, której było sporo, choć nie można mówić o zachwycającym poziomie. Poza grupką plastyków tworzących swe prace w szkle (choć użytkowanie wyszukanych kielichów panaossowiczowych przypominałoby profanację fraka użytego na placu budowy) i dwoma artystami parającymi się stwarzaniem unikalnych mebli — w sztuce użytkowej było pusto. Zabrakło wzornictwa przemysłowego i grafiki użytkowej, nie było architektów i urbanistów.

Mógłby ktoś powiedzieć, że nie taki był cel poznańskiej imprezy, lecz promocja sztuki czystej na rynkach zagranicznych. To prawda. Nie może się jednak nie nasunąć refleksja, że człowiek żyjący w brzydocie nie będzie najlepiej przygotowany do odbioru abstrakcyjnej idei artystycznej, najpierw trzeba go nauczyć zauważać, drukowanymi literami uczyć patrzenia estetycznego.

Sam układ ekspozycji targowej zdawał się na margines spychać sztukę służebną. A warto byłoby przypomnieć manifest artystyczny Waltera Gropiusa, który legł u podstaw nowoczesnego wzornictwa przemysłowego i artystycznego kształtu nadanego codzienności.

I nie chodzi o to, by sztuka czysta schodziła do poziomu upodobań przeciętnych, lecz by tuż za nią podążała fala permanentnego uczenia uwrażliwiania odbiorcy, właśnie poprzez dyktat estetyki przedmiotów użytkowych. W tym momencie klienci bubelgeszeftów, „1000 i jednego drobiazgu", sklepów meblowych i innych, dostają pewnie kolki ze śmiechu, bo to co oglądają na co dzień ma się tak do postulatów Gropiusa jak profil zainteresowań personelu Międzynarodowych Targów Poznańskich, do tego, co ów personel oferuje swym targowym gościom (otóż mianowicie personel posiada zapotrzebowanie na parapsychologię i we własnym kółku organizuje spotkanie z radiestetą na temat: 1. Oddziaływanie żył wodnych na organizm, 2. Wpływ daty urodzenia na geny osobowe; 3. Metody leczenia — zioła; 4. Posługiwanie się różdżkami i wahadełkami; 5. Możność nabycia płytek odpromienników — wynotowane z tablicy ogłoszeń w gmachu Centrum Targowego — JW).

Że jednak problem wychowania odbiorców sztuki nie jest marginesem działalności artystycznej, świadczy powołane do życia inicjatywa społeczna Polskie Stowarzyszenie Edukacji Plastycznej, które nie omieszkało zaprezentować w Poznaniu swego programu. Jest on bogaty. Obejmuje promocję video, multiwizji, holografii dla potrzeb edukacyjnych, projektowanie sprzętu i pomocy dydaktycznych do plastyki, propagowanie działalności gospodarczej na rzecz plastyki i cały szereg innych zagadnień. Było smutnym obserwować, jak liczni goście „INTERARTU" starannie omijali stoisko Stowarzyszenia, maszerując do, po sąsiedzku usytuowanego, bufetu (który w ogóle bił rekordy frekwencji). To także signum temporis, że sfera żmudnej, zakrojonej na lata pracy organicznej u podstaw społecznego myślenia estetycznego ma tak nielicznych mecenasów wśród osobistości decydujących o drogach polskiej kultury. Równie smutnych refleksji dostarczały odwiedziny w stoiskach Studyjnych Warsztatów Meblarskich, istniejących dzięki pasji młodych projektantów w Hajnówce. Całkiem już udane wzory mebli szkolnych (stanowisko nauczyciela plastyki, stół ucznia etc.) mogłyby zupełnie odmienić ponurą i garbotwórczą rzeczywistość naszych szkół. Mogłyby, ale nie odmienią, bo ...drewno drożeje, projekt kosztuje, fabryce kalkuluje się tandeta w dużych seriach, no i oświata za biedna. W ten oto prosty sposób (oraz w parę trochę bardziej skomplikowanych sposobów) sztuka użytkowa nabiera wszystkich cech sztuki czystej, tj. pięknej, acz na co dzień niedostępnej. Z tych bardziej skomplikowanych sposobów wymienić należy ostatnie tendencje lub jak kto woli trendy w modzie, a dokładniej w Modzie Polskiej. Jest to otóż jedna z niewielu dziedzin, gdzie przynajmniej próbuje się spożytkować talenta artystów, co — w najnowszej kolekcji wiodącej — znalazło swój wyraz w „zaatakowaniu tkaniny niepokojem". Ot, co! Przynajmniej niepokój już jest, jeśli nawet w sklepie kupić tego nie można.

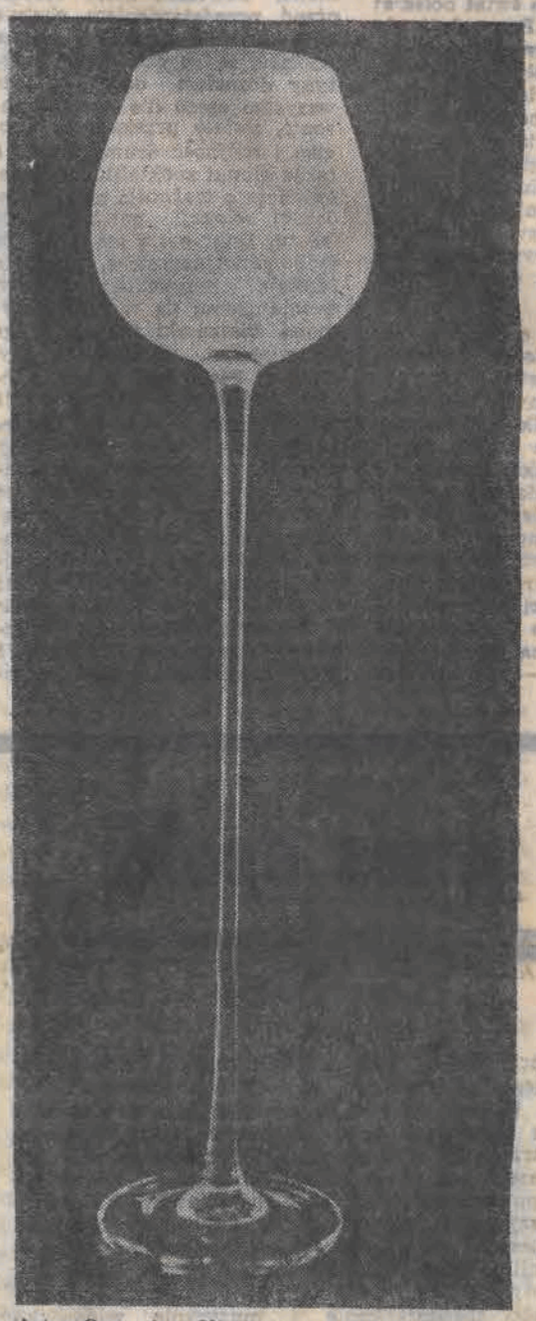

Artur Ossowicz „Kielich".
Foto: Grzegorz Gałasiński

PLANY, NADZIEJE, KIERUNKI

Zacznijmy od pieniędzy. Do 23 listopada 84 r. na I Targach Sztuki Krajów Socjalistycznych „INTERART '84" polskie muzea i galerie zakupiły dzieła sztuki za ok. 22 mln złotych w tym także dzieła artystów z krajów uczestniczących w Targach (ZSRR, NRD, Czechosłowacja, Węgry, Bułgaria). M.in. zakupiono 6 prac bułgarskich, 27 prac artystów radzieckich (ceny od 300 do 1500 rubli), 22 prace Węgrów (1000—1500 rubli) i NRD — 6 prac. Poza nabywcami oficjalnymi, dokonywano także zakupów prywatnych. Do 23.11.84 r. indywidualni koneserzy nabyli 146 prac za łączną kwotę 3 mln 450 tys. złotych, w tym prac zagranicznych za 2 mln 260 tys. zł i polskich za 1 mln 200 tys zł. W najlepszym dniu targowym, w piątek 23.11.84 r. całodzienny obrót wyniósł 1 mln 990 tys. złotych. Z ciekawostek — płótno Andrzeja Fogtta „Drzewo życia" za ok. 200 tys. zł stało się przedmiotem zaciekłych przetargów między kilkoma polskimi muzeami. Płótno Dudy-Gracza za ok. 260 tys. zł trafiło do Gdańskiego Muzeum Narodowego. Najdroższy zakup indywidualny to gobelin za 123 tys. zł.

Całość obrotu handlowego I Targów Sztuki zamyka się kwota ok. 26 mln złotych (146 tys. rubli).

Liczby są zaiste imponujące, zależy jednak na jakim tle. Zważywszy koncentrację dzieł, czas trwania targów i wysiłek plus koszty włożone w organizację, nie są to szczyty hossy handlowej. Tym bardziej, że przeciętna, średnia galeria „Sztuki Polskiej", zależnie od chłonności rynku, robi roczny obrót w granicach 6—14 mln złotych.

Zatem ludzie potrzebują przedmiotów pięknych, acz niekoniecznie zaraz użytecznych, chętnie obcują z dziełami sztuki, bo ich obecność wpływa na nas, kształtuje i zobowiązuje. Pozostaje jedynie smutna kwestia wypłacalności. Sztuka, zwłaszcza ta przez duże „S" musi być droga, i to jest w porządku. Jeśli jednak nie wszystkich stać na to by mieć sztukę w domu, trzeba im umożliwić najpełniejszy kontakt z dziełem artystycznym. Wracamy zatem do początkowego pytania o kształt i formy realizowania się mecenatu kulturalnego państwa socjalistycznego, rozumianego najszerzej, od sfery edukacji podstawowej na promocji polskiej kultury na świecie kończąc.

Targi Sztuki w Poznaniu wchodzą już na stałe do kalendarza imprez znaczących choć może jeszcze nie teraz. Niewątpliwie jednak warto wyciągnąć wnioski z pierwszego przetarcia się, wyzyskać doświadczenia i walczyć o doskonały kształt państwa promotora i opiekuna kunsztów. Plany sięgają nawet dalej — do stworzenia w ramach RWPG wspólnej Rady Kultury, zajmującej się koordynacją obrotu dziełami sztuki wewnątrz obozu, wzbogaceniem własnych zbiorów oraz promocją sztuki krajów socjalistycznych na rynkach światowych.

Podsumowując I Targi Sztuki Krajów Socjalistycznych „INTERART '84", można byłoby wystawić zadowalającą cenzurkę, pobłażliwie przymknąć oko na błędy startu i zdobywania nowych doświadczeń, gdyby nie to, że w sztuce nie ma taryfy ulgowej, albo się jest doskonałym, albo nie ma o czym mówić... „a niepełniący pokuty, sumienia mieć nie mogą...".

Życząc organizatorom przyszłych sukcesów artystyczno-pieniężnych chciałabym przypomnieć nieśmiało wszystkim kształtującym oblicze kultury narodu, że sztuka jest żywa i istnieje wtedy, gdy trafia do ludzi, lecz ludzie muszą być przygotowani, by trafić do uczestnictwa w sztuce.

Polemiki • Listy • Opinie

OBCY WŚRÓD POLAKÓW

Do mojego artykułu pt. „Obcy wśród Polaków" (nr 43, 44) wprowadzone zostały zmiany (skróty, zmiana zakończenia), które zniekształciły tekst, zarówno jeśli chodzi o jego wymowę, jak i formę stylistyczną. Zmian tych redakcja ze mną nie ustaliła, a dowiedziałam się o nich dopiero czytając wydrukowany już artykuł. Proszę o zamieszczenie tego wyjaśnienia na łamach „Odgłosów".

Łódź, dn. 26.11.84 r.

JOANNA SŁAWIŃSKA

DZIECKO JEST DLA MNIE WSZYSTKIM

Z wielką uwagą i zainteresowaniem słuchałem audycji w radio, nadanej 19 listopada 1984 r. Dotyczyła samotnych kobiet, wychowujących swoje dzieci.

Jedna ze słuchaczek z Poznania zasygnalizowała problem samotnych ojców, wychowujących dzieci. Jestem jednym z nich.

Nie posiadam telefonu. Postanowiłem więc napisać co myślę i czuję. Ale nie dlatego, aby użalać się na swój los. Wręcz przeciwnie. Dziecko dla mnie to radość życia, jakiś konkretny cel.

Uważam, że najboleśniejsze i najgorsze ze wszystkiego co może spotkać dziecko — staje się podjazdowa lub otwarta walka o dziecko. W naszym małżeństwie tego problemu udało się nam uniknąć i w tym tkwi całe szczęście dziecka. W trakcie przeprowadzania sprawy rozwodowej, gdzie padła wypowiedź ze strony byłej żony, aby umieścić dziecko w Domu Małego Dziecka — stanowczo się sprzeciwiłem. Powiedziałem, że dopóki mi sił i życia starczy, sam zajmę się wychowaniem mego syna. Miał wówczas zaledwie trzy latka. Dziś jest uczniem IV kl. szkoły podstawowej i wcale nie mam z nim kłopotów. Stara się jak tylko może i umie pomagać mi w gospodarstwie domowym.

Nie nastawiam go nieprzyjaźnie do matki. Jak był mały, zawsze woziłem w odwiedziny. Obecnie kiedy tylko sam zapragnie, może ją odwiedzać już samodzielnie. Mieszkamy w wielkiej aglomeracji miejskiej na przeciwległych krańcach miasta.

Chyba najbardziej mi utkwiły w pamięci pierwsze lata, kiedy dziecko musiało zmieniać przedszkola i szkoły niczym rękawiczki, wędrując razem ze mną przez tę „dżunglę" mrówkowców i wieżowców w poszukiwaniu wolnego kąta na zamieszkanie. To było bardzo bolesne przeżycie dla mnie i dziecka, które niczego jeszcze nie rozumiało. Może i lepiej dla niego. Trwała walka o własny dach nad głową przez długie cztery lata — z przyspieszenia. Znikąd pomocy i wsparcia w tych samotnych zmaganiach.

Nie czuję żadnego żalu ani nienawiści do byłej żony z tego powodu. Dała mi dziecko i to dla mnie stało się nadzieją i otuchą na dalsze życie. Inaczej bym się chyba załamał fizycznie i psychicznie, bowiem bardzo kochałem swoją żonę. Wiedziałem, że musiała zająć się własnymi dziećmi z pierwszego małżeństwa. W tej sytuacji byłem zmuszony opuścić wspólnie urządzone i wyposażone trzypokojowe mieszkanie kwaterunkowe. Było mi w nim „duszno". A dziecko przeszkadzało nawet babci. Nadal nie uważa go za swego wnuka na równi z dziećmi byłej żony. Dziecko już to rozumie i przeżywa na swój sposób. Tragiczne nieporozumienie w najbliższej rodzinie. Nie ma babci. Moi rodzice nie żyją, ale jak mam wytłumaczyć tę sytuację naszemu dziecku.

Miałem założoną na dziecko spółdzielczą książeczkę mieszkaniową, jeszcze w 1975 roku i to mnie uratowało. Ale co przeżyłem, tego nie da się opisać na kartce papieru.

Wielce przygniatająca, przytłaczająca jest ludzka obojętność, bezduszność i biurokracja na sprawy czysto ludzkie, przyziemne. Nieraz za urzędniczego biurka nie widzi się człowieka, jego życiowych rozterek i problemów, które niesie nam codzienne życie. I to odczuwa człowiek uwikłany w dość dziwny zbieg okoliczności, wydarzeń. W pewnym sensie staje się osamotniony i bezradny, przegrywając w tej nierównej walce z biurokracją, o swoje i dziecka prawa do normalnego, ludzkiego życia w społeczeństwie, nieczułym i wyizolowanym, można powiedzieć bez przesady — sterylnym. To okropne i wprost przerażające uczucie!

Przez te długie, jak cała wieczność cztery lata zmagań przychodziły mi różne myśli do głowy i gdyby nie dziecko, kto wie jak by się sprawa dla mnie skończyła? Dziecko zawsze podtrzymywało mnie na duchu, dodawało otuchy w ciężkich chwilach okresowych załamań. Być może, nie miałbym tych problemów, gdybym oddał dziecko na wychowanie do Domu Małego Dziecka, ale na to nie pozwalało zwykłe, ludzkie sumienie. To wszystko.

OJCIEC

ZIMNO MI

W dziesiątym roku oczekiwania na mieszkanie spółdzielcze i po wielu latach starań, dziesiątkach interwencji uzasadniających konieczność przyspieszenia przydziału lokalu mieszkalnego stałam się wreszcie w maju br. lokatorem rotacyjnego M-2 w osiedlu Retkinia „Piaski" przy ul. Rajdowej. Z radością usuwałam we własnym zakresie szereg drobnych mankamentów przyjętego od innego lokatora mieszkania, nie mogąc od początku uporać się ze stałym, całodobowym brakiem ciepłej wody oraz częstym brakiem również zimnej. Prawdziwa gehenna zaczęła się jednak z chwilą nastania pierwszych mrozów na początku listopada, kiedy przy temperaturze dochodzącej do —5°C, w mieszkaniu moim temperatura nie przekraczała +7°C. Kaloryfery straszyły lodowatym chłodem, a ściekająca na podłogę zimna woda, stanowiła jedyny sygnał, że zimowy sezon ogrzewczy na ul. Rajdowej — w pełni.

Wielokrotne zgłoszenia telefoniczne i osobiste w Administracji budynku dotyczące braku wody ciepłej i nadmiaru zimnej w ciekących kaloryferach nie odniosły do dziś żadnego rezultatu. Administracja budynku od kilku tygodni nie spieszy się zareagować i do dziś nie jest zdolna usunąć usterek przy których życie lokatora staje się koszmarem — jak na ironię obciążonego zwiększoną od 1 października br. opłatą czynszu mieszkaniowego o niecałe 100 proc.

Sytuacja ta nie może być oceniana inaczej, niż jako dowód lekceważenia, bezdusznej arogancji w poczuciu pełnej bezkarności i bezprawia reprezentowanego przez władze RSM „Polesie".

JOLANTA MILSKA

Łódź, dn. 22.11.1984 r.

SZERSZY ODGŁOS BRAKU „ODGŁOSÓW"

1. O UMIŁOWANIU KOLEJEK.

W charakterze wstępu, pozornie bez związku z meritum sprawy powiem, że w historii PRL po latach deficytu nadszedł rok obfitości papieru toaletowego. Można go było kupić bez mitręgi, w kilku rodzajach, w tym kolorowy oraz jedwabisty, importowany z Jugosławii. Podniósł się krzyk o nadprodukcji. Znikł więc papier toaletowy, zastąpiony kolejkami pań, a w praktyce gazetą ciętą w „ósemkę". Ciekawe, że w takiej np. Australii nikt nie mówi o nadprodukcji, chociaż papieru toaletowego mają, i to w ciągłej sprzedaży, kilkadziesiąt gatunków i to już od dziesięcioleci. Z czego zresztą — prócz merynosów i opali, słynie ten kraj w świecie — jako kraj stu gatunków papieru toaletowego! Jak widać, wszystko może być powodem do dumy i sławy.

Podobnie, mieliśmy okres obfitości makaronów i pierożków typu „rawioli". Też podniósł się krzyk. Też znów mamy pustynię makaronową. I tak było z wielu już produktami i towarami w historii PRL: gdy już wreszcie dochodziliśmy do stanu normalnego bezkolejkowego — podnosił się krzyk, bystro sprowadzający rzecz do stanu normalnych kolejek i tłoczenia się. Czyżbyśmy nie mogli żyć bez kolejek?

2. O DEFICYCIE „ODGŁOSÓW".

Tygodniki społeczno-kulturalne wydawane w Warszawie, są w Warszawie dostępne nawet w dniu dostawy kolejnego numeru. Natomiast „Odgłosy", stanowiące fenomen na łódzkim firmamencie, ponieważ pobiły rekord ciągłości wydawniczej w kategorii tygodników i nic nie zapowiada, aby miały uschnąć z braku materiałów i czytelników, w Łodzi są dostępne wyłącznie w dniu dostawy (obecnie środa) przez 2—3 godziny. O dostępności „Odgłosów" w innych miastach lepiej nie mówić. Tam ich nie ma. Nikt ich tam nie widział. Co nie dziwi, skoro nie można ujrzeć ich w macierzystej Łodzi.

„Odgłosy" mają do spełnienia wielorakie a ważne funkcje społeczne, promocyjne oraz informacyjne względem regionu i kraju. Odnoszę wrażenie, że Łódź zbyt pokornie zgodziła się na ograniczenie nakładu „Odgłosów", kiedy z braku papieru ograniczono nakłady; występuję z wnioskiem o zwiększenie ich nakładu do wielkości, zaspokajającej rzeczywiste zapotrzebowanie.

Cóż bowiem dzieje się teraz? Teraz, gdy zostanie opublikowany jakiś interesujący materiał z kategorii „poruszających opinię publiczną" — co zdarza się regularnie co tydzień! — dany numer „Odgłosów" wypożyczany jest z ręki do ręki, powielany fotograficznie i kserograficznie: mitręga i nerwy, a przede wszystkim wysokie koszty! Czy nie lepiej zwiększyć nakład do zaspokojenia popytu? Nie tylko lepiej i taniej, lecz jednocześnie z korzyścią dla środowiska łódzkiego — ciągle uznawanego za „pośledniejsze" w zestawieniu z „centrum".

3. O DEFICYCIE NAPRAWDĘ POŻĄDANYM.

Piętnaście złotych za numer „Odgłosów" to pieniądz drobny. Niemniej, to jest pieniądz. Jeżeli nie zostanie wydany na gazetę, zostanie wydany na żywność, na inne towary rynkowe, na wódkę wreszcie. Zwiększyć produkcję żywności, zwłaszcza tej dotowanej, nie jest łatwo. Zwiększyć produkcję gazety można jednym przesunięciem dźwigni licznika odbijanych egzemplarzy. Przesuńmy — i niech wreszcie stanie się stale dostępne to, co nie musi być ograniczone. Ponieważ gazety i czasopisma wyprodukować łatwiej, niż szynkę lub cukier, nie widzę powodu, aby tych pierwszych brakowało; wystarczy aż nadto reglamentacja tych drugich. Nie stwarzajmy sobie sami deficytów ponad najniezbędniejszą niezbędność. W ogóle zaś — likwidujmy deficyty gdzie tylko można. Można zaś wszędzie, czego dowodzi przykład niemałej liczby krajów świata, w których jedynym deficytem jest deficyt pieniądza — pewnie dlatego mocnego i wymienialnego, że właśnie deficytowego. Można też kolejki ograniczyć do jednej jedynie — tej wypłacającej za pracę i wg pracy!

4. ARGUMENTY JAK ŚWIĘCONA WODA.

Powiedzą, że nakładów zwiększyć nie można ze względu na brak papieru, farb, i tak dalej. Argumenty o „braku papieru" i „rozsypywaniu się parku maszynowego poligraficznego" nie są żadnymi argumentami, skoro słyszymy je od lat; skoro słyszymy je od dziesięcioleci to znaczy, że wymyślono je wyłącznie w charakterze wody święconej, rozgrzeszającej z pierworodnego grzechu głupoty, indolencji, nieróbstwa i marnotrawstwa, i odpędzającej szatana zwanego opinią publiczną. Gdyby to miały być argumenty rzeczywiste i rzeczowe, tj. prawdziwe powody deficytu słowa drukowanego, to papieru przedniej jakości mielibyśmy już od dawna pod dostatkiem. Rzeczywista przyczyna zła to bowiem ma do siebie, że raz zlokalizowana, zostaje szybko usunięta wspólnym wysiłkiem planisty, inżyniera i robotnika — znających swe powinności i znających się na swojej robocie. Skoro słowa drukowanego brak nam od dziesięcioleci to znaczy, że prawdziwą przyczyną tego braku nie jest papier, lecz analfabetyzm ekonomiczny, a zwłaszcza ideowy tych których upoważniliśmy do podejmowania wiążących decyzji planistycznych o charakterze strategicznym.

Czas powiedzieć sobie, że nie stać nas na brak papieru. Gdy to powiemy zdecydowanie i z determinacją oraz wszystkie konsekwencje z powiedzianego wyciągniemy (i wobec wszystkich — te konsekwencje!) — wówczas znacznie szybciej, niżby się wydawało i z planów „długofalowych" wynikało, znajdziemy się w kraju porządnej książki, doskonałej gazety, i z zużyciem papieru na przyzwoitym poziomie w przeliczeniu na głowę i inne części ciała statystycznego mieszkańca. Jak w Czechosłowacji na przykład: która znacznie wcześniej powiedziała, iż nie stać ją na rezygnację z ciągnięcia sowitych profitów z wykorzystania papieru do druku i na opakowania. Czy wreszcie ktoś podliczy, całościowo, ile nas kosztuje brak dobrych opakowań z masy papierowej na towary krajowe i eksportowane?

Wszystkie „ładniejsze" albumy, encyklopedie i słowniki, pojawiające się na naszym rynku (tym czarnym, bo kto je widzi w księgarniach?) drukowane są w NRD, CSRS, ZSRR, Jugosławii. Skoro im się opłaca drukować dla nas, dlaczego nam miałoby się nie opłacać drukować dla Bułgarii (za paprykę i wino), a nawet dla RFN (z obopólnymi korzyściami, skoro siła robocza u nas tania, a dewiz bardzo nam brakuje — m. in. na zakup najnowocześniejszych maszyn drukarskich)? Powinno się opłacać!

I to nie tyko w kategoriach ekonomicznego rachunku kosztów i zysków. Również w kategoriach ogólniejszych. Wszak socjalizm i jego wyższe stadium in spe to nie tyko władza rad narodowych plus elektryfikacja i spusty surówki; to przede wszystkim wykorzystanie tej władzy, tej elektryczności i tej stali do druku tego, co wyborcy rad chcą czytać, a nawet co czytać powinni. Za własne pieniądze!

Wszak chcemy, by słowo drukowane dzisiaj, mogło służyć również wnukom — ku rozweseleniu i także ku nauce ich „korzeni". Jak może służyć skoro rozsypuje się tuż po złożeniu, a w dodatku jest deficytowe?

5. O POTRZEBIE ZNIECIERPLIWIENIA.

Myślę jak chłopek-roztropek, nie dostrzegający szerszych „uwarunkowań" i „obiektywnych ograniczeń"? Myślę jak szkapa z klapkami na oczach, nie dostrzegająca tęczowych perspektyw, ku którym zdążamy? Kurzy mam móżdżek i na taką, jak kura, cierpię ślepotę? Pojmuję jak głąb?

Niestety, horyzonty miałem szerokie, dostrzegałem wiele i jeszcze trochę więcej, rozumiałem „uwarunkowania" i „niemożności" oraz dawałem się przekonać, że „jeszcze nie czas", „jeszcze nie pora", „jeszcze poczekajmy" — do jutra, bo jutro będzie już dobrze. I tak kolejne jutra przemieniały się we wczoraj, a dzisiaj jak było paskudne, tak jest jeszcze gorsze. Toż jeszcze nie tak dawno, przed 20 laty, mogłem wejść do księgarni i wyjść z kompletem „Biblioteki arcydzieł" (w brązowych okładkach) lub z kompletem „Biblioteki XX wieku" (w zielonkawych okładkach). Teraz nawet rocznika „Odgłosów" skompletować nie mogę!

W pewnym momencie trzeba przestać rozumieć — aby przestać wybaczać! Aby za nadmiar naszych wybaczeń nie przeklęły nas własne dzieci. Trzeba stracić cierpliwość, aby nie stracić tego, co nazywa się życiem, a co polega na takim kształtowaniu warunków zewnętrznych, iżby możliwa była realizacja wewnętrznych talentów, predyspozycji, możliwości.

Właśnie to zrozumiałem, i wreszcie straciłem cierpliwość.

6. WSZYSTKO WIĄŻE SIĘ ZE WSZYSTKIM.

Brak „Odgłosów" i nasza zgoda na ich brak to, oczywiście, tylko drobny przykład, przysłowiowa kropla wody z morza. Patrzę na swoich dzisiejszych studentów, i przypominam sobie siebie jako studenta. W 1959 roku biblioteka była dobrze zaopatrzona w fachowe czasopisma i monografie, każdy student mógł książkę fachową angielską kupić za złotówki, po złożeniu zamówienia w odpowiedniej księgarni. Dzisiaj studenci nie mają nawet podręczników, książki angielskiej nie kupi nawet profesor, liczba czasopism z roku na rok w bibliotece kurczy się, chociaż na świecie corocznie przybywa wiele bardzo ważnych tytułów. Już nie mamy nawet takich czasopism, które mieliśmy od 1945 roku bez przerwy — czasopism najwyższej rangi!

W roku 1959 wyposażenie pracowni było marne — ale można było wykonywać prace, dorównujące poziomem i oryginalnością temu, co wykonywał świat. Obecnie wyposażenie pracowni — relatywnie, jest katastrofalne: od świata dzieli nas, bez przesady, epoka.

Epoka zacofania — jako produkt epoki nadmiaru rozumienia!

J. STANISŁAW KNYPL

„ABY BYĆ CENIONYM, TRZEBA BYĆ UŻYTECZNYM" — DO INŻYNIERÓW I TECHNIKÓW POLSKICH

Rada Główna NOT i delegaci na XX Kongres Techników Polskich zebrani na spotkaniu w Łodzi w dniach 19—20 października 1984 r. zwracają się do wszystkich inżynierów i techników, do wszystkich kół zakładowych stowarzyszeń naukowo-technicznych, do klubów techniki i racjonalizacji o przystąpienie do zdecydowanego natarcia w dziedzinie nowego jakościowo rozwoju technicznego naszej gospodarki. Zapoczątkowanie realizacji wniosków XX Kongresu, przychylne stanowisko władz do postulatów środowisk technicznych, stwarzają korzystną atmosferę dla takich dynamicznych działań.

Na XX Kongresie Techników Polskich stwierdzono, że podstawą odnowy w gospodarce musi być pełne wykorzystanie w naszej działalności mechanizmów reformy gospodarczej w realnych warunkach naszego kraju.

Rząd podjął z inspiracji wniosków kongresowych szereg decyzji jak: zmiany w przepisach reformy gospodarczej wprowadzone od 1 stycznia 1984 r., nowelizacja ustawy o wynalazczości, wystąpienie do Sejmu o powołanie centralnego organu sterowania rozwoju nauki i postępu naukowo-technicznego. Szczególnie należy uwypuklić wytyczne dla tworzenia zakładowych systemów wynagradzania zmierzające do zlikwidowania nieuzasadnionej dysproporcji płac inżynierów i techników. Stwarza to dogodne i oczekiwane warunki do zespolenia wysiłków kadr technicznych w osiąganiu nowego jakościowo poziomu odnowy i rozwoju technicznego we wszystkich przedsiębiorstwach i działach gospodarki narodowej.

Koleżanki i Koledzy!

40-lecie Polski Ludowej jest okazją do przypomnienia przebytej drogi, olbrzymiego wysiłku społeczeństwa w odbudowie z ruin naszego przemysłu i zniszczonej gospodarki oraz tworzeniu współczesnego, znaczącego potencjału gospodarczego kraju, w tworzeniu tego dzieła chlubną kartę zapisali polscy inżynierowie i technicy minionego czterdziestolecia.

Nasza gospodarka nękana obecnie wieloma trudnościami jak: niska wydajność pracy, niezadowalająca jakość wyrobów, słabe wykorzystanie majątku trwałego, musi odzyskać pełną sprawność i nowoczesność. Właśnie nam, inżynierom i technikom lat osiemdziesiątych przypada w udziale zadanie dźwignięcia jej z ciężkiego kryzysu i wprowadzenie na tory nowego jakościowo rozwoju opartego o postęp techniczny, mogący sprostać współczesnej konkurencji światowej. Wykorzystując klimat sprzyjający obecnie twórczej działalności zawodowej inżynierów i techników, trzeba aby ci, którzy nie wyzwolili się jeszcze z frustracji i zobojętnienia zmienili swoje postawy i stali się użyteczni dla kraju i społeczeństwa. Należy w pełni wykorzystywać teraźniejszość to jest optymalizować naszą techniczno-organizacyjną działalność tu i teraz w realnie istniejących warunkach. Tylko w ten sposób będziemy mogli skutecznie pracować dla tworzenia pożądanej przyszłości.

Przedsiębiorstwa, ich kierownictwa i kadra techniczna muszą posiadać umiejętność wyboru strategicznych kierunków rozwoju techniki, umieć, móc i chcieć podejmować ryzyko, wykorzystując najbardziej czynne kadry intelektualne dla realizacji nowych jakościowo osiągnięć postępu technicznego. Należy przy tym postęp techniczny wiązać w sposób nierozerwalny z ochroną środowiska naturalnego. Koła zakładowe stowarzyszeń naukowo-technicznych powinny inicjować powołanie pracowniczych zespołów odnowy i rozwoju techniki dla opracowywania, wdrażania i popularyzacji nowoczesnych rozwiązań technicznych i technologicznych, które winny być czynnikiem spajającym grupę zawodową inżynierów i techników z robotnikami, ściśle współdziałać z kierownictwem przedsiębiorstwa.

Koleżanki i Koledzy!

Działając w myśl wskazań XX Kongresu Techników Polskich — trzeba stale mieć w świadomości, że inżynierowie i technicy wraz z klasą robotniczą są twórcami dochodu narodowego, pracują dla siebie, dla swoich bliskich, dla dostatniego bytu narodu, dla rozwoju i siły naszego socjalistycznego państwa.

Niech po nas, inżynierach i technikach, działających w latach osiemdziesiątych zostaną trwałe osiągnięcia i pamięć, że potrafiliśmy pokonać kryzys i stworzyć rozbudowaną, nowoczesną i sprawnie funkcjonującą bazę materialną życia narodu polskiego.

Rada Główna NOT
i zebrani delegaci
na XX KTP

KONKURS BHP

Ministerstwo Pracy, Płac i Spraw Socjalnych we współpracy z Ministerstwem Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, Ministerstwem Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Naczelną Organizacją Techniczną organizuje corocznie konkurs na najlepsze rozwiązanie techniczne i organizacyjne wnoszące postęp w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy oraz ergonomii i przyczyniające się do poprawy stanu panującego na stanowiskach pracy, w oddziale zakładu, w całym zakładzie, w branży, w resorcie lub w ogóle w gospodarce narodowej.

W konkursie mogą wziąć udział zespoły pracownicze, a także osoby indywidualne.

Przystąpienie do konkursu zgłaszają:

1. kierownictwa macierzystych zakładów pracy;
2. kluby techniki i racjonalizacji;
3. zakładowe Koła SNT — NOT.

Za najlepsze opracowania są przyznawane nagrody:

— pierwszego stopnia — zespołowa do 100 tys. zł, indywidualna do 20 tys. zł.

— drugiego stopnia — zespołowa do 50 tys. zł, indywidualna do 15 tys. zł.

— trzeciego stopnia — zespołowa do 30 tys. zł, indywidualna do 10 tys. zł.

oraz wyróżnienia honorowe.

Termin zgłaszania opracowań upływa 31 grudnia każdego roku. Wszelkich informacji udziela oraz przyjmuje zgłoszenia Dział Organizacyjny Oddziału Łódzkiego NOT, Dom Technika p. 304.

Wszystko o AIDS

ROBERT GLUTH

Niedawno opublikowana przeze mnie dość lapidarna informacja o strasznej chorobie AIDS wywołała duże zainteresowanie, czego dowodem były liczne rozmowy ze mną, szczególnie ze środowisk lekarskich. Wartość tej informacji polegała na tym, że byłem jedynym dziennikarzem na nadzwyczajnej sesji Oddziału Krakowskiego Polskiej Akademii Nauk — gdzie doszło do sensacyjnej konfrontacji pomiędzy doniesieniami amerykańskimi i rewelacjami z Zairu. Słaba strona informacji był fakt, że z uwagi na charakter gazety codziennej, jaką jest „Głos Robotniczy" musiałem mocno popularyzować swój tekst. Ponadto wymagania gazety nie pozwoliły na umieszczenie przynajmniej dwóch trzecich bardzo istotnych szczegółów dotyczących AIDS.

W chwili obecnej, gdy syndrom nabytego niedoboru immunologicznego — bo tak już będę nazywać ów zespół, rezygnując ze skrótu angielskiego — staje się coraz poważniejszym zagrożeniem ludzkości, wówczas gdy wypadki zanotowano już w Danii, Czechosłowacji i Polsce, winien jestem czytelnikom „Odgłosów" bardzo szczegółowe omówienie tego straszliwego zespołu chorobowego. Nie łudźmy się, syndrom niedoboru immunologicznego już trafił do Europy (niestety nie dysponuje danymi ze Skandynawii, RFN i ZSRR).

Na początek muszę wyjaśnić dosyć lapidarnie pewne problemy związane z immunologią. Generalnie rzecz biorąc immunologia jest nauką stosunkowo młodą, zajmującą się odpornością organizmu, jego tkanek, komórek... Naturalnie problemy odporności zazębiają się ściśle z zagadnieniami genetycznymi, szczególnymi usposobieniami danego organizmu itp. itd. Podręcznik immunologii klinicznej definiuje zagadnienia w nim zawarte jako problematykę odpowiedzi organizmu na pewne przeciwciała. Zapamiętajmy to określenie: odpowiedź organizmu. Wiadomo, dajmy na to, wszystkim immunologom, że przerażająca choroba zwana stwardnieniem rozsianym (sclerosis multiplex) atakująca z reguły ludzi młodych, a przejawiająca się stopniowym zanikiem mowy, wzroku, paraliżem (oczywiście upraszczam) jest niczym innym, jak spóźnioną odpowiedzią organizmu na antygeny odry. Naturalnie nie każdy osobnik przebywający odrę lub odrę bezobjawowa skazany jest w latach późniejszych na stwardnienie rozsiane. Ale choroba ta jest jawnym dowodem, że organizm walcząc z pewnymi jadami postępuje mówiąc trywialnie „głupio". Przykłady na to można mnożyć. Do takich czynników należy autoagresja, kiedy to organizm ludzki zwalczając drobnoustroje wytworzyć może taką temperaturę, która zabija.

Immunolodzy właśnie walczą o prawidłowe ustalenie odporności organizmu (to od momentu płodowego aż do śmierci — ponieważ organizm ludzki walczy o przetrwanie od narodzin do zgonu. Wiemy przecież o takich zabiegach immunologicznych, jakimi są wprowadzania niewielkich ilości żywych bądź uśmierconych drobnoustrojów do organizmu. Popularnie swiemy takie zabiegi szczepieniami ochronnymi. O wiele bardziej skomplikowane są działania immunologów „prostujące" niejako nieprawidłowe odpowiedzi organizmu na przeróżne endotoksyny, jady bakteryjne, wyniszczające wirusy itp. itd.

Winien jeszcze jestem jedną uwagę, konieczną w późniejszych rozważaniach: otóż każdy organizm ludzki posiada utajone mikroorganizmy chorobotwórcze, takie jak laseczniki Kocha bądz wirusy półpaśćca (zoster, względnie herpes zoster). Oczywiście te niewielkie ilości drobnoustrojów „współżyją" niejako z organizmem nie czyniąc mu żadnej szkody, aż do momentu ogólnego wyniszczenia po chorobie infekcyjnej, silnym urazie itp.

„NOWA CHOROBA"

A teraz przechodzimy do właściwego tematu. W początkach lat osiemdziesiątych w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zaobserwowano infekcje obce, poza tymi właściwie nieznanej choroby. Wszelkie badnia mikrobiologiczne nie wskazały na żadne infekcji obce, poza tymi właśnie nagle uaktywnionymi drobnoustrojami, o których była mowa powyżej. Początkowo te minimalne ilości przypadków nie wychodziły poza instytuty kliniczne. Rzecz w tym, że w przeciągu lat 1981—1984 sytuacja stała się alarmująca. Z wyjściowych kilkunastu przypadków, w roku 1983 zanotowano 2474 zachorowania na terenie USA, a w roku bieżącym liczba ta przekroczyła 3500.

Zanim przejdę do objawów syndromu nabytego niedoboru immunologicznego — słów kilka o obłędnej panice, która ogarnęła stany Floryda, Nowy Jork i Kalifornię, gdzie przypadków notowano najwięcej. Załogi ambulansów odmawiały wożenia chorych, zdarzały się przypadki strajku pielęgniarek. Dopiero wystąpienie pani sekretarz zdrowia w telewizji, która rozmawiała z pacjentem i podała mu rękę — w jakimś tam stopniu panikę ograniczyło. Powodów do dramatycznych reakcji było wystarczająco wiele.

Z pewnym wahaniem przystępuję do szczegółowego opisu objawów nabytego syndromu niedoboru immunologicznego. Podstawowym objawem jest postępujące zniesienie odporności organizmu na wszelkie infekcje, wszelkie urazy. Poglądowo rzecz traktując — chory w posuniętym stadium zespołu może umrzeć na katar. Ale zanim dochodzi do ostatecznego dramatu, objawy same w sobie są straszliwe. Oglądałem filmy i slajdy osób hospitalizowanych. Występują u nich poważne zakłócenia świadomości, poprzedzone trudnym do wytrzymania bólem głowy. Gruczoły chłonne pod pachami i w pachwinach nabrzmiewają, następnie pękają i wydobywa się z nich wydzielina. Zawsze łagodny w przebiegu półpasiec typu zoster (charakteryzujący się tylko bólami łatwymi do likwidacji novalginą), przybiera postać herpes zoster (o odczynie skórnym wzdłuż przebiegu nerwów obwodowych). Nie jest to jednak wysypka, lecz jamiste, nacieczone rany, których pochodzenie zdolny jest rozpoznać już tylko klinicysta. Organy rodne puchną, wykazują ogromną bolesność i również następują z nich wycieki. Na całym ciele ukazują się rozległe plamy, przechodzące z wolna w rany. Charakterystyczne są zmiany w jamie ustnej (totalny stan zapalenia śluzówki) najbardziej sensacyjny jest w 60 proc. występujący nowotwór sarcoma caposi. Tutaj mała charakterystyka: w historii ludzkości nowotwór ten atakował wyłącznie powłoki skórne ludzi starych. Był bardzo łatwy do leczenia, ponieważ ustępował po naświetlaniu. Nie zanotowano z jego powodu ani jednego zgonu. Tymczasem u pacjentów dotkniętych syndromem nabytym niedoboru immunologicznego sarcoma caposi występuje z niejasnych przyczyn nagminnie, a sekcje potwierdzają zaatakowanie przez niego całego przewodu pokarmowego oraz okolic serca. W tym wypadku jest to nowotwór złośliwy, nie reagujący na żadne formy terapii.

Najistotniejszą sprawą jest to, że na nabyty syndrom niedoboru immunologicznego według bieżących statystyk zapadają wyłącznie ludzie w wieku 30 do 40 lat.

DWIE STATYSTYKI

Wobec niemożności likwidacji zespołu żadnym ze znanych specyfików, Amerykanie pragnęli dotrzeć do patogenezy syndromu metodą statystyczną (oczywiście posiadającą minimalne walory poznawcze — ponieważ mówiącą wyłącznie o kręgach zagrożenia). Tak więc stworzono tak zwane koło statystyczne". Największy obszar tego koła stanowili homoseksualiści o dużej ilości kontaktów seksualnych, nieco mniejszy wycinek osoby wstrzykujące sobie dożylnie narkotyki, jeszcze mniejszy wycinek osoby korzystające często z transfuzji krwi. Największy wycinek — całkowicie zagadkowy — dotyczył przybyszów z Haiti. Warto dodać, że już promilowy wycinek stanowili ludzie, którym dokonano przeszczepy nerek względnie serca. Przez długi czas ta statystyka uchodziła za obowiązującą. Jednakowoż należy wskazać na jej niedostatki. Otóż rzecza charakterystyczną jest że współżycie homoseksualne, bardzo aktywne, rozpoczyna się w USA w wieku około 17 lat, a tymczasem chorzy na syndrom — jak się rzekło — wykazywali pierwsze objawy w wieku lat 30.

Wstrzykiwanie dożylne narkotyków wiązano z zakażeniem strzykawek, co sugerowałoby wirus podobny do wirusa B, a więc tego który wywołuje żółtaczkę zakaźną. Ta hipoteza szybko upadła, ponieważ z reguły narkomani w USA używają sterylnych strzykawek jednorazowych.

Tu należy nadmienić, że w statystyce amerykańskiej mowy nie było o jakimś „marginesie społecznym". Homoseksualiści bowiem w tym kraju, a szczególnie w północnej Kalifornii nie należą bynajmniej do żadnych lumpów. Wprost przeciwnie — stanowią poważne lobby — nawet polityczne, a pacjenci w znacznej części pochodzili ze sfer wybitnie zamożnych.

Jaki zatem sens amerykańskiej statystyki, której w żaden sposób nie wolno lekceważyć. Otóż klinicyści amerykańscy wychodzili z założenia, że syndrom w szczególnych przypadkach usposobienia organicznego może być wywoływany nadmiarem białka pokrewnego choremu, ale dostarczanego w wyjątkowo wielkich dawkach. Tak się ma dajmy na to ze sperma. O ile bowiem normalne współżycie mężczyzny z kobietą przebiega w pewnych okresach czasu i sperma męska nie jest stricte „pokrewna" wydzielinie kobiety — o tyle współżycie homoseksualistów przebiega znacznie częściej (notowano nawet wypadki 180 i więcej zmian partnerów). Jeżeli chodzi o bardzo modne w USA transfuzję krwi — to sprawa z pewnymi modyfikacjami przebiega podobnie. No i wreszcie sprawa przeszczepów, nie wymagająca chyba komentarzy.

Za te wszystkie dane składam gorące podziękowanie docentowi dr med. Aleksandrowi Skotnickiemu z Krakowskiej Akademii Hematologii, który służył mi radą i pomocą — a również referował tę część zagadnień w czasie sesji PAN, o której wspomniałem na początku.

Jednakże referat prof. dr. med. Wacława Kornaszewskiego dziekana Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Narodowego w Kinszasa (Zair) wywołał już nie tylko konsternację, ale powiał autentyczną grozą.

O ile dr med. Aleksander Skotnicki spędził rok 1983 aktywnie współpracując z klinicystami Instytutu Imienia Jerzego Waszyngtona w Stanach Zjednoczonych — o tyle prof. Wacław Kornaszewski wspólnie ze swą córką Małgorzatą spędził lat wiele jako „nasz człowiek w Kongo" i miał do czynienia z odpowiednią statystycznie masą ludzi chorych na nabyty syndrom niedoboru immunologicznego.

Profesor Kornaszewski również za pomocą środków audiowizualnych przedstawił sytuację chorych od momentu przyjęcia do swej kliniki aż do sekcji. Tu trzeba wyraźnie zaznaczyć, że wszystkie objawy były identyczne do tych, jakie rozpoznano w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Jedyna, ale podstawowa różnica, która zaistniała w referacie profesora Wacława Kornaszewskiego — to statystyka. Po pierwsze jego pacjentami były w przeważającej mierze KOBIETY, posiadające uregulowany tryb życia seksualnego wyłącznie z jednym mężczyzną. Co ważniejsze były w dużym procencie matkami zdrowych dzieci. Jedynie ich mężowie zapadali na syndrom niedoboru. Jeżeli chodzi o dożylnie wstrzykujących dożylnie narkotyki — to ten problem w kulturze Zairu w ogóle nie istnieje. Narkomani zairscy palą haszysz. Podobne specyfiki opiumowe z dodatkiem tytoniu również palą. A więc infekcja dożylna nie istnieje. Spośród pacjentek tylko jedna była prostytutka, tylko jeden mężczyzna udzielał się homoseksualnie. W przeciwieństwie do doniesień z USA również profesor Kornaszewski doniósł o śmierci lekarki, która po powrocie do Kopenhagi zmarła ze wszystkimi objawami nabytego syndromu niedoboru immunologicznego.

Opisywany syndrom jest nową zespołową jednostką chorobową spędzającą sen z oczu immunologów.

Śmiertelność z racji syndromu w Stanach Zjednoczonych waha się od 80 do 90 proc., zaś w Zairze pełne 100 proc.

Syndrom niedoboru immunologicznego zatacza coraz szersze kręgi. Doniesienia istnieją już z sąsiadującego z Zairem Konga Brazzaville, również z Mali, z Wybrzeża Kości Słoniowej. To tyle doniesień pewnych.

Już w samolocie profesor Wacław Kornaszewski dowiedział się, że służby zdrowia Indii i Pakistanu zostały postawione w stan pogotowia.

Czarna chmura zawisła nad światem. I nikt nie wie, co ją wywołuje.

Post scriptum

Gdy o czymś nie wiemy, to chętnie zrzucamy winę na jakiegoś legendarnego wirusa. Przypomina to metody średniowieczne. Nikt w tej chwili na całym świecie nie może orzec, że zawinił tu jakiś tajemniczy wirus. Tym bardziej że zespół chorobowy ma charakter endemiczny nie epidemiczny. Jakiś „żartownis" pod koniec mej krótkiej relacji całkowicie bez mojej wiedzy wstawił owego mitycznego wirusa w „Głosie Robotniczym", jako, że się rzekło iż niniejsza relacja ma zupełnie inny charakter niż publicystyczna informacja w zakresie codziennej — proszę tego wirusa włożyć między bajki, aż do następnej, ewentualnej Nagrody Nobla z dziedziny medycyny.

R.G.

Vademecum turysty—zaopatrzeniowca

Dokończenie ze strony 1

LUDNOŚĆ

Dużo — 753 osoby na 1 km kw. Uwaga panowie: w województwie łodzkim na 100 mężczyzn przypada 115 kobiet!

Ludność tubylcza wykazuje coraz mniejszą tolerancję wobec przyjezdnych; z natury mało agresywna, ale może wypchnąć z kolejki, a nawet naprać po twarzy — w przypadku zdemaskowania osobnika z obcego regionu podróżującego w celach merkantylnych.

Kontakt z tubylcami znakomicie ułatwia znajomość takich określeń jak: RTS Widzew, Bałuty, Smolarek, Piotrkowska, ŁKS. Uwaga: w Łodzi sklep mięsny nazywa się „rzeźnik", a z tramwaju nie należy wysiadać, tylko „schodzić".

CIEKAWE OBIEKTY

„Central", „Uniwersal", „Hermes", „Juventus", „Teofil", „Moda Polska", „Polbut", „Delikatesy", „Wólczanka".

Uwaga: w Łodzi można kupić: tkaniny, firanki, koszule męskie, bieliznę, koce, kołdry, płaszcze, kurtki, spodnie, garnki, rowery, papier toaletowy, szampon (czasem), wykałaczki, budziki, a przy wyjątkowym szczęściu nawet nóż kuchenny.

Tylko w Łodzi 330 kg makulatury da się wymienić na jednotomową encyklopedię!

W Łodzi można zobaczyć:

1. Najdroższego piłkarza w PRL, Dariusza Dziekanowskiego (21 mln zł).
2. Trzymiesięczną kolejkę po opony samochodowe (z codziennie sprawdzaną listą obecności).
3. Obce waluty w skarbonce Centrum Zdrowia Matki Polki.

INNE ATRAKCJE WOJEWÓDZTWA

Pabianice: Sklep firmowy Pabianickiej Fabryki Żarówek „Polam", gdzie bez ograniczeń można nabywać żarówki tzw. głównego szeregu. Uwaga: za 2 żarówki 100-watowe chłopi z ościennych województw dają tłustego koguta. Na terenach położonych dalej od Pabianic rzeczonego koguta można uzyskać w drodze transakcji wymiennej już tylko za 2 żarówki.

W sklepie „Pamotexu" można zaopatrzyć się w pościelowe, wsypowe, sztruks i flanelę. Uwaga: kolejka po sztruks ustawia się o godzinie 3.00.

Zgierz: Przy odrobinie szczęścia można tu nabyć szpulkę nici oraz igły do maszyn. Uwaga: jedna szpulka mocnych nici w roku 1984 dawała się wymienić na jeden mendel świeżych jaj z wiejskiego kurnika.

W Zgierzu bywają czasem: chusteczki do nosa, szampony, pasty do zębów, zamki błyskawiczne.

INFORMACJA

Na terenie województwa miejskiego łódzkiego dominują turyści-zaopatrzeniowcy z: Kalisza, Stalowej Woli, Radomia, Mielca, Kielc, Gniezna, Piły, Włocławka, Torunia, Bydgoszczy, Grudziądza.

Województwo katowickie

Drugie pod względem atrakcyjności turystycznej województwo w Polsce. Odkryte przed kilkoma miesiącami i mało jeszcze znane krajowemu turyście-zaopatrzeniowcowi.

WARUNKI NATURALNE

Województwo leży na południu, blisko gór, trochę dalej niż Częstochowa. Jest małe, strasznie zadymione i okropnie przeludnione. Stały deficyt wody pitnej. Strefa wpływów coca-coli. Uwaga: ze względu na specyficzną atmosferę, zaleca się noszenie odzieży w kolorze ciemnym, najlepiej łatwo zmywalnej. Duże prawdopodobieństwo tąpnięć.

BAZA TURYSTYCZNA

Niczego sobie. W hotelach sporo śniadych obcokrajowców. Kwatery prywatne tylko w Częstochowie. Można spać na dworcu w Katowicach (patrole MO co godzinę). Gastronomia rozwinięta. Dania smaczne, ale drogie. Owoce i warzywa bandycko drogie. Cena dolara odpowiada kursowi stołecznemu.

DOJAZDY

Najwygodniej autokarem lub samochodem osobowym. Pociągiem należy poruszać się szlakiem transportu węgla — ale w przeciwnym kierunku. Port lotniczy 34 km od Katowic. Uwaga: możliwość przypadkowego rejsu na Tempelhof.

Cena benzyny 100-150 zł. Cena ropy znacznie niższa od oferowanej w stacjach CPN (15-20 zł).

LUDNOŚĆ

Stanowczo za dużo — szczególnie na ulicach. Przed południem więcej pań. Między Gliwicami a Dąbrową Górniczą obszar najgęściej zaludniony.

Ludność tubylcza obojętnie (jeszcze) nastawiona do turystów-zaopatrzeniowców. Podobno górnicy mają już wszystko? Kolejek w zasadzie nie ma. Ostrzeżenie: z uwagi na możliwość trwałej utraty zdrowia przestrzega się przed głośnym wypowiadaniem słowa „Warszawa".

CIEKAWE OBIEKTY

„Sezam", „Skarbek", „Junior", sklepy „Domaru".

Uwaga: na Śląsku można kupić: lodówki w czterech odmianach, pralnice automatyczne krajowe oraz importowane, suszarki do włosów, termowentylatory, taśmy magnetofonowe, naczynia emaliowane, autosyfony, każdą ilość bezkartkowej czekolady (cena 330-350 zł), kawę, herbatę, ekstra mocne z filtrem.

W celach wymiennych zaleca się przywóz: bielizny, wszelkiego rodzaju tkanin, rajstop, skarpet, odzieży męskiej.

Ostrzeżenie: nie należy dziwić się zbytnio widokowi ciężarówek oraz wozów dostawczych z obcą rejestracją (warszawską, skierniewicką, płocką) jak hurtowo wywożą one wyżej wymieniony sprzęt gospodarstwa domowego — szczególnie lekko uszkodzone pralnice i lodówki, zbywane tu po niskich cenach. Kierowcom nya i żuków z napisem „użytek własny" (rejestracje jak wyżej) nie należy proponować zakupu benzyny, dysponują bowiem silnikami Diesla (ok. 400 marek w RFN).

INNE ATRAKCJE WOJEWÓDZTWA

Sosnowiec: Turystyczne butle gazowe (1100 zł), suszarki do włosów, opiekacze do chleba, młynki do kawy.

Katowice: Uszkodzone telewizory oraz pralnice automatyczne, płyn do mycia naczyń, papierosy caro, sztućce, czekolada.

Gliwice: Pralnice automatyczne w wersji „mini" (12 tys. zł), grzałki, duży wybór obuwia damskiego.

Chorzów: Słodycze, poduszki, suszarki do włosów, dmuchane materace, rowery, telewizory turystyczne, chusteczki higieniczne, czajniki.

INFORMACJA

Na terenie województwa katowickiego panoszą się turyści-zaopatrzeniowcy z: Częstochowy, Warszawy, Skierniewic, Opola, Wrocławia, Krakowa, Kielc.

Opracował:
ROMAN KUBIAK

(4)

„W imieniu Boga?" —tajemnicza śmierć Jana Pawła I

„Chciałbym jednak zwrócić uwagę na to, że nagłówek firmowy sprawia wprawdzie wrażenie autentycznego, ale Kongregacja, o której mowa, zmieniła swą nazwę w 1968 r. i że z uwagi na datę listu, 29 czerwca 1971 r., podana w nagłówku nazwa w zasadzie nie zgadza się. Nowa nazwa brzmi „Sacra Congregazione per i Religiosi e gli Institute Secolari".

Amerykanie osiągnęli jednak swój najważniejszy cel: uzgodniono, że następnego dnia odbędzie się osobiste spotkanie z biskupem Paulem Marcinkusem. Już sam ten fakt był niezwykłym sukcesem, gdyż Watykan z reguły zębami i pazurami broni swego roszczenia do tego, by być suwerennym państwem.

W osobistej rozmowie kardynał Benelli potwierdził mi zresztą, że rzeczywiście jeszcze przed przybyciem Amerykanów do Watykanu otrzymał od Mario Foligniego informację o aferze. Kardynał dopatrywał się w tym manewru mającego odciążyć Foligniego, który w tym czasie już wiedział, że gra się skończyła. Jeżeli chodzi o wiarygodność informacji Foligniego, to Benelli zadowolił się stwierdzeniem, że uważa je „za bardzo interesujące i pożyteczne".

Rankiem 26 kwietnia 1973 r. Amerykanie zostali wprowadzeni do prywatnego biura biskupa Paula Marcinkusa. Lynch i Aronwald powtórzyli historię, którą opowiedzieli poprzedniego dnia, a Marcinkus przysłuchiwał się paląc grube cygaro. W świetle późniejszego dementi szczególnie interesującą była jego wstępna uwaga: „Jestem bardzo zaniepokojony ciężarem podnoszonych zarzutów. Mając to na uwadze będę odpowiadał otwarcie na każde pytanie panów".

Rozpoczął od Michele Sindony. **„Michele i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Znamy się od lat. Moje transakcje finansowe z nim były jednak bardzo niewielkie. Jest on, jak panom wiadomo, jednym z najzamożniejszych przemysłowców włoskich. W sprawach finansowych nie ma on żadnych problemów".**

Biskup długo mówił o różnych cnotach i zdolnościach Michele Sindony. Potem przeszedł do tajemnicy bankowej, którą rzekomo cenił tak samo wysoko, jak tajemnicę spowiedzi:

„W wielu punktach, o których będę mówił, nie będę wymieniał żadnych nazwisk; zarzuty, jakie ponosi wobec mnie Foligni, są wprawdzie poważne, ale tak skandaliczne, że nie uważam za konieczne naruszania tajemnicy bankowej w celu obrony własnej".

Rozmowa przeprowadzona poprzedniego dnia miała nieformalny charakter, natomiast spotkanie z Marcinkusem miało charakter urzędowego przesłuchania. Sądząc po materiale dowodowym, zebranym przez amerykański aparat ścigania w czasie ponad dwuletniej, dokładnej i wytężonej pracy, Lynch, Aronwald i obaj funkcjonariusze FBI, Biamonte i Tammaro siedzieli naprzeciw człowieka, który zaaranżował największe oszustwo wszechczasów. Jeżeli ten materiał obciążający był prawdziwy, to być może nawet Al Capone musiałby podzielić się z Paulem Marcinkusem swoją opinią najsławniejszego syna przedmieścia Chicago, Cicero. Jednakże daleko było jeszcze do złapania wielkiej ryby na wędkę.

William Lynch odważył się na dalszy krok.

— Jeżeli kiedyś okazałoby się to konieczne, to czy zgodziłby się pan na osobistą konfrontację z Mario Folignim?

— Tak.

— Czy byłby pan także gotowy, gdyby okazało się to konieczne, zeznawać przed sądem amerykańskim?

— Właściwie tak, z pewnością, jeżeli byłoby to absolutnie konieczne. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

— Dlaczego?

— Wie pan, jedynymi, którzy mieliby coś z tego, gdybym ukazał się w sądzie, byłyby dzienniki włoskie.

— Jak pan to rozumie?

— Nie pomijają one żadnej okazji do tworzenia atmosfery wrogiej Watykanowi, bez względu na to, czy coś jest prawdą, czy nie.

Lynch i Aronwald nie brali w ogóle pod uwagę wrażliwości Watykanu wobec prasy włoskiej.

— Czy ma pan prywatne konto na Wyspach Bahama?

— Nie.

— Czy jest pan tego całkowicie pewien, biskupie?

— Na Wyspach Bahama Watykan ma swoje interesy finansowe, ale są one związane wyłącznie z transakcjami, które prawie nie różnią się od wielu innych transakcji dokonywanych przez Stolicę Apostolską. Nie służą one prywatnym korzyściom finansowym jakiejkolwiek osoby prywatnej".

— Interesują nas pańskie konta prywatne.

— Nie mam żadnych prywatnych lub urzędowych kont, ani na Wyspach Bahama, ani gdziekolwiek indziej.

Nie poruszono tego, czy Marcinkus nosi swoje dochody w gotówce przy sobie i czy płaci ze swojej kieszeni w spodniach. Biskup nie wspomniał też nic o tym, że zasiadał w zarządzie zarejestrowanego w Nassau na Wyspach Bahama Banco Ambrosiano Overseas, i to już od 1971 r. Funkcja ta została mu powierzona przez obu mężczyzn, którzy utworzyli tę instytucję: Michele Sindonę i Roberto Calviego. Obaj często wykorzystywali nazwisko biskupa w swoich transakcjach. Przy jakiejś okazji Sindona powiedział Marcinkusowi wyraźnie: „Przyjąłem pana do zarządu, ponieważ pana nazwisko pomaga mi robić pieniądze".

Sindona i Cali odwdzięczyli się tym, że przepisali na Marcinkusa i Bank Watykański dwu i półprocentowy udział w kapitale owego banku w Nassau. Udział ten wzrósł z czasem do ośmiu procent. Marcinkus często uczestniczył w posiedzeniu zarządu i spędzał urlopy na Wyspach Bahama. Niezwykle uciążliwe musiało dla niego być stałe operowanie wielkimi sumami pieniężnymi, które — jeśli wierzyć zapewnieniom złożonym wobec Amerykanów — musiał ciągle nosić przy sobie. Niecodzienną sprawą było jednak to, że człowiek, który zasiadał w zarządzie banku, nie dysponował własnym kontem.

W tym momencie przesłuchania Marcinkus rzucił uwagę: „Musicie wiedzieć, że moja pozycja wewnątrz Watykanu jest niezwykła". Tę skromną ocenę własnej osoby wyjaśnił potem następująco: „Kieruję czymś, co wielu ludzi chętnie nazywa Bankiem Watykańskim. Pełniąc tę funkcję ponoszę całkowitą odpowiedzialność za finansowe sprawy Watykanu. Jedyny w swoim rodzaju charakter nadaje mojej funkcji to, że sprawozdania ze sposobu realizacji zadań finansowych jestem zobowiązany składać tylko papieżowi. Teoretycznie otrzymuję polecenia od grupy kardynałów, którzy zbierają się od czasu do czasu i funkcjonują ogólnie jako gremium nadzorcze banku. W rzeczywistości mam jednak wolną rękę w kierowaniu sprawami finansowymi Watykanu".

— Co chce pan nam przez to powiedzieć?

— To, że moja pozycja, jak mam to właściwie wyrazić, doprowadziła do pewnych nieprzyjaznych uczuć u innych osób na odpowiedzialnych stanowiskach w Watykanie.

— Rzeczywiście?

— Tak, z pewnością, obawiam się, że jest to z tym związane. Jestem pierwszym Amerykaninem, który osiągnął taką pozycję w Watykanie, i jestem pewien, że przyczyniło się to także do powstania pewnych nieprzyjaznych uczuć".

Marcinkus miał bez wątpienia rację, mówiąc o pewnych „nieprzyjaznych uczuciach" innych, wysoko postawionych osób w Watykanie (i nie tylko tam) wobec jego osoby, niezależnie od tego, czy odegrał on czołową rolę w tej gigantycznej machinacji, czy też nie. W Wenecji był na przykład kardynał Albino Luciani, którego uczucia wobec Marcinkusa stają się coraz bardziej „nieprzyjazne" w miarę, jak dowiaduje się od Benellego najnowszych szczegółów sagi Marcinkusa. Benelli nie wiedział w tym czasie, że Paul Marcinkus w swojej rozmowie z prowadzącymi dochodzenie Amerykanami usiłował przedstawić jego, kardynała jako osobę być może zamieszaną w tę nielegalną transakcję (...).

Wynikiem długiego przesłuchania było to, że Marcinkus zapewniał o swojej niewinności i zaprzeczył, by cośkolwiek wiedział. Zamyślony przyjął listę rodzajów sfałszowanych papierów wartościowych i oświadczył, że rozejrzy się za falsyfikatami.

W rezultacie o udział w miliardowej machinacji obwinionych zostało wiele osób. Na temat podniesionego przeciw biskupowi Paulowi Marcinkusowi zarzutu współudziału, William Aronwald oświadczył: „Jedynym, co możemy tu z całą pewnością stwierdzić jest to, że dochodzenie nie przyniosło żadnych wystarczająco wiarygodnych dowodów za lub przeciw słuszności tych zarzutów. Ponieważ nie jesteśmy wewnętrznie przekonani, że zrobiliśmy coś źle lub że Marcinkus albo ktoś inny w Watykanie zrobił coś niewłaściwego, byłoby nieuczciwe wywoływanie sensacji".

To, że prowadzone dochodzenie wydobyło tak mało na światło dzienne, nie wynika oczywiście na przykład z braku u prowadzących je woli wyjaśnienia sprawy. Zrobili, co mogli. Później postawiono tezę, że oni sami byli instrumentem szeroko zakrojonego manewru, mającego zatuszować całą sprawę (twierdzi to Richard Hamer w swojej wydanej w 1982 r. książce „The Vatican Connestion"); ich działania miały służyć tylko wywołaniu wrażenia, że toczy się śledztwo. Jest to bez sensu i świadczy tylko o całkowitej nieznajomości bardzo realnych problemów, jakie stają na drodze, gdy dochodzenia podjęte w jednym kraju mają być kontynuowane w innym. Watykan jest niezależnym organizmem państwowym; to, że Lynch, Aronwald i funkcjonariusze FBI zostali w ogóle wpuszczeni do Watykanu, świadczy tylko dobrze o ich uporze. Tylko w telewizyjnych filmach kryminalnych zdarzają się takie sytuacje, że policjant nowojorski uzbrojony w pistolet i z nakazem aresztowania w ręku wsiada w samolot, a następnie w obcym kraju przesłuchuje świadków lub podejmuje nawet jakieś działania urzędowe.

Gdyby Watykan należał do Stanów Zjednoczonych, wówczas z pewnością wszyscy zatrudnieni w Sacra Congregazione dei Religiosi członkowie Kurii zostaliby poddani gruntownym przesłuchaniom. Pobrano by od nich odciski palców i porównano z odciskami pozostawionymi na wszystkich maszynach do pisania, używanych w Kongregacji. Być może, wszystko to umożliwiłoby wyjaśnienie, czy Marcinkus jest winien, czy nie. To, że władze Stanów Zjednoczonych uznały materiał obciążający za wystarczająco poważny, by wszcząć delikatne pod względem politycznym śledztwo, mówi samo za siebie. William Aronwald zapewniał mnie: „Nie przyszłoby nam do głowy, by marnować pieniądze podatników, jeżeli nie traktowalibyśmy rzeczywiście bardzo poważnie materiałów obciążających".

W efekcie końcowym z powodu braku dowodów, które mogłyby przekonać ławę przysięgłych, dochodzenie przeciwko Marcinkusowi zostało umorzone.

Bez odpowiedzi pozostało jednak pytanie: kto był zleceniodawcą, który zamówił sfałszowane papiery wartościowe na sumę prawie miliarda dolarów? Jeżeli uwzględni się cały zebrany materiał dowodowy, możliwe są tylko dwie odpowiedzi. Obie brzmią awanturniczo. Jedna z nich to założenie, że Leopold Ledl i Mario Foligni namówili mafię do wyprodukowania falsyfikatów, z pewnością przy znacznych nakładach finansowych, z zamiarem oszukania jej potem. Ponieważ jednak o uczestniczących w tej machinacji odgałęzieniach mafii wiadomo, że od czasu do czasu zabijają one lub wyeliminują ludzi, których być może podejrzewają tylko o ich znieważenie, o Ledlu i Folignim można byłoby powiedzieć — gdyby to miał być rzeczywiście ich plan — że wyszukali sobie niezwykłą formę samobójstwa. Drugą, alternatywną odpowiedź stanowi założenie, że sfałszowane papiery wartościowe były rzeczywiście przeznaczone dla Watykanu".

W Wenecji Albino Luciani nosił szaty pozostawione przez jego poprzednika, kardynała Urbaniego. Przez cały okres pełnienia funkcji patriarchy nie zgadzał się na zakup nowej „odzieży roboczej". Zamiast tego utrzymywanie swoich szat w porządku powierzył zakonnicom, które ciągle je naprawiały i cerowały. Zresztą szaty kardynała i patriarchy nosił on bardzo rzadko. Przedkładał nad nie zwykłą sutannę księżowską.

Jego duża skromność wewnętrzna i zewnętrzna prowadziła często do kuriozalnych sytuacji. W 1975 r. podróżował z ojcem Senigaglią samochodem przez Niemcy. Zatrzymali się w Akwizgranie, gdzie Luciani chciał pomodlić się przed bardzo starym ołtarzem w tamtejszej katedrze. W obecności Senigagliego oświadczono kardynałowi w dość szorstkiej formie, że ołtarz jest niedostępny i powinien przyjść innym razem. Po powrocie do samochodu Luciani powiedział swemu nie znającemu niemieckiego sekretarzowi, w jaki sposób i dlaczego usunięto go z katedry. Oburzony Senigaglia wyskoczył z samochodu, pobiegł do katedry i zasypał niemieckich opiekunów katedry gradem włoskich słów. Zrozumieli wystarczająco dużo, by zorientować się, że niepozorny duchowny, którego wyrzucili, jest patriarchą Wenecji. Teraz znowu Luciani, którego niemieccy księża prawie siłą wyciągali z samochodu, oburzył się, ale na swojego sekretarza. W świątyni przepraszający za całe zajście ksiądz szepnął Lucianiemu: „Eminencjo, trochę czerwieni jednak przydałoby się".

Za tą skromnością i łagodnością krył się człowiek o niezwykle silnej osobowości, napiętnowanej jego pochodzeniem i powołaniem. Nie związany ani z lewicą, ani z prawicą, świadomie unikał wciągnięcia go w walki frakcyjne, toczące się w Rzymie. Zmagania o stanowisko zapewniające władzę w Watykanie skłaniały go często do stawiania ze zdziwieniem pytania, dlaczego ci ludzie zdecydowali się na to, by zostać duchownymi. (...)

Na początku 1976 r. Albino Luciani znalazł się wśród uczestników konferencji biskupów włoskich w Rzymie. Jednym z rozważanych tam problemów był poważny kryzys gospodarczy, w jakim znajdował się kraj. Związany z tym punkt dyskusji, omawiany zresztą poufnie, dotyczył roli Watykanu w tym kryzysie i roli owego dobrego przyjaciela biskupa Marcinkusa, Michele Sindony. W spektakularnych okolicznościach jego imperium finansowe rozpadło się. We Włoszech, w Szwajcarii, Republice Federalnej i USA niektóre banki znalazły się w obliczu bankructwa. Włoskie władze wymiaru sprawiedliwości podniosły wobec Sindony oskarżenie zawierające najróżnorodniejsze zarzuty i zabiegały o jego ekstradycję ze Stanów Zjednoczonych. Prasa włoska poinformowała, że z powodu bankructwa Sindony Watykan stracił ponad 100 mln dolarów. Watykan zaprzeczył temu, lecz przyznał się do pewnych strat. Już w czerwcu 1975 r. włoskie władze wymiaru sprawiedliwości jeszcze w trakcie starań o sprowadzenie Sindony do Włoch skazały go pod jego nieobecność na karę trzech i pół roku pozbawienia wolności — był to najwyższy wymiar kary za wykroczenia, które legły u podstaw wydanego wyroku. Wielu biskupów uważało, że papież Paweł VI już w 1974 r. powinien zwolnić Marcinkusa z funkcji szefa Banku Watykańskiego, kiedy tylko okazało się, że czeki Sindony były bez pokrycia. Nic takiego jednak nie nastąpiło i tym samym serdeczny przyjaciel Sindony zarządzał finansami Watykanu jeszcze teraz, w dwa lata później.

Kiedy Luciani odjechał z Rzymu, zostawił za sobą miasto spekulujące na temat tego, ile milionów stracił Watykan na skutek afery Sindony. Opuścił on także konferencję biskupów, na której mówiono głównie o tym, jakie udziały w Banca Privata miał Bank Watykański i ile ulokował on tam akcji tego czy innego koncernu. Powrócił do Wenecji, gdzie szkoła Don Orione dla upośledzonych nie miała dość pieniędzy na zakup podręczników.

Luciani zasiadł do maszyny i napisał list, który ukazał się w następnym wydaniu gazety diecezyjnej. Tytuł brzmiał: „Bochenek chleba dla miłości Boga". We wstępie znalazła się prośba o datki pieniężne na pomoc dla ofiar trzęsienia ziemi w Gwatemali; kardynał zapowiedział, że na jego polecenie w niedzielę, 29 lutego we wszystkich kościołach diecezji odbędzie się zbiórka na ten cel. Potem przeszedł do omawiania sytuacji gospodarczej we Włoszech i napisał do swoich czytelników, że biskupi włoscy i członkowie ich parafii są zobowiązani dawać praktyczne dowody solidarności i gotowości do udzielania pomocy. (...)

Podległym sobie księżom i kuratorom dóbr kościelnych udzielił on zezwolenia i poradził, by sprzedawali swoje złoto, klejnoty i przedmioty wartościowe, a uzyskane środki przekazali na ośrodek Don Orione dla upośledzonych. Poinformował czytelników, że sam zamierza sprzedać wysadzony kamieniami krzyż i złoty łańcuch, które nosił papież Pius XII i które otrzymał w podarunku od papieża Jana XXIII z okazji swoich święceń biskupich. (...)

Zapowiedział także, iż temu, kto zapłaci najwięcej, sprzeda wartościowy krzyż ze złotym łańcuchem oraz pierścień papieża Jana XXIII. Przedmioty te przywiózł w prezencie papież Paweł VI, kiedy we wrześniu 1972 r. złożył wizytę w Wenecji. (...)

Reakcje były podzielone. Wielu spośród księży weneckich było przywiązanych do wartościowych klejnotów, które przechowywali w swoich kościołach. Z ostrą krytyką spotkał się Luciani także ze strony niektórych tradycjonalistów, którzy chętnie wspominali roztaczanie przepychu i władzy związanej z tytułem „patriarchy Wenecji", ostatniej pozostałości ze sławnego okresu rozkwitu „Serenissimy". Człowiek, który poszukiwał życia w sensie istotnej, wiecznej prawdy Ewangelii, przyjął w swoim gabinecie delegację tych obywateli. Po wysłuchaniu ich powiedział:

„Jestem przede wszystkim biskupem wśród biskupów, pasterzem wśród pasterzy, których najważniejszym obowiązkiem jest szerzenie nauki Chrystusa i baczenie na bezpieczeństwo ich owieczek. Tu, w Wenecji mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałem w Canale, Belluno i Vittorio Veneto".

Potem zadzwonił do straży pożarnej, zamówił łódź i udał się z wizytą do pobliskiego szpitala.

Jak już wspomniano, jednym ze środków komunikowania się, do którego uciekał się ten pasterz, by wyjaśnić coś swojej trzodzie, było pióro. Wielokrotnie zwierzał się swojemu sekretarzowi, że zostałby pewnie dziennikarzem, gdyby nie wybrał stanu duchownego. Po jego pismach można sądzić, że byłby dobrym dziennikarzem. We wczesnych latach 70-tych rozwinął on interesującą metodę udzielania czytelnikom pisma diecezyjnego odpowiedzi na ten czy inny problem moralny: pisał listy otwarte do znanych postaci literatury światowej i osobistości historycznych. Artykułami tymi zainteresował się redaktor naczelny miejscowej gazety i poprosił Lucianiego, by przez jego pismo udostępnił je szerszej opinii publicznej. Luciani uważał, że za pomocą gazety skuteczniej może szerzyć naukę chrystusową, niż kazaniami w pustych w połowie kościołach. Zbiór jego listów został później opublikowany w wydaniu książkowym pod tytułem „Illustrssimi" („Wasz oddany Albino Luciani"). Lektura tej książki jest czystą przyjemnością. Z jednej strony listy dają nieoczekiwany wgląd w sposób myślenia Albino Lucianiego, a z drugiej zajmują się za każdym razem określonymi aspektami nowoczesnego życia. Stale na nowo potwierdza się w nich jedyna w swoim rodzaju umiejętność Lucianiego — zrozumiałego wyrażania się — w każdym razie jedyna w swoim rodzaju wśród kardynałów włoskich. Listy świadczą dobitnie o tym, jak Luciani był oczytany. Wśród adresatów jego listów byli Chesterton i Walter Scott, Goethe i Alessandro Manzoni, Marlowe i wielu innych. Istnieje też list do Chrystusa.

W każdym liście zawarte są mądrości życiowe kierowane do jego czytelników — na tematy rozsądku, odpowiedzialności, skromności, wierności, działalności dobroczynnej. Jako środek służący rozpowszechnianiu nauki chrystusowej wśród ludzi książka ta jest więcej warta, niż wszystkie 20 encyklik papieskich razem wziętych.

Szerzenie nauki chrystusowej było jednym z zadań, jakim Luciani poświęcił się w latach spędzonych w Wenecji. Innym było uporanie się z krnąbrnością, jaką stale demonstrowali niektórzy z podległych mu księży. Poza takimi, którzy grozili lokatorom eksmisją lub opierali się przed sprzedażą kościelnych kosztowności, byli także gorliwi zwolennicy marksizmu, jak i równie gorliwi zwolennicy kapitalizmu. Jeden z księży na ścianie swego kościoła wypisał pędzlem hasło: „Jezus był pierwszym socjalistą", inny przed zdziwionymi parafianami powiedział z ambony: „Nie będę pracował więcej dla patriarchy, dopóki nie podniesie mojego uposażenia".

Albino miał wprawdzie duże poczucie humoru, ale takie wyskoki nie bawiły go. W lipcu 1978 r. wygłaszał kazanie w Kościele Zbawiciela w Wenecji. Mówił o omylności.

„Papież, biskupi, księża są z pewnością biednymi, stale narażonymi na popełnianie błędów ludźmi i my też często popełniamy pomyłki".

W tym momencie podniósł głowę, skierował wzrok na swoich wiernych i powiedział ze skromną otwartością: „Jestem przekonany, że papież Paweł VI, mianując mnie arcybiskupem Wenecji, popełnił błąd".

Kilka dni później papież Paweł VI nie żył: zmarł w niedzielę, 6 sierpnia 1978 r. o godzinie 9.40 przed południem. Tron został osierocony.

C.D.N.

(Fragmenty książki DAVIDA YALLOPA „In God's Name")

■

W kręgu fantastyki

DYMITR BILENKIN

Skarby Neriany

Na wzgórzu, niczym na chwiejnym pokładzie, na szeroko rozstawionych nogach stali ludzie. Przed nimi rozciągało się wrzące piekło Neriany. Z lewej, w odległości półtora kilometra, jak w febrze, trzęsło się szczerbate pasmo skał; z prawej, wąwozem rwał fioletowy wał dymu i popiołu. Nabrzmiewał strzelając w zenit kłębami, a wtedy w jego mętnej głębinie wściekle migotał ogień. Wysoko na niebie kosmate pasma otaczały dysk gwiazdy, na przemian przekształcając się to w brudnoliliową, to purpurową, miotającą się pośród chaosu dymu kulę. Miało się wrażenie, że i niebem wstrząsał dreszcz.

Za każdym wstrząsem, nawet tam, gdzie znajdowali się Sobolew, Gordon i Ikeda na zboczu ożywały strumyki piargów, ale gruchot kamyczków gubił się w głuchym i przeciągłym łoskocie.

Z całkowitą obojętnością dla tego zamętu Gordon podniósł do oczu enokl. Jego gest, sylwetki wszystkich trzech, odblask ognia na twarzach ukrytych za osłonami hełmów obudziły w pamięci Sobolewa wspomnienia czegoś starego, znanego od czasów dzieciństwa i tu jakby nie do pomyślenia. Ale obrazy zgadzały się. Zdumiony Sobolew już zamierzał podzielić się wrażeniem z przyjaciółmi, ale w porę przypomniał sobie o tym, że bajkę o bohaterskiej czacie trzeba im będzie tłumaczyć, że zajmie to dużo czasu, a poza tym nie jest potrzebne.

Przeniósł wzrok na otoczenie. Oko z ziemskiego przyzwyczajenia szukało przed sobą czegoś, co choć trochę przypominałoby ziejące ogniem góry, mroczne przepaście, groźne, ale wyraźne punkty orientacyjne. Na próżno. Tam wszystko było wichrem i mrokiem, w którym twardy grunt mieszał się z palącym bulgotaniem gazów, niczym w nieskończonym, nigdy nie milknącym wybuchu. W rzeczywistości było nieuzupełnie tak: fontanny wybuchów nie pokrywały się, energia trzewi planety nie wylewała się stale, ale świadomość tego nie czyniła pejzażu spokojniejszym.

Iść tam? Nie był to pierwszy dzień poszukiwań. Z krótkimi przerwami na odpoczynek i sen szli, niekiedy padali za sprawą jeszcze dalekich podziemnych wybuchów, podnosili się i znowu szli. Dysponowali przekazanymi przez Guptę koordynatami miejsca, ale cóż znaczyły punkty orientacyjne tam, gdzie zdarzało się, iż całe pasmo górskie pełzło, wijąc się niczym gąsienica?

Teraz do obejrzenia pozostał niewielki, ale za to najniebezpieczniejszy odcinek, który rozciągał się nad samym jądrem głębinowych burz.

Sobolew znów zerknął na swych przyjaciół. Mocna figura Gordona wznosiła się niczym pomnik bezruchu. Jego oczy przesłonięte były enoklem. Ikeda... Niespodzianie Sobolew zarejestrował emanujący zeń niepokój. Nic dziwnego — w duszy Ikedy żyło doświadczenie wielu pokoleń narodu wulkanicznych gór, dawny strach przed żywiołem, który tak często i nieubłaganie rozprawiał się z bezbronnym w takiej chwili człowiekiem.

Sobolew postąpił krok do przodu i objął go w ramionach.

— Co? — zapytał mężczyzna szeptem.

— Spójrz na Gordona. Pan ziemi i nieba co? Przydałby się tu rzeźbiarz!

— Chciałeś powiedzieć, że to przykład męstwa?

— Chcę powiedzieć, że rozwinięty zmysł niebezpieczeństwa to dla nas teraz nie mniejszy skarb.

— Szepczecie? — Gordon gwałtownie opuścił enokl. — Ale Gupta urządził nas! Dalej drogi nie ma. Ani na powierzchni, ani nad nią. Co zrobimy?

— Popłyniemy — bez uśmiechu odpowiedział Ikeda. — Skoro nie można iść i lecieć...

— Rada w klasycznym stylu Wschodu. Co powiesz na to Sobolew?

— Użyję nienawistnego mi zwrotu.

— Kto wie?

— Nie, nie cofać się. Och!...

Zatrzęsło tak, że wszystkich ścisnęło w dołku. Niebo pociemniało. W przodzie wyrosła wrząca ściana, której ogrom sprawił, że ludzie poczuli się jak myszki.

— Trzy megatony, a może i więcej — podsumował Sobolew.

— Co za świństwo! — Gordon skrzywił się tak, jakby napił się octu. — I to w najspokojniejszym okresie. Dobra, podejmując ryzyko stawiam na szali swoje życie. Ikeda, określiłeś już stopień niebezpieczeństwa?

— 0,3. W przybliżeniu, bo dokładniej nie daje się.

— Możliwe, ja też tak oceniam je w przybliżeniu. Mam pewne propozycje odnośnie marszruty, słuchajcie...

Plan Gordona sprzeciwów nie wywołał, oznajmiono go bazie i maleńki oddział bez zwłoki ruszył w drogę. W ślad za nim podążyły podobne do żółwi skuggery. Pozostawiając za sobą tereny pyłu zręcznie prześlizgiwały się nad nierównościami gruntu.

„Ale skuggerów bohaterowie nie mieli — mimochodem pomyślał Sobolew. — Zresztą...".

Zresztą cała potężna technika, bez względu na to, czy były to zero-gwiazdoloty, czy też proste skuggery, nie mogła ich uwolnić od zmęczenia i ryzyka, ponieważ tego, czego szukali nie można było znaleźć żadnymi lokatorami. Jedynym środkiem, jakim dysponowali, były... jak za dawnych czasów, własne oczy, ręce, spryt. Co prawda jest rzeczą wątpliwą, czy w takie piekło poszedłby najbardziej zdesperowany poszukiwacz skarbów, nawet gdyby wyposażono go w skafander. Chociaż kto wie?!

Telepatia najwyraźniej istniała, albowiem Gordon, który chwiejnym krokiem sunął w przodzie, zaintonował piracką, a może kowbojską pieśń: śpiewał w ojczystym języku i zrozumieć go było trudno. Ochrypłemu basowi Gordona wtórował łoskot wybuchów.

— Podciągnijcie chłopaki, samemu nudno! — odwrócił się odsłaniając w uśmiechu białe zęby.

Sobolew kwinął głową, ale nie znalazł w pamięci niczego starego i wojowniczego, więc zaintonował „Pałeczkę". Spowity w obłok dymu Ikeda dodał ostrą niczym świst miecza melodię. Ściany wąwozu odpowiedziały barbarzyńskim echem. Skuggery poruszyły się niespokojnie, nie było w ich pamięci narodowych rytmów i wpadły w popłoch. Wszyscy mimo woli rozchichotali się i Sobolew poczuł jak w duszy topią się kawałki nieproszonego lodowatego strachu.

Wszyscy oni znajdowali się teraz jakby w innym czasie, innej epoce, kiedy to człowiek pozostawał sam na sam z przyrodą. Wąwóz, z którego zmurszałych ścian osypywały się zabłocone kamyki, nieoczekiwanie doprowadził ich nad kształtne, jakby nakreślone cyrklem, jeziorko. Mętna, pokryta drobną falą woda poznaczona była dużymi kręgami, ale stałość jeziora, które dawało nawet początek strumyczkowi mówiła o pewności miejsca i Sobolew doszedł do wniosku, że z bliska wszystko wcale nie jest takie straszne jak to wyglądało z oddali.

— Stop — powiedział Gordon. — Poszperamy. To, czego szukali mogło znajdować się wszędzie, a nawet mogło go nie być w ogóle. Ale dług wobec drugiego człowieka ważniejszy był od wszystkiego innego i choć zapału nie odczuwał już nikt, oględzin miejsca dokonali z całą starannością. Niczego prócz skalnych odłamków, drobnego lawowego kruszywa, błękitnawej gliny na brzegach.

Za jeziorem zaczynał się płaskowyż, wypalony, trzęsący się lekko jak zresztą wszystko na tej martwej planecie. Ze zmurszałych lejów sączył się żółty gaz.

Purpurowe płomienie znów rozświetliły mroczne pokłady chmur, które nadciągnęły i wszystko zmierzchło niczym w gęstej sadzy. Nie było widać ani rąk, ani nóg, palce na oślep cięły przestrzeń. Ani w jednym paśmie inwentor nie był w stanie pochwycić nawet najmniejszego błysku światła i tylko głosy w nausznikach mówiły Sobolewowi, że nie jest sam w tym pozagrobowym świecie ciemności.

Przez minutę wywoływali jeden drugiego, a potem umilkli czekając co będzie dalej. Ale dalej nie było niczego prócz mroku, w którym ucichł nawet wiatr.

— Baza! — wezwał Gordon.

Baza odpowiedziała. W czasie gdy trwały wyjaśnienia, gdy uściślano peleng, Sobolew odkrył, że z trudem utrzymuje równowagę, albowiem grunt kołysał się coraz silniej. Z ulgą przyjął rozkaz, by się położyć i znaleźć ukrycie. Czołgając się znalazł wyżłobienie i legł w nim, niczym w huśtającym się hamaku.

— Odliczanie zerowe! — jakby z innego wymiaru dobiegł głos z bazy.

Rąbnęło w szesnaście minut z sekundami później. Niebiański grom rakiety wypuszczonej z orbity stłumił wszystkie inne dźwięki. Dokładnie obliczony strumień kumulacyjnego wybuchu uderzył w chmurę i świszcząc kamieniami zwiał ją z płaskowyżu. Strzępki mroku rwały niczym poganiane paniką.

Gordon pochwycił lecący kamień i wrzasnął na cały głos:

— Dzięki, chłopaki, tylko po co rzucacie kamieniami?!

Po dziesięciu minutach marszu okolica gwałtownie zmieniła się. Tu już nic nie wystawało ponad gładką powierzchnię. O tym, jakie siły tu działały świadczyła grupa szczelin, których brzegi przypominały miarowo żujące szczęki. To zamykały się żując same siebie, to rozwierały jakby w oczekiwaniu na ofiarę.

Wszyscy trzej włączyli silniczki i płynnie unieśli się nad żującymi szczelinami.

Sobolew zerknął na skuggery, które szybowały nad miarowo żującymi szczękami zapadlin, a potem na przyjaciół. Ikeda leciał z niewzruszoną godnością. Gordon, wykrzywiając twarz w grymasie, spoglądał w dół. Wyraźnie było widać, że miał ochotę splunąć w te pożerające jedna drugą paszcze. Jeśli na kimś nie robiło to wrażenia, to tylko na skuggerach. Umiały przewidywać głębinowe eksplozje, można było na nich polegać.

Sobolew poczuł ulgę, kiedy nogi dotknęły gruntu opodal żujących szczęk. Lepszy niepewny grunt, na którym z pomocą skuggera można jako tako trzymać się na nogach, niż szybowanie nad przepaścią, gdzie dowolne uderzenie wichru zdolne jest zakręcić, sponiewierać, rozpłaszczyć na kamieniach.

— Smok. No nie?

— Co? — nie zrozumiał Sobolew.

— Ta kruszarka kamieni! — krzyknął Gordon. — Ładnie mieli to bydlę pucułowate!

— Dlaczego pucułowate?

— Nie wiem. Po prostu paskudztwo. Paskudztwo i obrzydlistwo. Ciekawe, jakie będzie świństwo pod numerem...

Nie dokończył. Nikt nie zdążył mrugnąć okiem, kiedy nad głowami błysnęła kreska dymu. Najbliższy skugger raził ją ładunkiem i w odległości dwóch metrów od Ikedy zapłonął liliowy obłoczek.

— Padnij! — wrzasnął Gordon — Bomby!

Kamienie sypały się gęstym rojem, naprzeciw im wylatywały błyskawice skuggerów. Od czasu do czasu odłamki ocierały się o skafander, albowiem skuggery wysyłały ładunki tylko na te bryły, które mogły razić ludzi. Wszystkie inne eksplodowały, gdzie popadło.

Równie nieoczekiwanie jak się zaczęło, tak i ustał ostrzał.

— Zdaje się, że zaczynam rozumieć żołnierskie życie — ochrypłym głosem wymamrotał Gordon. — Bagnety do boju — bum! I krwawa fontanna w miejscu głowy. Ładnie jak na obrazku.

— Niczego nie rozumiemy — wymamrotał Sobolew podnosząc dymiący odłamek. — Tam eksplodowały pociski. I kule.

— Kule zdaje się latały — cicho zaoponował Ikeda.

— Latały, wybuchały, co za różnica? Ważne, że zabijały. I to, że już więcej nas to nie dotyczy.

— Jak to — zaszeleściła odpowiedź. — Mnie to dotyczy, zostałem bez ojca. Zabiła go wojna.

— Jak to wojna?! — wykrzyknęli razem Gordon i Sobolew.

— Bardzo prosto! Mój dziadek został napromieniowany podczas wybuchu bomby atomowej. Nawet geny ojca okazały się w takim stopniu porażone, że nie dożył nawet trzydziestki. Mnie operowano z większym powodzeniem. Jeszcze wtedy, kiedy nie było mnie na świecie.

— Ech! — wyrwało się Sobolewowi — Wybacz, nie wiedziałem.

— Niepotrzebnie przypominałem — pokręcił głową Ikeda.

— Może rzeczywiście niepotrzebnie. Prawda, Gordon?

— Prawda — odpowiedział wolno obcy głos. — Jest to taka sama prawda jak to, że w tworzeniu tej bomby uczestniczył mój pradziad, a co za tym idzie...

Gordon zająknął się napotkawszy wzrok Ikedy.

— Przestańcie! — krzyknął Sobolew. — Mało nam Neriany?! Bomby, wojny... Jakie to teraz ma znaczenie?

— Nie ma żadnego — powieki Ikedy wolno opadły. — Najmniejszego, inaczej by nas tu nie było. Dość już o tym. Idziemy.

— Ach! — wyrwało się Gordonowi. — Przeklęta planeta! — Jego pięść rozcięła powietrze. — Wszystko w porządku — dodał już spokojnie. — Ruszajmy, póki nas jeszcze nie przysypało.

Garbiąc się ruszył poprzez kręcący się słup pyłu.

A jednak coś ich zaniepokoiło.

— Poczekajcie — powiedział Ikeda, z napięciem wpatrując się w niebo.

— O co chodzi? — zapytał ostro Gordon.

Sobolew podniósł głowę. Wygląd chmury zmieniał się. Pojawił się w niej spiralny ruch. Smugi ciemności wolno obracały się. Niczym piana w wodnym wirze wyprzedzały je włochate szare strzępki. Głębi w tym obrocie było nie więcej niż w talerzu na zupę. Spirala przyśpieszając biegu skręcała się coraz mocniej, dopóki nie utworzyła kręgu z szeroką mroczną obwódką i białawym środkiem, który zawisł nieruchomo niczym przekształcona w negatyw źrenica.

Ikeda ocknął się.

— Uciekajmy! Niedobre miejsce...

— Dlaczego?

Ikeda nie odpowiedział.

Zawahali się. Coś podobnego widzieli po raz pierwszy. Skuggery spokojnie filmowały. Biała źrenica zaczęła topnieć. Zarysowało się coś drżącego, mętnego niczym woda po praniu. Nabrzmiało, rozjaśniło się, pękło odsłaniając błękit.

— No i widzicie — powiedział Gordon. — Obłoki rozchodzą się.

— Nie! — wykrzyknął Sobolew. — Niebo nie bywa tu błękitne, zapomniałeś?!

— Biegniemy! — Ikeda złapał obu mężczyzn za ręce. — Prędzej!

Nie zdążyli zrobić nawet dwóch kroków kiedy zajaśniała błyskawica. Ona nie rozcięła nieba. Ona uniosła się, wyrosła z gruntu.

Ostrzegawczo zawyły skuggery.

Za późno! Horyzont gwałtownie skurczył się. W przyćmionym świetle ciężko zakołysał się grunt, który nagle stał się grząski. „Epicentrum wybuchu"! — przemknęło przez świadomość wszystkich trzech, kiedy nogi zagłębiły się w tej ciekłej, rtęciowej masie.

Ale to było coś innego. Rzuciło ich, uniosło, opuściło, a wtedy z nabrzmiałych trzewi planety wyłonił się i ruszył przed siebie, zakończony grzebieniem, gigantyczny kamienny wał. Grzebień natychmiast runął pod własnym ciężarem. Pionowy wał wściekle dymiąc drgnął, na moment znieruchomiał i znów ruszył na ludzi. Gordon i Ikeda zdążyli wygramolić się, odbiec, tymczasem Sobolew nie zdołał uwolnić nóg. Ściana wału znieruchomiała nad nim, przechylając się pod własnym ciężarem. Nie mając już na nic nadziei Sobolew z całych sił naparł na bryłę, która nad nim zawisła. Prędzej wyczuł niż zobaczył, że obok znaleźli się Gordon i Ikeda, że z tą samą rozpaczą podtrzymują skałę, że z prawa i lewa, w myśl rozkazu ludzi, uderzyły w nią skuggery i, że wielotonowa bryła kołysze się w ledwie zauważalnej równowadze. Teraz za późno było na to, by ktokolwiek uciekał i ratował życie. Pozostawało pchać i pchać, starając się odeprzeć, poruszyć, przewrócić do tyłu ten kamienny wał. O hełm gradem stukały osypujące się kamyczki, ale Sobolew tego nie zauważył. Jeśli prócz śmiertelnego, rwącego muskuły napięcia w jego świadomości żyło coś jeszcze, to była do wdzięczność, która ustępowała złości z powodu braku rozsądku, jaki ujawnili jego przyjaciele. Przez skałę wyczuwał ten sam, wściekły, krańcowy wysiłek innych. Łowił rytm tych wysiłków, rytm, który od razu stał się wspólnym, tak jak wspólnymi stały się wybuchy rozpaczy, kiedy ruchy wnętrza przysuwały skałę i przypływy radości, kiedy wstrząsy zlewały się z ich pchnięciami.

Kiedy przechył, jak się zdawało, zwiększył się niedopuszczalnie i muskuły za moment gotowe były ulec zerwaniu, a skała mimo wszystko nie runęła, to powstrzymał ją nie cud, tylko wspólny poryw, w którym uczestniczyły również skuggery. Ich nieludzki wysiłek, zlewając się z ludzkim, udziesięciokrotniał ducha oporu i przesuwał go poza granice możliwości. I skała nie wytrzymała. Poddała się, kiedy kolejny wstrząs odchylił ją do tyłu. Ale gruchot upadku już nie dotarł do świadomości Sobolewa.

Kiedy w końcu przyszedł do siebie, powykręcany, dymiący grunt uspokoił się i tylko wiatr wpadł w furię. Skafandry wszystkich trzech były czarne niczym głownie, ale kto wie, czy nie było to tylko wrażenie wywołane przez dym i wiatr.

Dotknął go tępy pysk skuggera. Sobolew zwalił się na jego szerokie plecy, delektując się spokojem i bezruchem. Skugger wisiał nad kołyszącą się ziemią obojętny na wszystkie jej wahnięcia.

Teraz najrozsądniej byłoby odejść. Ani jeden skarb na świecie nie był wart takiego ryzyka, ani jeden. Ale chociaż mężczyźni nie powiedzieli żadnego słowa, wiedzieli, że nie odejdą. Nie będą w stanie. Przecież wcześniej czy później człowiek przejdzie przez piekło Neriany z tych samych przyczyn, z jakich na Ziemi zdobył najwyższe szczyty, zgłębił największe zapadliny oceanu, przestrzasnął najbardziej niedostępne pieczary i złożył wizytę w najgroźniejszych wulkanicznych gardzielach. Wyzywanie żywiołów? Całe były skuggery, w porządku skafandry, a siły regenerował odpoczynek. Powodem ucieczki mógł być tylko usprawiedliwiony rozwagą strach, małoduszność, której nikt nie mógłby im zarzucić, ale która na zawsze okryłaby ich hańbą. Taka była prawda.

Był jeszcze dług wobec zmarłego.

Znów ruszyli w drogę. Wstrząsy zbijały ich z nóg, ziemia i niebo kołysały się niczym wahadła, a ludzie szli, padali, wstawali, szli. Nie było Sobolewa, Gordona, Ikedy, było tylko wspólne ludzkie „ja", które pokonywało samo siebie, swoje możliwości i siły, jakby w tę, teraz jedną, istotę wcielił się nieposkromiony duch całej ludzkości.

Kiedy nad kolejnym jeziorem ławy nagle zakłębiło się palące powrózło błyskawic, do zmęczonej świadomości, nie od razu, przekradło się zdziwienie. Tam, w malinowym warze kamienia, który błyskawice ubijały niczym w mikserze, dokonywało się coś niewyobrażalnego: pośród plazmowych protuberancji, w piekielnym żarze, w furii materii delikatnie nabrzmiewały kłębki śnieżnobiałego puchu. Powstawanie ich wydawało się równie niemożliwe, jak kwitnienie konwalii w domowym piecu. Ale to nie był mираż.

Wylatując z powijaka błyskawic puszynki nabierały koloru brązowego, przekształcały się w maciupeńkie kulki. Kulki te natychmiast pękały wypuszczając stadko ogników; złociste muszki natychmiast rzucały się w błękitnawe płomienie i roiły się w nich niczym w wieczornym chłodzie powietrza. A bulgoczący wulkan wyrzucał wciąż nowe śnieżnobiałe puszynki. Nad chaosem ognia szybko i beztrosko wirowała delikatna zamieć życia.

Oto co zobaczył Gupta na moment przed śmiercią!

Życie.

Powstałe na drugim biegunie świata, przeczące ziemskiemu doświadczeniu i ziemskim warunkom, jak materia antymaterii. Życie!

Pękł, skrapiając wszystko wkoło, kolejny zarodek...

Ludzie stali w milczeniu. Neriana nie zostawiła im sił ani na radość, ani na triumf, ani nawet na uświadomienie sobie istnienia nieprzewidzianego przez żadne teorie życia. A może właściwiej byłoby powiedzieć, antyżycia?

Pytania i odpowiedzi — teraz nie czas było na nie. Trzeba było doprowadzić sprawę do końca.

Krótki rozkaz wyprowadził skuggery z bezruchu.

Szerokie, potężne żółwie uniosły się w górę rejestrując sytuację, analizując wszystko, co poddawało się analizie, ostrożnie wsysając w szczeliny pułapek to, co złocisto fruwało w powietrzu, nagle mąciło się, zdradzając swą, być może niematerialną naturę i jakby pod wpływem instynktu próbowało uciec. Przez wypukłe skorupy skuggerów przebiegały spazmatyczne odblaski błyskawic przekształcając aparaty w dziwne ruchome stworzenia, które teraz sprawiały wrażenie odwiecznych mieszkańców Neriany.

Ludzie szybowali w oddali, niczym czujne anioły, ale w tej chwili nie myśleli o swym podobieństwie do czegokolwiek, bez względu na to, co by to nie miało być. Wszystkie ich myśli pochłaniało kierowanie, a wszystko inne odbywało się jak w półśnie, tym półśnie bezgranicznego zmęczenia, które czyni człowieka obojętnym na wszystko, prócz tego, czego nie da się odłożyć. Teraz mogli pozwolić sobie na to zmęczenie zwycięzców.

Dopiero o wiele później, kiedy minęli okrągłe jeziorko i wędrowali wzdłuż strumyka, do którego mógł dotrzeć realot z bazy, zostały wykonane pierwsze zbędne ruchy i wypowiedziane pierwsze, nie mające związku ze sprawą, słowa. Odpoczywali długo, dochodząc do siebie, niczym po narkozie. Wreszcie Sobolew wstał, kuśtykając dobrnął do strumyka, przykucnął, poszperał ręką po dnie i odsiał garść najładniejszych kamyczków.

— Obiecałem synkowi, że przywiozę z Neriany — jakby się usprawiedliwiając odpowiedział na milczące pytanie przyjaciół. — Nie skądkolwiek, tylko z piekła

— Warto brać te? — nie dziwiąc się takiemu biegowi myśli zapytał Gordon.

A widząc, że Gordon waha się, dodał:

— Już lepiej podarować mu to, czego nie ma nigdzie więcej we wszechświecie — kawałeczek prawdziwej neriańskiej lawy.

— Też prawda — po chwili namysłu zgodził się Sobolew.

I jasna garść diamentów poleciała do wody.

Przekład: MICHAŁ SIWIEC

1 Nagle zastępstwo

Siedem— naście mgnień wiosny

Prezydent miasta w nocy bezsenne albo może na urlopie myślał sobie o kulturalnym obliczu swego grodu. Jakie to oblicze jest, a jakie być powinno, co by zrobić żeby obliczu temu przywrócić dawniejszy uśmiech i dodać mu blasku w oczach. Owocem nanaprezydentowych rozmyślań jest siedemnaście tez. Tez owych prezydent nie przybijał na drzwiach żadnej katedry tylko rozpowszechnił wśród kompetentnych ludzi jako — powiedzmy — materiał do przemyśleń.

A oto prezydenckie tezy:

1. Brak samokrytycyzmu w ocenach — przykładem niechęć wysłuchiwania krytyki i dziennikarskie superlatywy o zagranicznych występach artystów.

2. Brak integracji i wzajemnego szacunku — przykładem stosy zaproszeń na różne wystawy i koncerty i puste miejsca, przeznaczone na imprezach dla zaproszonych spośród środowisk twórczych.

3. Brak ambicji, nowatorstwa, minimalizm.

4. Snobizm odbioru zjawisk kulturalnych — tłumy na niektórych festiwalach.

5. Niewykorzystanie bazy, jaką dysponuje kultura — przykłady w domach kultury, w klubach, szkołach, ale nie tylko...

6. Brak dynamicznych inicjatyw animatorskich kulturalnych, w pozyskiwaniu najwybitniejszych wykonawców.

7. Pogoń za pieniędzmi za wszelką cenę.

8. Wyjazdy zagraniczne najchętniej w jedną stronę świata, w jednym kierunku.

9. Wygoda instytucji artystycznych — przykładem zamknięte w niedziele placówki.

10. Nieżyczliwość, zazdrość.

11. Jakość odchodzących z miasta artystów niewspółmierna do jakości przychodzących.

12. Nieproporcjonalność nakładów do efektów.

13. Brak animatorów kultury w środowisku studenckim — kultura siadła z klubów przybywa...

14. Klęska kultury zakładowej.

15. Przy silnym środowisku plastyków brak plastyków w mieście — koszmarne neony, plakaty, napisy.

16. Regres w uzyskiwaniu przez miejscowych twórców nagród ogólnopolskich.

17. Denerwująca wieczorna pustynia kulturalna — piątki i soboty zwłaszcza.

Biegnę co tchu z wyjaśnieniem, że prezydenckie tezy nie powstały w Łodzi, tylko w Poznaniu. Informacje te celowo podaję dopiero teraz. Bawi mnie bowiem, że wielu czytelników dopasowywało sobie tezy, a także niektóre przykłady do łódzkiego podwórka. Prawda, że w znacznej części, ba, w przeważającej części można, można dopasować...

Sam fakt powstania tych tez — przypominam, tez tylko, a więc materiału dyskusyjnego — podoba mi się. Wcale się zresztą nie upieram żeby zaraz prezydent Niewiadomski rzucił wszystkie pilne prace i siadał do pisania łódzkiej wersji „tez poznańskich". Tym niemniej dobrze jest żeby partnerzy w nie kończących się dyskusjach o kulturze (jak choćby ostatnio na łamach „Głosu Robotniczego" i Magazynu Kulturalnego ŁOTv) mogli popatrzeć w wyłożone na stół karty. Jakże często bowiem artyści, animatorzy kultury i działacze, że o kolegach żurnalistach nie wspomnę, wala w administracje jak w tarcze strzelniczą. Aż tu administrator, właśnie poznański prezydent, słuchał sobie i słuchał cierpliwie, a w końcu wystrzelił: a ja was PT panowie artyści też nie mam za co kochać, też nie jesteście kryształowe wzorce cnoty! Pieniążki, moi panowie, czasem kochacie cokolwiek przesadnie, za to swoją publiczność jakby trochę mniej. Leniuszki jesteście, moi panowie złoci, ot co! A i sami siebie nawzajem też nie szanujecie, choć się domagacie szacunku, zazdrośniki i chwalipięty, owszem, także się wśród was trafią, a i snoby, a i samoluby...

Wsadził, oj wsadził kij w mrowisko poznański prezydent Andrzej Wituski. Jedna z pierwszych rozdrażnionych poznańskich mrówek już pokąsała prezydenta na łamach „Życia Literackiego". Gerard Górnicki, bo on to jest owa podrażniona mrówka, polemizuje z prezydenckimi tezami ostro, gniewnie, choć dość elegancko. Zainteresowanych odsyłam do „ŻL" nr 47 z 18 listopada br. Cytować mi nie wypada, w końcu jak się poznaniacy biją w krakowskim tygodniku to ich wielkopolsko-krakowska sprawa, a nie mój mazowiecki interes. Ale taki ruch w interesie popieram, chichocze sobie i łapki zacieram!

A gdyby tak, na ten przykład wojewoda piotrkowski albo radzki powiedzmy, sekretarz KW, czy też skieniewicki dyrektor wydziału trzymał w swojej szufladzie jakieś tezy, jakieś memoriały, jakąś odezwę czy manifest, to służę, odstąpię swoje miejsce w „Odgłosach".

Zachęcam i kreślę się z szacunkiem

ANDRZEJ KAROL

2 Spojrzenie znad szachownicy

Goła księżniczka

Dziesiąty, październikowy numer „Fantastyki" wyjątkowo długo zalegał łódzkie kioski, sądze nawet, że również dzisiaj poszczególne egzemplarze byłoby można kupić po sztywnej, wydrukowanej na okładce cenie. A przecież jeszcze nie tak dawno pismo znikało bez śladu, iżby pojawić się potem na Górniaku czy gdziekolwiek indziej oczywiście już ze stosownym handlowym narzutem...

Jak mniemam istnieją dwa możliwe wytłumaczenia tego zadziwiającego zjawiska, racjonalne i irracjonalne, czyli niemal mistyczne. To pierwsze jest mało barwne przeto od niego zacznę.

1.

Miłośnicy fantastyki stanowią zamknięty klan, zaś patrząc inaczej zbiór, którego wielkość — acz nieznana — jest skończona. Odnieść to można zresztą do wszystkich tytułów — obojętne, książek czy czasopism — które gdzieś kiedyś osiągać muszą nakład graniczny. Niestety przeważnie nie wiemy, jaki to mógłby być nakład, ponieważ wieczne kłopoty z papierem, mocami przerobowymi drukarni, i tak dalej, i tak dalej, nie pozwalają wydawać tyle, ile by się chciało..

Redakcji „Fantastyki" udało się wszelako przełamać te ograniczenia i weszła na rynek z całą siłą. Szczęśliwcy ci — obok nieszczęśliwców, których nikt czytać nie chce — wiedzą nareszcie, ile naprawdę mogą sprzedać, a co za tym idzie, ile powinni drukować. I to wiedzą całkiem dokładnie, ponieważ podnoszenie bądź obniżanie poziomu pisma niczego tu nie zmieni. „Tu i Teraz" może ewentualnie zabrać czytelników „Przeglądowi Tygodniowemu" — każdy z nas kupuje przecież ograniczony zestaw czasopism — bądź odwrotnie, ale miłośnik fantastyki z dużej i małej litery nie zabierze się do „Literatury", choćby ta nie wiedzieć co drukowała, a czytelnik „Literatury" nie sięgnie po „Fantastykę", jeżeli przypadkiem nie lubi science fiction.

3.

Szkoda zresztą, że nie sięgnie, nie pozna bowiem powieści, która popełnił twórca postaci Tarzana, Edgar Rice Borroughs. Tymczasem co jak co, ale „Księżniczkę Marsa", której druk rozpoczęła właśnie „Fantastyka" w październikowym numerze, powinni w pierwszym rzędzie przeczytać wyrafinowani smakosze literatury i estetyki, a to dlatego, że nawet oni najprawdopodobniej byli kiedyś dziećmi.

Nie można, uwierzcie, wracać do słodkich lat pacholęcych wertując Makowieckiego bądź Joyce'a. Można natomiast czytając Borroughsa. Sam tego doświadczyłem z wypiekami na policzkach śledząc przygody kapitana Cartera na Marsie — ogrom bzdury rzucił mnie na kolana, a potem na kanapę i było mi z tym tak dobrze, jak gdybym znów miał lat dwanaście.

Czego w tej powieści nie ma! A co jest! A co jeszcze, być może, będzie! Doprawdy, jeżeli numer listopadowy „Fantastyki" dopadnę idąc do pracy, dostanę natychmiast straszliwych żołądkowych boleści i nie wyjdę nie powiem skąd, dopóki tego wszystkiego spokojnie sobie nie doczytam!

4.

Co prawda — ale to dopiero po niejakim czasie — dostrzegłem pewien niedostatek, a im bardziej go dostrzegałem, tym bardziej stawał się on oczywisty. Powieści niczego worawdzie nie brakuje, została jednak niewłaściwie podana. Czy też raczej trafiła do niewłaściwego pisma, powinna była bowiem trafić do „Odgłosów" i tu zostać zilustrowana w sposób należyty.

Kapitan Carter, zważcie, trafia na Marsa tajemniczym sposobem i do tego — całkiem goły. Zieloni Marsjanie, niezależnie od płci, także chadzają na golasa, jednak sądząc z zawoalowanych opisów autora nie jest to rasa nazbyt, wedle naszego smaku, apetyczna.

Natomiast biała czy prawie biała księżniczka! Borroughs daleki jest od wulgarnego naturalizmu, zadowala się tedy daniem delikatnego impulsu naszej wyobraźni. Pisze:

„Miała bardzo piękną, owalną twarz o delikatnie rzeźbionych rysach, wielkie, błyszczące oczy i czarne jak węgiel włosy, ułożone w dziwny, a jednocześnie bardzo do niej pasujący sposób. Zaróżowione policzki i wspaniale ukształtowane usta pięknie kontrastowały ze skórą o lekko czerwonomiedzianym odcieniu. Podobnie jak prowadzące ją zielone Marsjanki nie nosiła żadnej odzieży, oprócz delikatnie wykonanych ozdób, ale żadna szata nie mogłaby bardziej podkreślić piękna jej doskonałej figury."

I tu pruderyjny autor stawia małoduszną kropkę, a czytelnik — rzecz zrozumiała — czuje się stratny.

5.

Czytelnik „Odgłosów" czuje się stratny, bo choć nie zna powieści, to wie, jak taka goła księżniczka mogłaby zostać narysowana. Zwłaszcza, że kapitan Carter rychło ją pokocha, choć póki co platonicznie, co wprawdzie bardzo trudno zilustrować, ale chyba też można.

Z kolei czytelnik „Fantastyki" nie musi wprawdzie wiedzieć, jak księżniczka mogłaby zostać narysowana i jak bardzo powinien czuć się stratny, ale czuje przez skórę, że coś tu nie tak. Może zresztą jest po prostu telepatą, miewa widzenia, albo sny wieszcze?! I pchany tajemniczym, irracjonalnym impulsem zamiast październikowej „Fantastyki" kupuje jakieś pismo ilustrowane z eleganckim aktem, albo po prostu „Odgłosy"?!

Co też by tłumaczyło wszystko, nawet to, że o „Odgłosy" ostatnio jakby coraz trudniej..

JERZY P.

3 Sport

Bez charakteru

Włodzimierz Smolarek oglądał mecz swojej drużyny z Dynamem Mińsk w szpitalu. I był rozczarowany grą kolegów z RTS Widzew. Mnie przypadło w udziale oglądanie meczu w towarzystwie Znajomego Optymisty. Podejrzewam, że Włodzimierz Smolarek pogryzł sobie palce z wściekłości podczas oglądania meczu. Teraz trzeba będzie leczyć mu nie tylko nogę, ale i ręce. Mnie natomiast, za przyczyna Znajomego Optymisty, rozbolał brzuch ze śmiechu.

A zaczęło się wszystko od tego że Znajomy Optymista ukuł sobie teorię.

— Oni wygrają — powiedział.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo nie ma Smolarka.

— To źle, że nie ma — próbowałam tłumaczyć, ale nie dał mi żadnych szans.

— Przeciwnie, to dobrze. Wezmą się do roboty. Będą chcieli pokazać, że potrafią wygrać i bez Smolarka. Oni przecież mają charakter.

— A może — zapytałam podchwytliwie — umiesz przewidzieć wynik meczu?

— Oczywiście — wzruszył ramionami. — Dwa do zera.

I przewidział. Tyle, że dla przeciwnika.

O piłkarzach Dynama Mińsk było wiadomo, że to groźny zespół. I dobry. Wprawdzie znawcy twierdzili, że ma słabszą obronę, ale na boisku w Łodzi nie było tego widać. Przede wszystkim Rosjanie mieli groźny atak. I skuteczny, czego o ataku Widzewa powiedzieć się nie da.

Byli lepsi — to jest bezsporne. Opanowali środek boiska i i zmusili zespół Widzewa do takiej gry, jaka im była wygodna. Obnażyli wszystkie słabości Widzewa. Łódzka drużyna tylko swojej obronie może zawdzięczać to, że wynik był taki, jaki był. Gdyby obrona Widzewa grała tak jak pozostałe formacje, to wynik byłby dużo gorszy. Sądzę, że trener Władysław Żmuda powinien piłkarzom Widzewa pokazywać ten mecz przynajmniej raz na tydzień, aby wstydzili się i wreszcie zrozumieli, czego nie potrafią. Ambicja, wola walki, chęć wygrania — to wszystko jest dobre, ale do pokonania silnego przeciwnika potrzebna jest jeszcze kondycja, szybkość i dobre techniczne wyszkolenie. Był to najgorszy mecz Widzewa w pucharach. Gorszy od wielu meczów ligowych.

Już po pierwszych minutach meczu widać było, kto rządzi na boisku, ale Znajomy Optymista nie tracił wiary.

— Poczekaj — mówił z niezmąconym spokojem — oni jeszcze się zmienią. Otrząsną się. Jeszcze jest druga połowa. Trener ich opieprzy, powie, co mają robić. Zobaczysz.

Na boisku robiło się coraz straszniej, a Znajomy Optymista nie stracił wiary nawet po pierwszej bramce dla Dynama. Z boiska wiało grozą, a Optymista budził tylko śmiech i litość. Widzew ma na pewno dobrych piłkarzy, ale jedenastu dobrych piłkarzy nie musi koniecznie tworzyć zgranego zespołu. Kiedy w Widzewie grali Zbigniew Boniek, Władysław Żmuda, Józef Młynarczyk, to obok nich byli też w drużynie dobrzy piłkarscy rzemieślnicy, dzięki którym gwiazdy mogły spełniać swoją rolę. Teraz każdy już chce być gwiazdą a cierpi na tym zespół.

W ostatnim meczu Widzew pokazał bardzo złą drugą linię i bardzo zły atak. Kiedy Dariusz Dziekanowski przychodził do Widzewa, krzyk był na całą Polskę, że Widzew płaci za tego piłkarza aż 21 milionów złotych. Prezes Ludwik Sobolewski, w wywiadzie dla „Odgłosów", bronił tej decyzji i zapewniał, że minie jeszcze trochę czasu, a Dariusz Dziekanowski pokaże, co umie. No, i pokazuje. Tylko że to jest żałosny widok. Kiedy z wolnego zamiast do bramki, strzelił Panu Bogu w okno, tylko rozśmiałam się. Kiedy przeciwnicy ogrywali go jak dziecko, no powiedzmy — jak trampkarza, już nawet śmiać mi się nie chciało. Znajomy Optymista też nie był tym zachwycony.

— Ma zły dzień — próbował usprawiedliwiać fatalnie grającego piłkarza.

Szkopuł w tym, że jego wszystkie dni na boisku są jakby coraz gorsze. Czasem wprawdzie błyśnie swoimi potencjalnymi możliwościami. Ale, ileż czasu można być tylko dobrze zapowiadającym się?

Natomiast Wiesław Wraga — jak zawsze — był najbardziej pracowitym piłkarzem na boisku. Nawet żółta kartka nie zmniejszyła jego bojowości i wcale nie napędziła mu strachu.

Znajomy Optymista, po meczu powiedział tylko trzy słowa:

— To już koniec!

Wieczorem zadzwonił pan Rysio B., z Pabianic.

— Nie masz siekiery? — zapytał.

— Po co ci siekiera?

— Rozbiję telewizor, żeby więcej nie oglądać takiej klęski.

— Rysio, to nie wina telewizora!

To, co następnie usłyszałam od pana Rysia nie nadaje się do druku.

BOGDA MADEJ

4 Lewym okiem

Czegoś nam brakuje!

Na niedawnym spotkaniu pisarzy padło stwierdzenie, że nie istnieje obecnie w kraju tygodnik literacki, który by satysfakcjonował środowisko pisarskie będąc jednocześnie rzetelną kulturalną, wolną od koniunkturalnych zabiegów lekturą dla szerokich kręgów inteligencji. Od wielu lat jestem upartym i zachłannym czytelnikiem prasy kulturalnej. Twierdzę, że w historii tej prasy nie było i nie ma dotąd pisma na takim poziomie, jak przedwojenne „Wiadomości Literackie". Działacze o różnym nastawieniu zarzucali temu pismu eklektyczność, brak nie tylko bojowości, ale choćby zdecydowanego stanowiska społecznego i politycznego. Oczywiście, jest w tym trochę racji, chociaż z perspektywy lat widać jednak wyraźnie, że opcja społeczna redakcji była jednoznaczna: światły, tolerancyjny, lewicowy liberalizm, kult wolności umysłowej racjonalizmu, niechęć do wszelkich skrajności.

„Czegoś nam dzisiaj brakuje, co mieliśmy kiedyś — pisze Kazimierz Koźniewski w swoim „Tu i Teraz". — Zniknęła grupa laickiej inteligencji nastawionej lewicowo. Była to grupa o wysokim diapazonie moralnym, dużej wewnętrznej uczciwości ideowej, grupa sumiennie praktykująca wszelkiego rodzaju tolerancję, szczególnie religijną, wyrażiście przy tym antyrasistowska, antyfaszystowska, antytotalitarna". Spośród felietonów Koźniewskiego ten szczególnie trafia mi do przekonania, a zwłaszcza konkretne wyartykułowanie właśnie tej sprawy, od dawna majaczącej w świadomości: zdefiniowanie owej, nieformalnej przecież, ale jakże ważnej grupy społecznej, której dziś w naszym krajobrazie nie widać. „Zniknęła — pisze jeszcze Koźniewski — ta właśnie formacja naszej inteligencji laickiej, religijnie indyferentnej, politycznie lewicowej, której udział w życiu państwa naszego i przed wojną (można było ją wtedy nazwać formacją „Wiadomości Literackich") i po wojnie, nawet w całych latach pięćdziesiątych, był tak znaczący."

Formacja „Wiadomości Literackich"! Mieliśmy po wojnie „Kulturę" i „Nową Kulturę", „Kuźnicę" i „Przegląd Kulturalny", „Literaturę" i „Tygodnik Powszechny". Wszystkie te tygodniki przewyższały kilkakrotnie nakładem tamte „Wiadomości", każdy z nich zatrudniał wielki sztab etatowych pisarzy, szperaczy, dziennikarzy i — oczywiście — „kierowników". O żadnym jednak nie można powiedzieć, że stał się osią formacji społecznej, odczuwalnej w życiu umysłowym naszej inteligencji.

A więc mimo wszystko, mimo nawału tytułów w kioskach, brak tygodnika! Takiego, który by zatrudnił kilku (czterech — pięciu) redaktorów z prawdziwego zdarzenia, to znaczy takich, co potrafiliby wydać pismo co tydzień nie pisząc ani słowa pod własną wierszówkę; co umieliby namówić do zabrania głosu zawsze właściwą osobę w związku z właściwym tematem. Brak tygodnika, na łamach którego mógłby się spotkać dzisiejszy Nowaczyński i Rostworowski z dzisiejszym Stawarem i Boyem Żeleńskim, tacy poeci jak Tetmajer i Staff z takimi jak Przyboś i Młodożeniec. Wreszcie — powiedzmy i to — brak tygodnika, któremu naczelny redaktor oddaje cały swój talent i umiłowanie, jak Grydzewski, i nawet gotów byłby dopłacać do pisma z własnej kieszeni, jak to czynił tenże Grydzewski. Jasne — to ostatnie to już nie żaden warunek, czasy dziś inne i dopłacać do swej pracy nikt nie powinien. Chodziło tylko o charakterystykę postawy redaktorskiej — żeby to nie był ktoś pazerny na synekurę, zaszczyty i apanaże. Jednym słowem — wielki, dosadny brak pewnej formacji społecznej. Chciałbym móc podpisać się pod felietonem Koźniewskiego w „Tu i Teraz" o „Pustym miejscu".

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

RAPIER NAPOLEONA (6)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Rozległy się wrzaski i gwizdy, ale były również oklaski, aktorka bowiem obliczyła szybko, że się opłaci i oddała pocałunek. Zrobiła to gorąco i wdzięcznie, przyciągając Napoleona do piersi i zarzucając mu ręce na szyję.

Reżyser był zadowolony. Aczkolwiek nazajutrz prasa miała go zniszczyć, ubrdał sobie, że kupił dziennikarzy tym śmiałym i wyzywającym oświadczeniem.

Powtórzył, aby zjednać ich do reszty:

— Jak najmłodsze!

Próbował również powtórzyć pocałunek z myślą o kamerzystach i fotoreporterach, aktorka jednak, wyczuwając, iż sala patrzy na nią szyderczo, odepchnęła go z całej siły.

— Puść!

— Oszalałaś?!

— Nie rób z siebie pośmiewiska.

Złamał jej opór, ale był na tyle rozsądny, że zostawił w spokoju krwiste, czerwone, z lekka odęte usta dziewczyny. Przypadł do szyi i udawał, że chce ją ugryźć.

Nie wzbudziło to zbytniego entuzjazmu. Głos wyćwiczony i zdarty na meczach baseballowych ligi amerykańskiej wrzasnął:

— Wampir!

Ktoś kichnął szalbierczo a ktoś inny zabeczał obelżywie. Rudy, zdecydowanie paskudny staruch wywalił przed Napoleonem jęzor. No i skończyło się. Fotoreporterzy i kamerzyści zaczęli pakować sprzęt; dziennikarze opuszczali salę wymieniając między sobą złośliwe uwagi. Robert Walden nie widział już w tłumie reżysera i aktorki. Przechodząc natomiast u boku swego paryskiego przyjaciela przez jaskrawo oświetlony hall Carltonu dojrzał zdumiony piękną Korsykę.

Stała w towarzystwie światowej sławy aktora filmowego. Była uosobieniem spokoju i godności. Służba hotelowa znowu gięła przed nią kark, a wszystkie bez wyjątku kobiety i wszyscy mężczyźni obserwowali ją ukradkiem.

— Dobra jest — rzekł Robert Walden.

Przyjaciel spojrzał na niego z litością.

— Jeszcze o niej usłyszysz — powiedział i dodał: — Mówisz, że zmieściłaby się od biedy na Marszałkowskiej?

— Chyba tak — przytaknął Robert Walden. — Na Marszałkowskiej i na Piotrkowskiej.

Łódź

A teraz była szkoła filmowa w robotniczym mieście. Robert Walden stał pod prawą bezokienną ścianą auli wśród tych studentów, którzy nie pyskowali specjalnie. Wyprowadzony z równowagi Napoleon (jako się rzekło) ściągnął w pewnej chwili marynarkę i powiesił ją na poręczy krzesła. Wywołało to falę nieopisanej wesołości.

— O! O! Zdenerwował się!

— Będzie draka!

Ale nie było draki. Mistrz wprawdzie zaczął mówić głośniej, ekspansywniej, gestykulując i zacinając się trochę ale to mu tylko przydawało uroku. Stojąca za Waldenem aktorka westchnęła: — Boże, jaki on młody. — Inne panie też patrzyły na niego oczami wiernych psów. Kobiety są po prostu mądrzejsze. To, co dzieje się w warstwie słownej, nie ma dla nich żadnego znaczenia.

Napoleon przykładał jednak wagę do słów. Nie krył się za podwójną gardą sławy. Nie robił pokerowych min i nie rozdawał uśmiechów pobłażania. Nie był wyniosły, trochę najwyżej zniecierpliwiony.

Powiedział:

— Panowie, takich spotkań to ja miałem setki. I zawsze to samo: studenci wiedzą lepiej co dobre i niedobre, nowoczesne i nienowoczesne. Zawsze do znudzenia, podobne zacietrzewienie, identyczne ataki i pretensje. Jest to chyba sprawa pokoleń. Za dziesięć — dwadzieścia lat nic się nie zmieni. Kiedyś tam, wcześniej czy później, któremuś z was, zapatrzonych w awangardę, także powiedzie się w życiu — będzie robił doskonałe filmy, ale zapanuje tymczasem inna moda i przyszli studenci, którzy trafią dopiero do tej szkoły lub do innych tego typu szkół, wezmą go pod obcas.

Rozległ się syk:

— Gadasz, bracie i gadasz, a tu robi się późno i pora na jakiś mały, seksualny podwieczorek.

Śmiech. Osobnik, który siedział w tylnym rzędzie, podjął wątek:

— Nie ma na sali wystarczająco młodej do tego celu panienki.

Syk odpowiedział natychmiast:

— Trzeba w takim razie wysłać delegację do najbliższej szkoły podstawowej.

— Nie gadaj głupstw, kolego! — zabeczał osobnik z tylnego rzędu. — Dzisiaj było zakończenie roku szkolnego i dziewczęta zostały rozpuszczone do domów.

Napoleon nie słyszał zapewne tych bezczelnych złośliwości. Ciągnął wywód:

— W sztuce jest raczej postęp ilościowy, a nie jakościowy. Nowe arcydzieła nie eliminują starych. To, że fascynujemy się dzisiaj Beckettem czy Ionesco, nie zmienia faktu, że wciąż podziwiamy wielkiego Balzaka, że z nabożeństwem czytamy Petrarkę, a jeszcze wcześniej: Sofoklesa i Arystofanesa.

Argument był niepodważalny i wystarczająco silny, aby reżyser wygrał ze szkołą mecz na stu szachownicach. Walden ruszył ku drzwiom w przeświadczeniu, że spotkanie dobiega końca. Nagle zatrzymał się i zaczął podsłuchiwać rozmowę, którą wiodły między sobą dwie stosunkowo młode, suto wymalowane dziewczyny.

Jedna była ruda z czarnym odrostem, a druga (jakby zazdrościły sobie nawzajem) czarna z odrostem rudawym. Niewątpliwie liczyły na coś więcej niż samo tylko wysłuchanie kazania wybitnego artysty, przyodziały bowiem na tę okoliczność bezsprzecznie świąteczne kreacje. W żadnym razie nie wyglądały na aktorki, ba! nie były nawet studentkami. Robert Walden nie mógł zrozumieć, jak w ogóle dostały się na teren uczelni.

Tak czy siak, stały na stronie, za ostatnim rzędem krzeseł i szeptały scenicznie.

Ruda z czarnym odrostem: — Takich jak my to on może mieć na okrągło. — Czarna z rudym odrostem: — **Ale nie ma. Skąd wiesz, że nie jest jak raz w potrzebie? Należy podejść** i zasunąć mu z grubej rury — wóda stygnie, panie reżyserze, w inteligentnym domu. Weź pan kumpla z samochodem i jadziem.

Ruda z czarnym odrostem: — Przegna cię jak sukę.

Czarna z rudym odrostem: — Taaa? Wczoraj jeszcze mówiłaś, że nie przegna, bo jesteśmy młode i w razie czego nie będziemy się obcyndalać. Nóżki na stół i wio! Kurde, trza mi było przyjść z Jadźką.

Ruda z czarnym odrostem: — Ie—che—che, z Jadźką! Jadźce stuknęła dwudziestka.

Czarna z rudym odrostem: — u, tobie to niby nie stuknęła? On chce mieć świeżą krew, piętnaście albo szesnaście, a ty, wycierusie, wyglądasz na trzydzieści.

Była to opowieść o tym, jak naród wyobraża sobie duchowe potrzeby Napoleona. Walden pokiwał głową i wyszedł na szkolny dziedziniec. Przystanął u solidnej, żelaznej bramy, wsadził sobie w zęby papierosa i czekał.

W drzwiach portierni ukazał się gruby, kwaśny, czegoś niezadowolony strażnik, kolejny przedstawiciel narodu.

— Skończyło się już? — zapytał.

— Co?

— To spotkanie.

— Zaraz się skończy — powiedział Walden.

— Prawda to, panie, że on pije krew z małych dzieci?

— Oczywiście, że tak — przytaknął Walden. — Jest to fakt powszechnie znany i naukowo stwierdzony.

Blada, zapłynięta tłuszczem twarz przybrała wyraz zgrozy.

— I dużo tak może?

— Dwie szklanki co trzeci dzień przed obiadem — odparł Walden.

Wyraz zgrozy pogłębił się na otłuszczonej twarzy strażnika.

— Ohyda! — Splunął i machnął na Waldena ręką. — Chodź pan, trzeba to spłukać.

Walden wszedł do portierni, przyjął szczerbaty słoik po kleiku dla niemowląt i rąbnął to co było w środku bez wyrzutów sumienia. W owych miłych i ciekawych czasach picie przed południem w zakładach pracy było raczej dobrze widziane.

Strażnik skorzystał z tego samego słoika. Chuchnął, przeciągnął po ustach rękawem i zażądał:

— Mów pan!

— O czym?

— O tych wampirach. Córka do mnie powiada — Jak wrócisz ojciec, masz mnie wszystko dokładnie powtórzyć. — Młoda to ciekawa świata, rozumiesz pan?

— Rozumiem, ale teraz nie mam czasu — rzekł Walden.

Wrócił na dziedziniec i obserwował ludzi, którzy opuszczali szkołę. **Męska część publiczności przyoblekła na twarz ów charakterystyczny uśmieszek zawodu i niespełnienia, damy były spocone i podniecone. Wedle późniejszych ustaleń, większość dam od trzydziestu lat w dół przybyła na imprezę z tymi samymi nadziejami**, co rudo-czarny tandem wycirusów. Życie jest loterią. Bóg raczy wiedzieć, co przyniesie dzień. A może właśnie mnie namierzy? A dlaczego niby nie? Wykąpały się, wystroiły, wymalowały, pozastawiały na reżysera różne pułapki. Wielu mężów i narzeczonych zniknęło tego dnia z Łodzi. W wielu łożach zmieniono na wszelki wypadek pościel. W wielu domach pojawiły się zagraniczne butelki i przykryte dyskretnie „Głosem Robotniczym" albumy pornograficznych zdjęć. Czyhały gotowe do startu adaptery i magnetofony. Mruczały videa, zdolne w każdej chwili przedstawić uroczą scenę zbiorowej kopulacji. Wszystko dla niego. Niekoniecznie po to, aby zrobić oszałamiającą karierę filmową, chociaż... były i takie, które wkuwały na pamięć Szekspira:

Z nim razem? Wyście to zapowietrzyli
Rzym, podrzucając swoje przepocone
plugawe czapki, wtenczas gdy Koriolan
szedł na wygnanie. Zbliża się on teraz.
A każdy włos tych, co mu towarzyszą,
Biczem jest na was. Ilu niedołęgów
rzucało czapki, tylu głąbów gardłem
Zapłaci za głos, co im wyszedł z gardła.
Nie ma co mówić:
chociażby nas wszystkich spalił na węgiel, jeszcze by miał słuszność.

Mistrz wynurzył się wreszcie z otchłani budynku i zamrugał oczami w ostrym świetle wczesnego popołudnia. Kilka dam pierwszej i drugiej młodości, drżąc wszelako i skamląc ze zdenerwowania, zaczęło podjeżdżać go z lewego i prawego skrzydła, on jednakże, wyczuwszy ich zamiary, szepnął coś Andrzejowi K. odprawił strzepnięciem palców swojego paryskiego agenta i ruszył na samotny obchód uczelnianych włości.

Przyjrzał się ukrytym w głębi domkom, zadarł głowę, aby popatrzeć na koronę wiekowej akacji, dotknął ręką starego muru, wreszcie przystanął tam, gdzie biła kiedyś w niebo fabrykancka fontanna.

Zamyślił się, a potem uśmiechnął. Walden, który obserwował go z bezpiecznego **dystansu, mógłby przysiąc, że mistrza owiało wspomnienie jakże odległej w czasie nocy, kiedy na tym samym dziedzińcu...**

...tak, na tym samym dziedzińcu w drugiej połowie lat pięćdziesiątych Napoleon, podówczas jeszcze student, nakręcił w ramach szkolnych zajęć etiudę filmową o rozbijaczach zabaw, przy czym nie było tu żadnej inscenizacji — w parku szkolnym niedaleko fontanny grała prawdziwa orkiestra dixielandowa: niedobitki sławnych Melomanów, a na ścieżkach, na trawie, pod drzewami tańczyli ze swoimi wybrankami studenci, nie mając nawet zielonego pojęcia, że gdzieś tam, w krzakach, w ciemnościach, których nie tknęły żółte i gorące ślepia reflektorów, czatuje na nich zgraja łódzkich, niekoniecznie trzeźwych uliczników, z których każdy mógłby zostać mistrzem świata w łobuzerstwie *podwórkowym*.

Był Cyf ze swoją smutną mordą i gorejącymi oczami, był Kozioł z Górniaka, który przeciągał się słodko jak tygrys, był Bumcyk, Bambuła, Draska, La Komare, krótko mówiąc: piękna i słuszna, starannie wyselekcjonowana reprezentacja specjalistów od walki wręcz: na pięści, na kopyto, na *byka*, na barana.

He, he, drogi Czytelniku! Przenieś się na chwilę wszystkimi zmysłami w tę pijaną i czarną noc. Oto trębacz wyje przeciągle do bladego księżyca, biedni ale piękni kochankowie pląsają w namiętnym uścisku, w mroku terkocą cichutko kamery, a tu Bumcyk, kurna! a tu Cyf, Bambuła, Draska i ogromny, zwalisty, bezlitosny, nabuchany wódą La Komare, który przyjechał na występ roztrzęsionym tramwajem z pobliskiego Aleksandrowa i był jakby trochę zasmucony, jakby trochę rozżalony, opuszczony, bo tego samego dnia (tak jest, szanowne obywatele!) milicja przymknęła mu wrednie (sprężynowy nóż sam otwiera się w kieszeni!) najbliższego przyjaciela, niejakiego Marmeladę Stefana, syna Ignacego, który począł się z plemienia diabelskiego...

Biada! Gdzie jest Marmelada?! Och, wyje serce moje! Trucizny! Trucizny mi dajcie! — zaciska wielkie, czerwone, porozbijane graby La Komare. Lecz oto Napoleon, trzymając prawe oko w okularze obiektywu, lewe zmrużył nieznacznie, a później strzelił nim w Bumcyka, syknął: — Naprzód! — i orły jak byki z hiszpańskiej zagrody poszły w bój z nieopisanym wrzaskiem.

Zawrzało, zakurzyło się, zakotłowało, zakwiliły kobiety, zawrzasnęli mężé, orkiestra spieprzała ze sceny aż miło gubiąc po drodze saksofony i puzony, a tu Bumcyk, kurna! a tu Cyf, Bambuła, co później został studentem... Draska i ogromny, zwalisty, nabuchany wódą La Komare, i Kozioł z Górniaka, i Cykota z Alejek, i szlachetny Ulman z Piotrkowskiej, który dnia następnego miał najbliżej po wypłatę, gdyż odbyła się ona w śródmiejskiej kawiarni „Warszawianka".

Bumcyk, rozmawiając po latach w powyższej sprawie z Robertem Waldenem, oświadczył, że wszyscy rozbijacze zabawowi otrzymali w „Warszawiance" z rąk szefa produkcji pełne stawki aktorskie oraz gratulacje i pozdrowienia od naczelnego twórcy, który bardzo wysoko ocenił ich występ, chociaż... — tak z ręką na sercu — powiedział Bumcyk — to nie wszystko wyszło, jak należy. Wskazówki, jakich udzielił nam przed zabawą reżyser, dotyczyły w pierwszym rzędzie tego, że mamy walić do krwi, bez litości i opamiętania.

— Zamknijcie serca! — wołał patetycznie Napoleon. — Niech wam się zdaje, że bierzecie udział w regularnej zadymie ulicznej! — Jednakże, *kiedy* wybiegliśmy na plan, nie dopisała nam wściekłość, zabrakło *nam* bodźców moralnych i motywów. No bo jakże to tak? Walić *Bogu* ducha winnych filmowców? A za co to *niby*? Za to, że *ich* podziwiało całe miasto? Że *ich* kochały najpiękniejsze dziewczyny? Nas też *kochały*. Nie *mieliśmy* powodów do *zazdrości*. Lecz służba *nie* drużba. Szef płaci, trzeba *walić!* Nie było w tym gniewu i zacietrzewienia, ale waliliśmy. *Gdzie* popadnie. W łeb, w zęby, w *klejnoty* rodzinne.

Walił Bumcyk, kurna! Walił Cyf i Bambuła, co później został studentem. Walił Draska i ogromny, tęgawy, ziejący gorzałą La Komare. I Kozioł z Górniaka, i Cykota z Alejek, i czcigodny Ulman z Pietryny także walił.

Żaden z nich przecie nie utrudniał sobie roboty. Wśród studentów nie brakło wysokich, umięśnionych, wspaniale zbudowanych facetów, gotowych się bronić czy nawet uderzyć zaczepnie. Szkoła filmowa *do kurwy mamy!* to nie żaden przytułek dla osieroconych intelektualistów. Proszę bardzo! Możemy się trzaskać. Nie będzie nam tu łamał gnatów pierwszy lepszy *uliczny* łachmyta.

Napastnicy wyczuli bojowe nastroje studentów i *sprytnie* wymijali tych, którzy przyjęli postawę zasadniczą. Bambuła przyznaje otwarcie, *że nikt* nie ośmielił się na przykład zaszarżować na wyniosłego i gotowego do walki Andrzeja K. (pod *kryptonimem* tym nie kryje się *bynajmniej* polski przyjaciel Napoleona, lecz inny utalentowany reżyser o kresowej końcówce nazwiska) dali spokój Wojtkowi F. (niektórzy twierdzą, że wcale go tam nie było); Cyf, czego nie zarejestrowały kamery, dostał w ucho od znanego operatora i poleciał nosem w trawę, Bumcyk, kawał chłopa, wskoczył na plecy uciekającemu mikroszczakowi, a mikroszczak odzyskał nagle godność i siłę, i brykał z Bumcykiem w lewo i w prawo jak koń, który usiłuje zrzucić z grzbietu znienawidzonego jeźdźca.

La Komare jeno, straszny w swym nieutulonym żalu po niejakim Marmeladzie, zaścielał miarowo dziedziniec ciałami poturbowanych studentów, wykrzykując swój przesławny tekst:

— Siekier! Dajcie mi siekier rzeźnicką!

Ekipa Napoleona pracowała sprawnie. Sam wódz, nie zainteresowany specjalnie losami potyczki, gdyż kto by nie wygrał, wygrana i tak należała do niego, ledwo się uśmiechał. Stał z lewej strony obiektywu i mrużył oczy w rażących snopach jupiterów.

Tak kiełkowała jego wielkość.

C.D.N.

Ryc. Janusz Szymański-Gianz